Czerwiec
06/126

dużo konkursów!

SLIZG

www.slizg.com.pl

TEDE
jestem legendarnym ziomem

ASCETOHOLIX
siedem grzechów głównych

GNARLS BARKLEY
duet nie do końca normalny

LEŚNIAK & SKARŻYCKI
dwaj ojcowie Jeża Jerzego

Brudne Południe

Muzykoterapia

Garaż DC Tour

Michał Urbaniak

Red Hot Chili Peppers

numer 06/126
czerwiec 2006
ISSN 1425-1760
INDEX 332662
cena: 6.90 PLN
(w tym 7% VAT)

06

ISSN 1425-1760
9 771425 176601

MASSIMI

ELDO/BITNIX

CZŁOWIEK KTÓRY CHCIAŁ UKRAŚĆ ALFABET

+48 42 6523992

SUMMER 2006 WWW.MASSD

W numerze 06/126

BAZAR 06
TEDE 12
DIRTY SOUTH 16
GNARLS BARKLEY 18
ASCETOHOLIX 20
7 ŁEZ 22
RED HOT CHILI PEPPERS 24
MICHAŁ URBANIAK 26
MARIA PESZEK 28
MUZYKOTERAPIA 30
IGNITE 32
TOTAL HAŁAS:
- PIGUŁKA: RHIAN BENSON 33
- NOWA TWARZ: SKOW 33
- NECRO 34
- BITWA O ANGLIĘ: SO SOLID 35
- NIELEGALNA AKCJA SLG 35
- PRODUKCJA: ŚWIĘTY 36
- JUST BLAZE 36
- SA-RA CREATIVE PARTNERS 37
- DRUGA STRONA LUSTRA 38
- DWÓCH WARSZAWIAKÓW 38
- MODA NA MIXTAPE 39
LEŚNIAK & SKARŻYCKI 40
PARYŻ SK8 42
NOWA TWARZ SKATE 46
POOL RIDERS 48
KTO: TOMEK SZYMAŃSKI 50
BERLIN: GARAŻ TOUR 54
BMX 58
JEŻ JERZY 60
RECENZJE:
- SKATE VIDEO 64
- GIER 66
- FILMÓW 67
- KOMIKSÓW 68
- PŁYT 70
GRAFFITI 78
DESER: DESTINY'S CHILD 86
DRUGA STRONA: ABRADAB 90

@listy

(...) Nie chcę wyjść na lizusa, ale muszę was pochwalić. Jesteście wyjątkowi, jeśli chodzi o recenzje. Mało kto daje ich tak dużo i to w przeróżnych dziedzinach. Fajnie jest poczytać nawet o książkach, które czytam rzadko, czy o komiksach, które też nie za często kupuję. Oczywiście najbardziej lubię recenzje płyt. Prawie zawsze zgadzam się z waszymi ocenami, ale czasem nie (...). Jak dla mnie, to mogłoby ich być nawet więcej, bo to chyba moja ulubiona część „Ślizgu" (...)

Natalie, Wrocław

Dzięki, dzięki. My też jesteśmy w miarę zadowoleni z naszych działów poświęconych recenzjom. Faktycznie, dużo tego mamy, czasem wręcz zastanawiamy się nad zmniejszeniem objętości przeznaczonej na recenzje, ale takie głosy jak Twój przekonują nas, że chyba jednak nie warto. Staramy się recenzować jak najwięcej płyt (oczywiście w wybranych gatunkach), które ukazują się w naszym kraju, do tego najciekawsze lub najgłośniejsze (co nie zawsze idzie w parze) pozycje zagraniczne. Podobnie jest w pozostałych działach recenzenckich.

Siema! Ja chciałem tylko napisać, że bardzo szanuję Waszą pracę, doceniam, no i muszę powiedzieć, że z numeru na numer jesteście coraz lepsi. Natomiast przede wszystkim cieszy mnie, że uświadamiacie nieświadomych o oldschoolowych czy undergroundowych wykonawcach. Sam mam 15 lat, a czuję się tak, jakbym tylko ja wśród rówieśników znał pierwszą płytkę Wu-Tangu, wiedział, kto to byli N.W.A., doceniał przemianę KRS One'a z gangstera na mentora, czy też uważał, że Royce Da 5'9" to „jeden z lepszych zawodników rap gry" i że to on wypromował Eminema. Na szczęście dzięki Wam coraz więcej małolatów pojmuje takie sprawy. Doceniam i oby tak dalej! Pozdrawiam.

Bingo

Miło być docenionym. Miło też uświadamiać nieświadomych (choć co do tego wypromowania Ema przez Royce'a można mieć pewne wątpliwości). Miło też słyszeć, że nasi niektórzy czytelnicy uświadomili się już wcześniej sami i po nasze pismo sięgają świadomi, a ci, którzy sięgają po SLG nie będąc świadomymi, świadomymi się dzięki nam stają. Też pozdrawiamy.

Witam! Mam jedno pytanko dotyczące płyt dołączanych (dotychczas) do „Ślizgu". A więc co się stało, że od miesiąca nie dołączacie do gazetki płyty? Na początku myślałem, że mnie ktoś w sklepie wykręcił na płytę, ale okazało się, że nie, nawet w środku nie ma nic napisanego na ich temat, więc co się stało? Pytam również, czy płyty wrócą, nie kryję, że na początku, kiedy zacząłem kupować „Ślizg", robiłem to tylko dla płyty, a teraz jakoś tak pusto... Pozdrawiam.

Chriss, Słupsk

Witam. Płyt nie ma, jest więcej stron. Póki co. CD najpewniej nie będzie – na pewno zaś nie regularnie. Być może, co rusz będzie dorzucana płyta. Mam nadzieję, że nie przestaniesz mimo tego czytać SLG. A czy pusto? Kwestia gustu, zawsze staramy się robić pismo najwyższej jakości, nawet mimo skromnych środków. Sorka, jeśli Cię rozczarowaliśmy. To samo oczywiście kierujemy do wszystkich naszych czytelników, którzy poczuli się zawiedzeni brakiem dodatkowego krążka.

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze
i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
konto: Bank Zachodni WBK S.A. 35 o/W-wa
14-1090-2851-0000-0001-0357-7914

Redaktor naczelny: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Sekretarz redakcji: Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@gazeta.pl)
Foto okładka: Wojtek Antonów
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, CNE, Sebastian Rerak, Paweł Gadaczek, Mateusz Orłowski, Tymek Kubik, Keb, Hadero, Med, Dill-o
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Sekretariat i promocja: Monika Jurczak (monika@slizg.com.pl)
Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:
Ślizg
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa
tel. 022 635 84 10 wew. 131
tel. 022 635 98 74 wew. 131
tel. 022 635 58 41 wew. 131
fax 022 635 62 85
e-mail: slizg@slizg.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i kopiowanie materiałów wyłącznie za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść listów i ogłoszeń. Redakcja zastrzega sobie prawo do nieodsyłania niezamówionych materiałów oraz do ich skracania. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wypadki w czasie wykonywania trików prezentowanych na łamach Ślizgu.

Ostrzegamy: niszczenie mienia jest karalne!

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

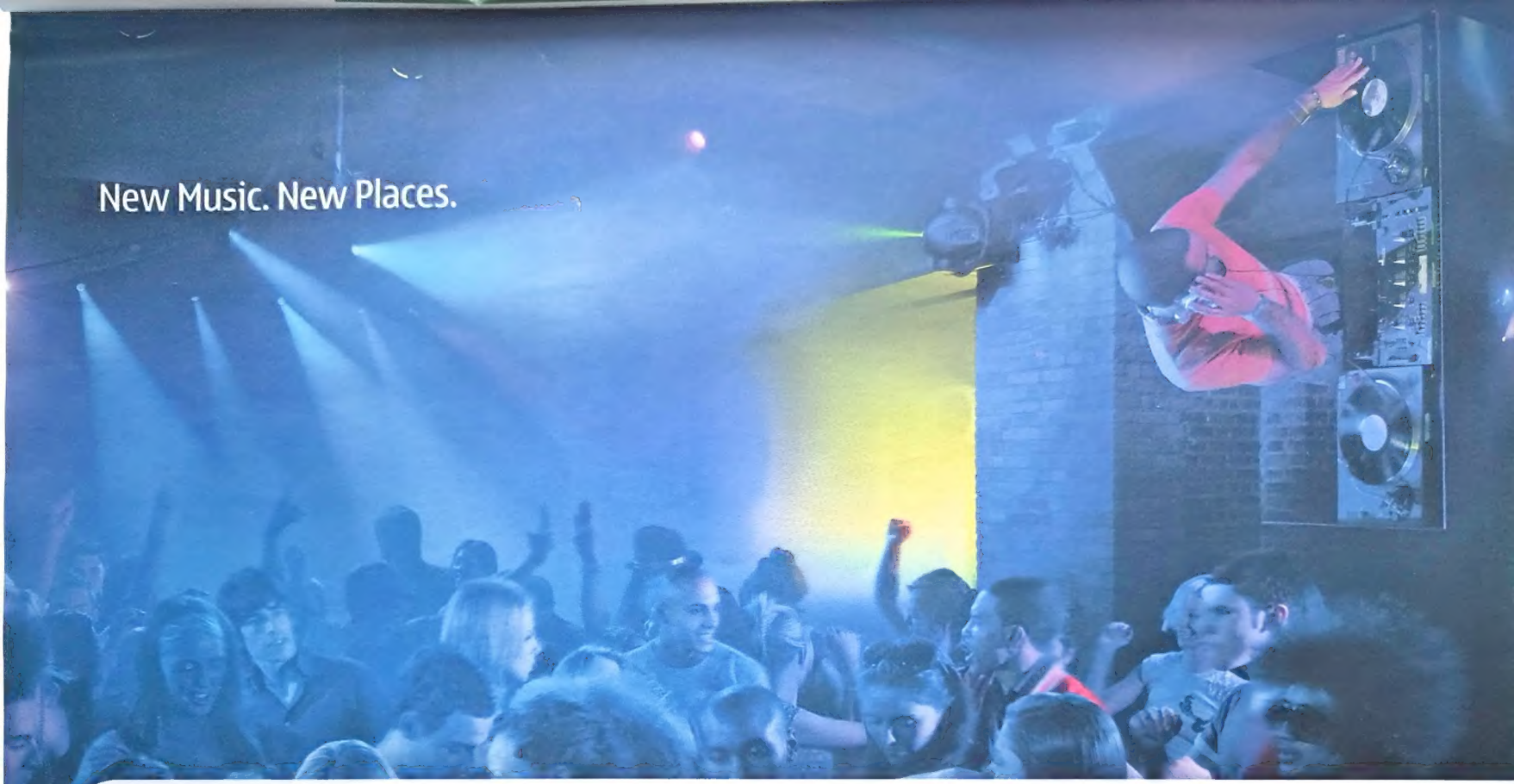

Dzięki Nokia 3250 nowe miejsca zaczynają tętnić nową muzyką. Gdziekolwiek jesteś, masz pod ręką do 750 utworów na karcie pamięci 1 GB. Mobilna muzyka będzie Ci towarzyszyć wszędzie tam, gdzie odbywają się imprezy Nokia Trends. W **Warszawie** startujemy **15 lipca 2006** na **Torach Wyścigów Konnych na Służewcu,** gdzie zagrają **TIGA, Mylo DJ, Fischerspooner** oraz zwycięzcy konkursu **Nokia DJ Cup.**
www.nokia.com.pl/nokiatrends

NOKIA 3250

NOKIA Trends
New Music. New Places.

NOKIA
Connecting People

© Nokia 2006. Poprzednie karty pamięci w zestawie nieaktywne.

NA START
POŻEGNANIA

Tak się złożyło, że ten numer „Ślizgu" jest ostatnim, przy którym pracuję, że tak to określę, od podstaw. Od ponad pięciu lat polecałem (bądź odradzałem) Wam komiksy, książki, filmy oraz płyty i zapewne jeszcze przez jakiś czas to się nie zmieni. Jednak od blisko czterech lat pracowałem na stałe w redakcji i nadeszła wreszcie pora zmian. Oby na lepsze, zarówno dla mnie, jak i dla „Ślizgu", a co za tym idzie – dla Was. Zamiast jednak wylewnych pożegnań, na zakończenie – w końcu jeszcze mi wolno – udzielę Wam kilku dobrych i być może zupełnie niepotrzebnych rad. Nie ułatwią one nikomu życia, ale być może je uprzyjemnią.

Po pierwsze, czytajcie dobre książki. Co prawda, program nauczania w naszych szkołach jest ułożony w ten sposób (choć być może od czasów, gdy kończyłem liceum, coś się zmieniło), by skutecznie zniechęcić do jakiejkolwiek lektury, ale i na to jest sposób. Nudzą Was „Chłopi" albo „Ogniem i mieczem"? Przeczytajcie „Władcę Pierścieni" albo Stephena Kinga. Albo Kurta Vonneguta. Albo Pratchetta. Cokolwiek, co Was interesuje, bo będziecie mieli z tego więcej pożytku i przyjemności. Nie biorę odpowiedzialności za ewentualne złe oceny z klasówek, jeśli nie będziecie wiedzieli, jak miał na imię Boryna, ale przynajmniej mogę Wam powiedzieć, że w przyszłości ta wiedza się do niczego nie przyda. No, chyba, że wybieracie się na studia na polonistykę albo będziecie rozwiązywać krzyżówki...

Po drugie, czytajcie dobre komiksy. Nie słuchajcie głupich ludzi, którzy będą Wam wmawiać, że to rozrywka dla idiotów. Ich nie przekonają nawet dzieła Hugo Pratta, Franka Millera, Arta Spiegelmana czy Frederika Peetersa ani genialne scenariusze Neila Gaimana, Alana Moore'a czy Gartha Ennisa. I szkoda energii, by ich przekonywać.

Po trzecie, oglądajcie dobre filmy. I od razu zaznaczę, że „dobre" niekoniecznie musi oznaczać „wyjątkowo ambitne". W życiu jest miejsce i dla Ingmara Bergmana, i dla Wesa Cravena – sami wybierzcie, co Wam bardziej odpowiada. I pamiętajcie, że kinem wyłącznie – dajmy na to – irańskim żyją tylko masochiści, pozerzy i kilku polskich krytyków. A i ci po prostu nie przyznają się do tego, że oglądają każdą powtórkę „Rambo" na Polsacie.

Po czwarte, słuchajcie dobrej muzyki. Nie mam wątpliwości, że większość z Was to robi – w końcu znaczną część „Ślizgu" wypełnia właśnie muzyka. Ale nie zamykajcie się w jednych ramach. Równie dużo dobrych rzeczy dzieje się w hip-hopie, co w reggae, punk rocku, metalu (we wszystkich odmianach), popie i jazzie. Warto czasem wyjść poza „getto" jednego gatunku. The Roots, Massive Attack, Tool, Red Hot Chili Peppers czy Behemoth (wybaczcie!) to zespoły ze skrajnie różnych muzycznych półek, ale łączy je jedno. Tworzą muzykę na najwyższym światowym poziomie. Warto się przekonać.

Po piąte (uwaga, opuszczamy strefę kultury), nie ufajcie politykom. Głosujcie, jeśli możecie. Bierzcie czynny udział w życiu społeczno-politycznym. Ale zachowajcie zdrowy dystans. A już w ogóle nie słuchajcie tego, co mówią populiści, skrajni nacjonaliści i wszelkie inne polityczne mendy. Z tego nic dobrego nigdy nie wyszło.

Po szóste, bądźcie tolerancyjni. Rasizm, seksizm, ksenofobia i wszystkie inne formy dyskryminacji są gównem, w które łatwo wdepnąć, a ciężko się oczyścić. Szanujcie innych, a jest szansa, że i oni będą Was szanować.

Po siódme i ostatnie... Najpierw wyjaśnienie: pisząc ten felieton oglądałem kolejne odcinki serialu „Happy Tree Friends". Każdy z epizodów kończy się wielce pożyteczną poradą dla widzów. I oto jedna z nich: Jedzcie warzywa.

Pozdrawiam,

Kuba

jimmy jazz news

„Prowadź mnie ulico" to doskonale znany fanom punka, ska i rock'n'rolla cykl składanek prezentujących wykonawców współpracujących z Jimmy Jazz Records. Trzecia część tego wydawnictwa – tradycyjnie oferowana odbiorcom w specjalnej, niższej cenie – powinna trafić do sklepów w pierwszej połowie czerwca, przynosząc, podobnie jak poprzednio, sporą ilość nagrań z nowych i dopiero zapowiadanych wydawnictw wytwórni oraz utwory niepublikowane, przygotowane specjalnie na tę okazję. Tym razem na krążku znajdą się nagrania m.in. Komet, The Analogs, Anti Dread, WC, Rewizji, Way Side Crew, Road Trip's Over, O.D.C., The Kolt, Pavulon Twist, The Cuffs, Vespy, Nowego Świata, The Headhunters... Pośród nagrań audio na płycie znajdzie się także kilka teledysków m.in. z udziałem Komet, Analogs, Way Side Crew.

Równolegle z premierą najnowszego albumu **Komet** pt. „2004-2006" do rozgłośni radiowych trafił pierwszy singiel z utworem „W dżinsach i w swetrze" promujący to wydawnictwo. Na początku czerwca kolejny utwór singlowy trafi do audycji radiowych. Wybór zespołu i wydawcy padł na nową wersję starego przeboju Partii „Kieszonkowiec Darek" nagranego przez Komety ponownie w nieco zmienionej wersji. Jednocześnie zespół aktywnie koncertuje po całym kraju przygotowując się do – zaplanowanej już – dłuższej trasy poza granicami Polski.

Najbliższe **premiery** Jimmy Jazz Records planowane do wydania jeszcze przed wakacjami to debiutancki krążek legionowsko-warszawskiej grupy Bang Bang pt. „Rozdarcie", drugi album street rock'n'rollowej formacji Way Side Crew „Razem do piekła" oraz debiut grającej punk rock w starym stylu lubińskiej grupy Rewizja pt. „Mity i legendy". Więcej informacji o działaniach wytwórni na stronie www.jimmyjazz.pl, która w ostatnim czasie zmieniła nieco swój wygląd.

KONKURS!

Dla wielbicieli polskiego punka i rockabilly mamy konkurs, w którym do wygrania są dwie płyty: Komety „2004-2006" oraz debiutancki album kapeli Nowy Świat. Wystarczy chwilę pogłówkować i odpowiedzieć na pytanie:

Z jakiej warszawskiej dzielnicy wywodzi się zespół Komety?

Pytanie proste, bo wystarczy poszukać podpowiedzi w jednym z poprzednich wydań „Ślizgu". A recenzje płyt znajdziecie w numerze lipcowym.

Swoje odpowiedzi przesyłajcie na mail slizg@slizg.com.pl w terminie od 8-10 czerwca. W temacie maila wpiszcie Jimmy Jazz. Kto pierwszy, ten lepszy!

Powodzenia!

deski front

Cztery modele (a na fotce obok widzicie sześć wzorów) wyprodukowanych w Kanadzie profesjonalnych decków o bardzo dobrych kształtach i najbardziej popularnych szerokościach. Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Deskorolki są firmowane przez znanych polskich prosów: Tomka Kotrycha, Eryka Gaja, Tomka Dworzaka i Gutka Szymańskiego. Jeśli potrzebowalibyście bardziej szczegółowych danych na temat widocznego obok sprzętu (w stylu wymiarów lub kształtu desek, a także ich ceny), to uderzajcie bez wahania na **www.frontskateboards.com**

buty reebok

Dzięki współpracy skateboardera Steviego Williamsa z Reebokiem powstała pierwsza w historii skate'owa linia Reebok DGK (Dirty Ghetto Kids), która jest rozszerzeniem firmowanych przez Williamsa decków. Reebok Workout LO DGK to but, którego nie powstydzi się żaden profesjonalny skateboarder. Dostępny jest w kilku wersjach kolorystycznych i został stylowo osadzony na gumowej podeszwie. Jej zróżnicowana faktura ma zabezpieczać przed poślizgami nie tylko podczas wykonywania trików na desce, ale i na co dzień.

ochraniacze tsg

Pierwszy z ochraniaczy (ankle support) wkładamy, drodzy skaterzy, na kostkę, co by uniknąć przykrych skręceń, zwichnięć i innych nieprzyjemnych wypadków, które mogą Was spotkać przy wykonywaniu tricków. Drugi z ochraniaczy (shinguard bmx ankle 2) wkładamy, drodzy bmx-owcy, na piszczel (a i kostkę przy okazji też Wam ochroni), co by uniknąć stłuczeń, złamań i innych nieprzyjemnych wypadków, które mogą was spotkać przy wykonywaniu tricków. Brzmi podobnie? Bo akcesoria te mają podobne zastosowanie, dodatkowo jest dzięki nim wygodniej i bezpieczniej.

kaski evolution

Oto nowy model kasków streetowych Evolution, przeznaczonych na deskę i rower. W każdej wersji macie do wyboru dużą gamę kolorów i grafik, które możecie sobie sprawdzić wchodząc na www.ridetsg.com. Mając takie wdzianko na głowie możecie skakać przez różne dziwne rzeczy bez obawy, że spotkanie Waszej czaszki z podłożem po ewentualnym upadku będzie mieć groźne następstwa.

True Tony SMS 7316

Odbiło się!	PHASL.650156
Wystrzał z armaty	PHASL.650103
Śmiech krasnoludka	PHASL.650108
Dzwonek starego telefonu	PHASL.650205

True Tone: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki True Tone. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat.0700-380-705 (1,69 -2,06 PLN/min z VAT)

SUPER dzwonki MONO 7216 POLI 7516 REAL SOUND 7316

POLECAMY	MONO	POLI	REAL SOUND
Halo kochanie	PHASL.211070	PHASL.605119	PHASL.651317
Outta Control	PHASL.212467	PHASL.606236	
Nic Więcej	PHASL.208958	PHASL.603356	PHASL.650908
Kocham	PHASL.212276	PHASL.606087	
How We Do	PHASL.210716	PHASL.604822	
Skarby	PHASL.206206	PHASL.601348	PHASL.650839
Lepsze Jutro	PHASL.211695	PHASL.605607	
My Place	PHASL.207388	PHASL.602287	

SUPER HITY	MONO	POLI	REAL SOUND
Ten Czas	PHASL.212940	PHASL.606590	
Zero do stracenia	PHASL.213003	PHASL.606626	PHASL.651707
Jest nas wielu	PHASL.210704	PHASL.604834	
Przestrzeń	PHASL.208263	PHASL.602790	PHASL.650816
When I`m Gone	PHASL.212662	PHASL.606373	PHASL.651318
Candy Shop	PHASL.209943	PHASL.604144	PHASL.651351
Loosen Control	PHASL.205581	PHASL.601271	
Żeby nie było	PHASL.207387	PHASL.601358	PHASL.650849

Dzwonek monofoniczny: SMS 7216 dostępne na telefony: Nokia PHASL.numer_obiektu, Siemens PHASL.5numer_obiektu, Motorola PHASL.Mnumer_obiektu, dzwonek monofoniczny EMS PHASL.Enumer_obiektu. Koszt SMS'a: 2,00 - 2,44 PLN z VAT. 0700-281-750 (1,05 -1,28 PLN/min z VAT)
Dzwonek polifoniczny: SMS 7516 dostępne na telefon obsługujący dzwonki polifoniczne, Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu (np. PHASL.605896)
Koszt SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z VAT. 0700-508-508 (koszt: 3,00 - 3,66 PLN/min z VAT)
Real Sound: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki Real Sound. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat. 0700-380-705 (1,69 -2,06 PLN/min z VAT)

HITY True Tone SMS 7316 **NOWOŚCI**

POLECAMY	NR MELODII	TOP HITY	NR MELODII
Chyba zwariuję!	PHASL.650964	Windą do nieba	PHASL.651012
Spotkanie w autobusie	PHASL.651082	Szkot w pociągu	PHASL.651009
Do czego jest telefon?	PHASL.650963	Uwagi policjantów	PHASL.650986
Leń patentowany!	PHASL.650962	U teściowej	PHASL.651004
Aaaaa tamm dicho być !	PHASL.650966	Wycieczka do zoo	PHASL.650997

True Tone: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki True Tone. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat.0700-380-705 (1,69 -2,06 PLN/min z VAT)

KOLOROWE tapety SMS 7516 **Top Hity**

HIT

PHASL.255513

PHASL.255442

www.toplogo.pl

Kolorowe Tapetki: SMS 7516 Tapety dostępne na telefon z kolorowym wyświetlaczem, Aby pobrać tapetkę wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu (np. PHASL.257076).
KOSZT SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z Vat. 0700-508-508
(koszt: 3,00- 3,66 PLN/min z VAT)

Phonesat

Informacje o promocjach:
SMS o treści ZGODA na numer 3232
Chcesz zrezygnować z otrzymywania ofert.
SMS o treści WYPISZ na numer 3232
Reklamacje: 0700-188-508 lub biuro@phonesat.pl

FLINTESENCJA
BEZ ODBIORU

Spotkałem na Chmielnej rapera, który jakiś czas temu wypuścił płytę – bardzo dobrą, dojrzałą, dopracowaną, wskazującą na artystyczny rozwój. Odbiorca okazał śladowe zainteresowanie, przez niego raper stracił dwuletnie oszczędności. I dostał czytelny sygnał – nie było warto.

Na Wilanowskiej spotkałem się z innym mc. Kiedy jechaliśmy na wywiad z jego przyjaciółmi, rozmowa dotyczyła również rapu. Również. Przede wszystkim jednak wysyłania CV i znajdowania pracy. Był to jeden z tych raperów, o których odbiorca myśli, że jego prawilność polega na zdzieraniu zawrotnych sum na koncertach. Pobudka!

Z rozmowy ze znajomym raperem z Podkarpacia: „To słychać, widać, to się gra w klubach, ale chyba nie ma przełożenia na coś więcej. Ludzie przychodzą się pobawić i ten cały 'hip-hop' istnieje w ich świadomości tylko wtedy, ewentualnie w Radiostacji w postaci kilkunastu kawałków na rotacji. Nawet te 100 słabych nielegali, te łącznie setki czy tysiące słabych raperów w każdym mieście, składy, duperele, dzwonki, dobre funkcjonowanie skate-shopów, to jednak jest oznaka, że zainteresowanie – pośrednie czy bezpośrednie – jest dość duże. Ciężko tylko zmienić mentalność homo sovieticusa, żeby ktoś poszedł do sklepu kupić płytę, jak może ją mieć za friko. Słuchaj, na koncerty czy imprezy w Rzeszowie przychodzą często tłumy. Płacą za wjazd, bo muszą, ale patrząc na dzieciaki teraz, to Lonsdale, Everlast, ortalion i łysa pała w modzie. Nic innego."

Trójmiasto – mam tam kontakt z ziomkiem, który kiedyś współtworzył lokalną scenę, potem miał jeszcze trochę energii, żeby ją promować, teraz ogranicza się raczej do zachodniego rapu. „Jak dobrze, że to już nie te czasy, gdzie trzeba było słuchać każdej płyty, która wyszła", powtarza. Jechał ostatnio na plan teledysku kolegi, rozmowa zeszła na temat jednego z beefów. „Padały argumenty na poziomie: 'a ten to się przynajmniej umie napierdalać'. Już wiesz, dlaczego od hip-hopowców w Trójmieście trzymam się raczej z dala". Kilka dni później dał znać zrezygnowany: „Jakiś kolo kręci trójmiejską wersję 'Blokersów' – słyszałem, że ma 'ambicję' inspirować się Latkowskim. Wszyscy myślą tutaj pewnie, że będą tak sławni jak Peja. Jak, kurwa, dobrze, że mam z tym światkiem tak mało wspólnego".

Dolny Śląsk. Tu nawet nie muszę cytować rozmów, mogę cytować kawałki: „Łebki wożą się furą i plują na chodnik / rozmiar spodni XL, ale kto to jest Big L", „Środowisko dzieciaków nabite nihilizmem", „Stoją pod klubem szczyle, nie dla rapu, ale dla klepania w tyłek", „Mamy hip-hop w butach, hip-hop w ciuchach, w klubie / a ja osobiście mam ten hip-hop w dupie, ziom / cześć hip-hop, piona hip-hop, co tam hip-hop, a jak w szkole hip-hop? / w ogóle, idź stąd". Kiedy odwiedzam chłopaków, siadamy wypić piwo i zapalić na wyspie. Obok pijani metale, coraz natarczywiej proszą o szlugi. „Przynajmniej są nieszkodliwi, da się tu siedzieć, gdyby to byli hip-hopowcy, to by się nie dało", konstatuje jeden z moich rozmówców. Drugi już wcześniej pisał, że spędza czas w barach właśnie z takimi ludźmi.

Przykłady można mnożyć. Znany realizator dźwięku, z którym kiedyś można było rozmawiać o hh (próbował nawet lepić beaty), obecnie mówi o nim tylko z niesmakiem. Kozacki grafik odpowiedzialny za logówki najbardziej wyczekiwanego chyba obecnie w podziemiu nielegala, który przestał chodzić na imprezy hip-hopowe, a zaczął na house'y, właśnie przez ludzi i klimat. Mieliśmy niedawno wywiad ze Szkielą, skaterem z niezłym hip-hopowym potencjałem, tyle że teraz jedynym śladem po tym potencjale są docinki, jakie słyszy w pracy. Jeden z czytelników „Ślizgu" pisze magisterkę o hip-hopie. „Wielu respondentów biorących udział w moim badaniu stwierdzało, że nie chcą być postrzegani jako przedstawiciele tej kultury. Jak myślisz, gdzie leży przyczyna tego, że ludzie przestają się utożsamiać z tym środowiskiem, mimo że świadomie uznają się za hip-hopowców?", pyta. Odpowiedź właściwie jest powyżej, a respondentów należy zrozumieć. Przynajmniej ja ich rozumiem.

Chory jestem, słysząc sztucznie podniesione głosy z cwaniacką nawijką i widząc na rogach sycące, plujące przez zęby grupy gnojków w bluzach Everlasta noszonych na przemian do bagów i dresów, obcinające wszystko nienawistnie. Nie wychowali ich rodzice, nie wychowała szkoła, nie wychował hip-hop, bo nic ich nie jest w stanie wychować (może Giertych?). Słuchają muzyki nie dla niej samej, ale po to, żeby być „za" albo „przeciw" wykonawcy. Słuchają muzyki, żeby robić na złość. Rodzicom, nauczycielom, społeczeństwu. Identyfikują się, ale nie z treścią. Z groźnymi grymasami i bluzgami. Tak naprawdę nie słuchają więc muzyki. Od 2002, kiedy rap wyszedł z piaskownicy, przestali rozumieć teksty. Są największą, bo chodzącą po ulicach w tysiącach egzemplarzy, antyreklamą hip-hopu. Dziękuję im bardzo. Za młodych raperów, których nikt nie chce wydać. Za weteranów, którzy zaczną cofać się w rozwoju i „odgrzewać kotlety", bo tylko tak zarobią. Za mc wyjeżdżających z kraju na saksy i producentów marzących tylko o sprzedawaniu beatów za granicę. Za dziennikarzy, których wszystkich lada dzień zmusi się do pytań w rodzaju: „kogo przeleciał dany raper" i eskalacji nienawiści, bo gdy traktują publiczność jak inteligentnych ludzi, ta ma to w dupie. Za garstkę wspaniałych dzieciaków oddanych hip-hopowi, którzy czują się zagubieni i zdezorientowani wśród tego buractwa, z dnia na dzień tracąc nadzieję i gorzknieając w domach. Za kilka lat własnych złudzeń. Dziękuję i pozdrawiam – jak Tede – „serdecznym spierdalaj".

Flint

DOT-it™

Nasi najdrożsi czytelnicy! Tym razem mamy dla Was konkurs nieco nietypowy jak na Ślizgowe realia. Do wygrania bowiem nie macie płyt, koszulek czy plastikowych figurek redaktorów, a gadżety w postaci przenośnych, samoprzylepnych lampek **DOT-it** firmy Osram (spójrzcie na ósmą stronę poprzedniego numeru, jeśli chcecie poznać szczegóły na temat tego produktu). Nagrodzeni zostaną ci z Was, którzy przyślą na adres mailowy *slizg@slizg.com.pl* w dniach 1-5 czerwca najlepsze, najciekawsze, najbardziej oryginalne propozycje na wykorzystanie w praktyce lampek **DOT-it**. Powodzenia!

konkurs

IMPREZOWE INFO:

Zbliża się tegoroczny **BRUK Summer Street Festival**, który jest wielkim przeglądem aktywności twórczej młodych ludzi w Polsce, reprezentujących szeroko rozumianą kulturę miejską. W ramach BRUK Festiwalu 2006 odbywać się będą: warsztaty Hip-Hop Academy (breakdance, joga, afrodance, hip-hop, capoeira, dj'ing, beatbox) i liczne imprezy festiwalowe (Bruk Graffiti Jam, Plej Sport on da Bruk, Bruk Mega Show, Bruk Underground Contest, Drum'n'bass and Electronic Beats Session, Bruk Video Awards, Hip-hop Film Festival, Dance Battle, DJ Battle i Beatbox Battle). Bruk Festival to także okazja, by zobaczyć na żywo gwiazdy muzyki, teatru, tańca, graffiti i nauczyć się czegoś u ich boku.

Wszystkie wydarzenia podobnie jak w zeszłym roku będą odbywać się w centrum Gdyni (Plaża Miejska, Skwer Kościuszki, ul. Świętojańska, Teatr Muzyczny). Całość będzie podzielona na 2 części.Pierwsza - mający miejsce w Teatrze Muzycznym Międzynarodowy Festiwal Teatralny i imprezy towarzyszące - odbywać się będzie od 15 do 18 czerwca 2006. Druga część rozpocznie się wraz z początkiem wakacji, czyli 23 czerwca i przez dwa tygodnie w Gdyni zagoszczą beatboxerzy, tancerze, dj'e, producenci muzyczni i wiele osób zainteresowanych i współuczestniczących w kulturze Urban Music i hip-hop. W tej części najważniejszą imprezą będzie wielka gala i koncerty Bruk Mega Show, która odbędzie się 30 czerwca 2006 na plaży miejskiej w Gdyni.

W roku 2006 odbędzie się już trzecia edycja **TOWN TOUR** i piąta MENTORA. Te dwie największe polskie imprezy deskorolkowe zostaną w tym roku połączone. Town Tour trwać będzie siedem dni i odbędzie się w Warszawie, Toruniu, Gdańsku, Poznaniu i Wrocławiu. Cykl imprez rozpocznie się 21 czerwca w Warszawie. Kolejnym przystankiem touru będzie Toruń, gdzie zawodnicy wezmą udział w międzynarodowych zawodach ADIO Mentor Session. Potem grupa wyruszy do Gdańska na otwarcie pierwszej w Polsce skateplazy. W Poznaniu odbędzie się jam pod Kinepolis. Tour zakończy się we Wrocławiu zawodami deskorolkowymi dla młodych miłośników deskorolki. Terminy: 21-22 czerwca Warszawa (Blue City), 23-25 czerwca Toruń (ADIO Mentor Session), 26-27 czerwca Trójmiasto (skateplaza Gdańsk), 28 czerwca Wrocław (Plac Wolności).

Amok zapowiada spory contest skateboardowy. Wydarzenie będzie miało miejsce w Łodzi (MOSiR, ul. Ks. Skorupki 21) w dniach 9 – 11 czerwca. Lato zacznie się więc niezłą (miejmy nadzieję) imprezą.

Erykah Badu wystąpi na kolejnym koncercie w Polsce. Zaśpiewa 11 lipca w Warszawie (Amfiteatr w Parku Sowińskiego).

Zapowiadana już kiedyś na naszych łamach trasa francuskich hardcore'owców z **L'Esprit Du Clan** wreszcie dojdzie do skutku. Zespół, wraz z supportując go Schizmą, pojawi się w Warszawie (5 czerwca), Bydgoszczy (6 czerwca), Gdyni (7 czerwca), Wrocławiu (8 czerwca) i wreszcie w Krakowie (9 czerwca). Polecamy!

Pierwszy i jedyny koncert w naszym kraju **KRS-One** zagra 4 czerwca w warszawskim klubie The Fresh. Na imprezie wystąpi również Busy Bee Starski – jeden z pionierów kultury hip-hop. No, chyba nikogo specjalnie zachęcać nie trzeba, nie? Polecamy, oczywiście!

KONKURSY!!!

HIP-HOP KEMP

Dużo w tym miesiącu w „Ślizgu" konkursów, ale ten jest prawdziwym szlagierem. Mamy bowiem dla Was dwie darmowe wejściówki na jubileuszowy, piąty już **Hip-Hop Kemp**, który odbędzie się w dniach 18-20 sierpnia na lotnisku pod Hradec Kralove w Czechach. Wystarczy przekonać nas, że to akurat Wy musicie dostać jedną z nich. W dniach 4-8 czerwca czekamy pod adresem mailowym slizg@slizg.com.pl na „oferty". Dwóch najbardziej przekonujących czytelników „Ślizgu" otrzyma wejściówki na festiwal.

PCP

Mamy dla Was pięć krążków formacji **Północ Centrum Południe**, wydanych co prawda w ubiegłym roku, ale właśnie ponownie wprowadzonych do sprzedaży (w dwóch wersjach – poszerzonej oraz mniej obciążającej portfel) przez Vabank Records. By wygrać, trzeba odpowiedzieć na pytanie: „Z jakich miast pochodzą trzy grupy, wchodzące w skład PCP, czyli Deluks, JWP i Intoksynator?". Na odpowiedzi czekamy w dniach 5-7 czerwca pod mailem slizg@slizg.com.pl. W temacie wpiszcie „PCP".

KOMIKSY

Możecie wygrać jeden z komiksów z serii **„Cat Shit One"** albo **zestaw albumów o Jeżu Jerzym**. Wymieńcie przynajmniej dwa tytuły komiksów, których bohaterami są zwierzęta (oczywiście oprócz „Jeża Jerzego" oraz „Cat Shit One", nie może być aż tak łatwo). Swoje odpowiedzi przysyłajcie na adres slizg@slizg.com.pl w dniach 12-14 czerwca, w tytule maila wpisując „komiks".

CAMEY RECORDS

Współpracujemy też z Camey Records i mamy dla Was do wygrania dwie najświeższe pozycje płytowe z tego labela: **„2+2=7" Siedmiu Łez** oraz **„Inni niż wszyscy" Trzeciego Wymiaru**. Szansę na płytę mają czytelnicy, którzy najszybciej przyślą na adres mailowy slizg@slizg.com.pl w dniach 1-4 czerwca listę przynajmniej pięciu krążków, które wcześniej ukazały się nakładem Camey Studio. Powodzenia!

RZEŹ NIEWINIĄTEK

Nie wypada wręcz nie popastwić się nad tradycyjnym obiektem żartów środowiska hip-hopowego, czyli Funky Filonem. Ten znany, ceniony, szanowany i utalentowany raper po sukcesie numeru o pochodzącej z Wietnamu Chince-Czikulince trafił do reklamy. Jego umiejętności mają zachwalać lody nowosądeckiego Korala. Jego partnerami są Red (szkoda komentować) i Majka Jeżowska. Każdy ziomek je lody Koral? To ja odtąd pieprzę, nie jestem ziomkiem i ślubuję odtąd zwracać uwagę na producentów lodów i te z logo Korala zostawiać w lodówce dla prawdziwych hip-hopowców.

Drugie info telewizyjne dotyczy nestora polskiego dziennikarstwa muzycznego, Marka Sierockiego, który w Teleexpressie na początku maja (weekend był, więc mogłem obejrzeć) ze znawstwem wymienił nazwę zespołu dzierżącego już od kilku tygodni pierwsze miejsce na brytyjskiej liście przebojów. Nie wiecie, o kogo chodzi? Toż to oczywiście „Generals" Barkley. Ciekawe, bo jak przychodzi do nazywania DeMono czy Big Cyca, Marek problemów już nie ma...

W muzycznym felietonie „Mało Co Nieco" publikowanym w bezpłatnym dziennku „Metro" Paweł Stremski oddaje hołd Kalibrowi 44. I dobrze, bo im się należy. Tylko po co – ewidentnie nie mając pojęcia o tym, co obecnie w hip-hopie jest dobre – traktuje ich jako kontrast dla dzisiejszych polskich raperów. Według niego, członkowie Kalibra „(...) jakby niechcący stali się ojcami chrzestnymi wszystkich współczesnych O.S.T.R.-ych, Dużych Pe i innych hiphopowych ziomów." To tak, jakby napisać, że wśród felietonistów Bolesław Prus niechcący stał się ojcem chrzestnym wszystkich współczesnych Passentów czy Rybińskich. Dosyć nietrafione, prawda? Na pewno Prus nie jest ojcem chrzestnym Stremskiego...

Tiga, Mylo DJ, Fischerspooner i finaliści konkursu Nokia DJ Cup wystartują **15 lipca 2006** w **Warszawie** na **Torach Wyścigów Konnych na Służewcu.**
Chcesz kupić bilet? Wejdź na stronę: **www.nokia.com.pl/nokiatrends**

zakochaj się w Warszawie
www.um.warszawa.pl

NOKIA trends
New Music. New Places.

„RBK Hip Hop Tour 2006”
Płyta już w sklepach !

POBIERZ DZWONKI:

Molesta Ewenement „Ty wiesz, że...”	POLI: DEZP1129	MONO: DEZZN1431	REAL: DEZU0327
WWO „Uszanuj 3”	POLI: DEZP1130	MONO: DEZZN1432	REAL: DEZU0328
O.S.T.R. feat. Kochan „Opijamy 7”	POLI: DEZP1131	MONO: DEZZN1433	REAL: DEZU0329
Molesta Ewenement „Ty wiesz, że... Dezmond remix”			REAL: DTGU0330
WWO „Uszanuj 3 Korzeń remix”			REAL: DTHU0331
O.S.T.R. feat. Kochan „Opijamy 7 Kuba O. remix”			REAL: DTKU0332

Aby pobrać dzwonek POLI/MONO/REAL, wyślij SMS pod numer 72950. W treści wpisz kod dzwonka POLI/MONO/REAL. Jeśli chcesz wysłać dzwonek POLI/MONO/REAL innej osobie, to w treści wpisz kod dzwonka POLI/MONO/REAL, potem spację i numer telefonu adresata (np. DEZP1129 50X500500). Po wysłaniu SMS-a otrzymasz zakładkę WAP, dzięki której pobierzesz dzwonek POLI/MONO/REAL.
Uwaga! Musisz mieć poprawnie skonfigurowane połączenie WAP i odpowiedni telefon.
Koszt SMS-a pod numer 72950 to 2 zł netto (2,44 zł z VAT).
Usługa dostępna w sieciach: ORANGE, ERA, PLUS GSM, HEYAH, SAMI SWOI.
W razie problemów wejdź na www.pomoc.mobista.pl

UWAGA KONKURS:

Napisz krótką recenzję filmu „RBK Hip Hop Tour”. Najciekawsze recenzje zostaną nagrodzone jednym z **5 kompletów ubrań RBK** (bluza, spodnie, buty) lub jednym z **50 oryginalnych gadżetów RBK**. Wyślij SMS o treści: **RBK. + treść recenzji** na numer **7197** (cena 1,22 zł z VAT). Recenzja nie może zawierać polskich liter i SMS nie może być dłuższy niż 160 znaków. Odpowiedzi prosimy nadsyłać do dnia 31.08.2006.
Rozwiązanie konkursu 07.09.2006 na www.embargonagrania.pl.
Regulamin i szczegóły konkursu na www.embargonagrania.pl

DATY KONCERTÓW RBK HIP HOP TOUR 2006:
19.05 ŁÓDŹ KLUB FUNABERIA 2
26.05 POZNAŃ KLUB ZEPPELIN HALL
09.06 GDYNIA KLUB UCHO
16.06 WARSZAWA KLUB STODOŁA
23.06 KRAKÓW KLUB STUDIO

Dystrybucja: ITI Film Studio. Tel.: 0 22 453 36 02 www.embargonagrania.pl

kolekcja mass

W najnowszej letniej kolekcji szortów Massa znalazło się miejsce dla bardzo praktycznych bojówek. Ilość kieszeni i ich rozmieszczenie daje Wam pewność pomieszczenia i szybkiego odszukania wszystkich niezbędnych latem przedmiotów. A poza tym Mass rozszerza swoją ofertę akcesoriów o trzy modele sportowych skarpet! Znajdziecie wsród nich standardowe, długie skarpety, jak również krótkie tak zwane „stopki”.

buty podium

Oto kolejne dwa modele z nowej kolekcji Podium. Do biegania, jazdy na desce, na bmx-ie, w ogóle do wszystkich form aktywności fizycznej, normalnego chodzenia po ulicach nie wyłączając. Wygodne, kolorowe, skórzane i zamszowe (aż się samo rymuje). Normalnie, się gra, się ma. Bajerka jest.

BAS
STEP UP
SWITCH BACK 180
CHECK IT DAILY..
WWW.ETNIESSKATE.COM
etnies
BLACK / WHITE / GREEN
ROCK BASTIEN SALABANZI'S
PRO MODEL SHOE WITH ENOUGH TECH
AND SPECIAL FEATURES TO QUALIFY FOR
'SUPER' SKATE READY STATUS.
BASTIEN'S PRO MODEL FEATURES:
FOAM
systemG2

PLNY TEXTYLIA
DYWIZJON STYLU
SZWADRON LANSU
TEDE

„Baunsu król" – kto go tak nazwał?. Weteran polskiego hip-hopu – tak nazywamy go my, ale na pewno nie jako pierwsi. Esende Mylffon – tak nazywa sam siebie na nadchodzącym, czwartym już solowym krążku. Przed Wami tekst, w którym Tede swoimi słowami opowiada Wam o swojej karierze oraz planach na przyszłość. A jest o czym opowiadać...

rozmawiał Grabiszczy
foto Wojtek Antonów

Poszedłem raz do Hybryd i puściłem Voltowi swoje nagrywki z walkmana. To był jedyny raz, kiedy puściłem komuś kawałek, żeby spytać, co o tym sądzi. Volt posłuchał – a to były jego bity, bo miałem je od Mariana (DJ'a Jana Mariana, dziś DJ'a Mario – przyp. red.) – i powiedział: „Dobra, przyjedź do mnie jutro, nagramy coś." Więc przyjechałem do niego na ten Gocław. „No, to nagramy tu kawałek, masz tam małolat jakieś rymy?" „No, mam rymy". Pizgam na grubasie dwie zwrotki, Volt nagrał swoją. Wpadam do niego dzień potem, on już zmienił swoją zwrotkę – musiał, bo w porównaniu z moimi była czerstwa – moją drugą wyjebali, Marian się tam dogrywa. „Spoko, dobry jesteś, możesz z nami rapować".

Reprezentuję moc i mówią na mnie Ceu. Ja też mam moc, jestem pan Tedeusz

„Moc"

W pewnym momencie w rozwoju mojej twórczości pojawił się Ceube, ponieważ ja i Marian rozstaliśmy się z Voltem, bo zespół Ein Killa Hertz działał na zasadzie „spotkajmy się i nagrajmy kawałek raz na pół roku". Zresztą w sumie nagrałem z nimi tylko dwa kawałki, tego drugiego nawet nie pamiętam... Wtedy znałem już Ceubinę jako koleżkę ze szkoły. Posiadał on komputer 286 czy nawet 386 i robił bity – więc była to szansa na uniezależnienie się od Volta. Volt trzaskał wtedy biciwa już naprawdę fajne, a mało kto inny robił takie rzeczy. Potem Ceube stał się posiadaczem legendarnego czterośladowego magnetofonu firmy Schneider czy tam Amstrad, który miał crossfadery z ceraty. To już był, człowieku, wypas!

Potem pojawił się na mojej drodze Krzysztof Kozak, który zaproponował nam wydanie płyty Warszafski Deszcz. Spotkaliśmy się – było to pod „Remontem", na koncercie promującym Kalibra czy Wzgórze, nie pamiętam – i zaproponował nam wydanie płyty. Ile się ostatecznie sprzedało tej płyty, tego nikt nie wie, ponieważ Krzysztof Kozak takie miał metody działalności rynkowej. Ja sam chciałbym wiedzieć, czy to było 150 tysięcy, 200, czy jeszcze więcej. Teraz dycha to spektakularny sukces, ale cóż zrobić. Wtedy weszliśmy do studia w katolickim Radiu Plus i tam nagrywaliśmy płytę codziennie od 22:30 do czwartej rano i byliśmy w szoku: „Łoł, studio, jak super!". Chociaż taka paranoja – nagrywaliśmy w realizatorce, a za szybą był dział redakcyjny. Wokale nagrywało się w pomieszczeniu, gdzie siedział gościu od zarządzania siecią, w takim piździpokoiku (śmiech).

Słuchasz słów rymocholika, 3H, ten okres się dla mnie zamyka. Patrz, dookoła taka sama klika, ale inna muzyka, inna liryka

„Rymocholiko"

Ceu zajmował się już wtedy szyciem ciuchów. Ja nagrałem kawałki na Wspólną Scenę, były kolejne nagrywki na płytę dla Kozaka, mieliśmy już koncerty. W „Remoncie" na scenie był fortepian, na którym Ceu miał teksty, bo ich nie pamiętał i z kartki jechał. Teraz to byłoby niedopuszczalne. Ceubina jest bardzo fajnym ziomem, ale – co dotyczy wielu wykonawców tej muzyki w Polsce – trzeba mieć predyspozycje sceniczne. On z automatu stał i patrzył w ziemię, trudno było mu się przemóc, co na początku nie jest łatwe. Trzeba wpaść na patent, że patrzysz na reflektor na końcu, on cię oślepia i nie widzisz ludzi. On już nie zdążył na to wpaść. No i się jakoś naturalnie wycofał z tego. Był ponadto zaangażowany w romantyczny związek z pewną piękną dziewczyną i poświęcił się temu oraz ubraniom i dobrze, każdy ma swoje miejsce.

Numera poznałem dzień po nagraniu pierwszego kawałka u Volta, kiedy wpadł do niego z Zerówką (DJ'em Zero – przyp. red.). Znałem go wtedy z opowieści. Poznaliśmy się, jaraliśmy gibonki, potem nagraliśmy coś razem, już przecież był nawet na „WWA". No i sytuacja była taka, że Ceubina miał już te swoje zajęcia „pozalekcyjne", a ja w potrzebie rapowania, rapowałem z Numerem.

Pamiętasz Fieję? Ja też go znam. I wiesz co? Cały czas jako ten sam trwam

„Ja trwam"

Do WfD nawiązywałem jeszcze na pierwszej solówce, na drugiej, na pierwszym Buhhu. Ale Warszafskiego Deszczu już nie będzie. W pewnym momencie, kiedy nagraliśmy płytę „Nastukafszy", był jakiś tam sukces, chociaż niewymierny. Nie było wtedy jeszcze teledysku, ale były koncerty, byliśmy znani, wystąpiliśmy parę razy w telewizji. I tak przyszedł czas pracy nad drugą płytą. Od nagrania „Nastukafszy" do nagrania następnego wspólnego kawałka minął rok. W tym czasie zacząłem już nagrywać swoją płytę. Kiedy nagrywaliśmy kawałki na drugą płytę WfD „Reminiscencje", ja już wydałem „S.P.O.R.T." Chłopaki się pogodzili z tym, że byłem ich frontmanem. Numer jest fajnym, wesołym ziomkiem, ale on nie był gościem, który grał pierwsze skrzypce, jakby z natury. Marian, jak rymował swoją zwrotkę, to się patrzył w ziemię, ale nieważne. Ta płyta miała wyjść, tak jak poprzednia, u Kozaka. I to był właśnie cały problem...

Ja miałem wtedy też gotowy już prawie cały „Hajs, hajs, hajs", a Kozak nie miał nic do zaproponowania. Jego wytwórnia się sypała, on się sypał i była dupa. No i wtedy (Tede odpukuje w stolik stojący obok – przyp. red.) postanowiliśmy z DJ'em Ostaszem, że założymy firmę (śmiech). Znak Wielkie Joł był już na płycie „S.P.O.R.T.", a my chcieliśmy wprowadzić go w życie. Moim wkładem w WJ była moja płyta, którą miałem już gotową, a po sukcesie poprzedniej można było ją przeliczyć na jakiś relatywny zysk. Numer zniósł to po męsku. Jak później czas pokazał, wydał płytę w Wielkim Joł. Marian zawsze miał niechęć do Ostasza – może i słusznie, jak się dzisiaj okazuje. Numer też miał dość sceptyczny stosunek, ale się z tym pogodził, a Marian był zgulowany strasznie.

Opcji reaktywacji teraz nie ma. Przede wszystkim dlatego, że można na mnie mówić różne rzeczy – że jestem komercyjny, sprzedałem się i tak dalej – ale uważam, że nie można robić ludzi w chuja: nie widzieć się dwa lata i nagle się jednoczyć. O czym mamy taką płytę nagrać? Że się nie widzieliśmy dwa lata? Po to tylko, żeby zarabiać hajs na dzieciakach? To można im to dać za darmo, inaczej nie ma sensu. W tej muzyce – i dlatego rozpadła się akcja z Voltem i Ceubiną – zespół to jest zespół, robi się coś razem. Numer gdzieś mówił, że może być WfD w innym składzie, czyli pewnie bez Mariana, ale ja nie mam potrzeby nagrywania takiej płyty.

Wkurwia cię nowy tekst o pieniądzach? Ty kieszonkowym rozporządzasz!

„Hajsu"

Dlaczego hajs? Ta muzyka ma być autentyczna, ma odzwierciedlać życie tego, kto ją tworzy. Co ja mam nawijać? Nawijam o tym, jak żyję. Zawsze muszę to wszystkim opowiadać i wykładać. Nagrałem kawałek, że „jest imprezka" nie dlatego, że wymyśliłem sobie, żeby go nagrać, tylko po prostu to był taki okres w moim życiu, że imprezka była codziennie. Więc mam nawijać, że jest mi smutno, źle, szaro i nie mam na akademik? Są tacy, którzy nagrywają takie kawałki, mimo że mają hajs, ale to ich pytaj, oni są prawdziwi, ja nie jestem... Tylko że ja wytrzymuję próbę czasu, do mnie przychodzą ludzie na koncerty i mówią: „Kurde, ziom, rób tak dalej, bo jesteś w tym autentyczny, pierdolimy to, czy ty zarabiasz tyle, tyle czy tyle, ale ty mówisz tak, jak jest". Taka jest prawda, na tym polega ta muzyka.

To też kwestia zmiany czasów. To pokolenie przełomu, które teraz dominuje w Polsce, ma jeszcze zakodowane w głowach, że jak ktoś coś ma, to ukradł. Nie myślą, że jak ktoś coś ma, to znaczy, że on do tego doszedł. Powinni myśleć, że jeśli on tak zrobił, to i oni też tak mogą, zamiast siedzieć na ławce. Nie muszą kraść czy sprzedawać narkotyków, tylko wystarczy się przyłożyć do nauki, a jeżeli nawet nie do nauki, to wierzyć w siebie, robić to, co się lubi i jesz-

cze za to kiedyś dostawać hajs. Dla mnie to jest oczywiste, ale żyjąc w kraju pod tytułem Polska, gdzie wicepremierem jest, kurwa, Solarysta, a Frankenstein jest drugim, to to nie jest wesołe. Każdy, kto liznął psychologii, wie, że ludzie jednoczą się w biedzie. Wystarczy biedakowi powiedzieć, że jesteś biedny i już pijecie wódkę. Jak się już napijecie, to jesteście Polakami, posłuchacie hymnu i jest świetnie. Taki kraj i takie życie. Ale mocno wierzę, że to się zmieni i to mnie determinuje do mówienia cały czas o tym.

Pogodziłeś się ze S.P.O.R.T.-em w końcu
Po tym jak rozpierdoliłem Obrońców

„Wielkie Joł"

Eldo nie widziałem od czasu tak zwanej dogrywki po Płocku, która była w Katowicach. Ale widziałem go wczoraj na zdjęciu. Niedawno oglądałem sobie tę walkę, ależ śmieszne to było (śmiech). Żalu żadnego nie mam. Powiem ci tak – wybierając ofiarę nie byłem bezmyślny, liczyłem na jakąś rywalizację hip-hopową. On kreował się na takiego mentalnie hip-hopowca, który kuma tę kulturę, zna zasady i myślałem, że taką akcję właśnie rozkręcimy – na poziomie czystej rywalizacji. A nie że pojechaliśmy do Katowic, ja stoję przy koleżce, a on siedzi na takim plastikowym krześle na scenie i udaje, że go nie ma. I tak się skończyło, a ja o tym już nie myślę. Mało kto w dzisiejszych czasach o to pyta w oficjalnych wywiadach, ale na koncertach ciągle podchodzi jakiś koleżka i: „Ty, ty to żeś tego Eldo pojechał". To jest już legenda, część historii naszego rapu. Jestem legendarnym ziomem przez takie akcje, które zapamiętali wszyscy. Przecież to oglądali ludzie, którzy w ogóle nie mają nic wspólnego z hip-hopem. Oglądali to jak jakiś wesoły film z Internetu. Pezet to inna historia. Spotkałem go parę razy, pogadaliśmy, umawiamy się, że się spotkamy na nagrywkę jakąś, może jeszcze coś z tego będzie. Wystąpiliśmy też razem w „Kryminalnych".

Gość, co byłby nikim beze mnie
Pała napierdalała myki bezczelnie

„Pała to pała"

Mówiąc na ten temat, muszę uważać, bo pewna osoba tylko czyha, żeby mnie pozwać. Dlatego w tym kawałku nie ma nic oczywistego. Cała sprawa jest ciągle w toku, jeszcze się to nie rozegrało, to już jest szósty miesiąc, pół roku walki. Wszystko wynika z tego, że jestem wielce naiwny, może teraz już mniej. Ale wciąż uważam, że ludziom należy ufać i dawać szansę. Cały czas myślałem, że jak ktoś skończył prawo – chociaż zastanawiam się, jak to zrobił, bo po polsku nie za bardzo umie pisać – to nie będzie podcinał sobie gałęzi, na której siedzi. Teraz spotykamy się już tylko na spotkaniach zarządu firmy.

Mimo że sprzedaż płyt spada, warto utrzymywać takie choćby Wielkie Joł, bo trzeba w coś wierzyć. Robię to dla pieniędzy, ale i dla zajawki. Chociaż powiedzmy sobie szczerze, że pieniędzy z płyt nie ma żadnych. Ja za „Notes" nie dostałem żadnych pieniędzy do dzisiaj, chociaż sprzedaż wynosiła ponad 6 tysięcy. Wynika to z moich rozliczeń z DJ'em P. Master O., z którym do dzisiaj nie podpisaliśmy żadnej umowy na tę płytę. To przez takie gówno mam nie nagrywać płyt? Nie mogę zdradzić szczegółów wyjścia nowego albumu, ale umówmy się – wydanie płyty jest wydaniem płyty, i dobrze, jeśli zyski z niej pokryją koszty jej wydania, bo o zarobku na tym nie myślę. Jest tak, że pokryjesz koszty wszystkich ludzi, którzy brali przy projekcie udział, a sam zarobisz na koncertach, bo to jest Polska, nie elegancja-Francja, niestety. Tu mamy bittorrent, e-mule i to wszystko.

Esende Mylffon, bo to mój flow i styl to
Czuj to, to ja i mój hip-hop tylko

„Esende Mylffon"

Co to jest Mylffon? To samo pytanie zadał mi mój tata, który od pewnego czasu jest zaangażowany w muzykę hip-hopową (śmiech). Jak mu powiedziałem, jaki będzie tytuł płyty, on zapytał: „A po jakiemu to?" Na płycie w singlowym kawałku jest nawiązanie do Gurala i jego „PDG Muflon, bo to mój styl i mój flow". Ja mam „Esende Mylffon, bo to mój flow i styl to". Kiedy ten tekst zwolniliśmy z Mateo, tak się nam spodobało, że został tytułem płyty. Genezy samego słowa nie będę rozwijał, można to sobie skojarzyć z MILF, czyli „Mom I'd like to fuck", ale w naszym rozumieniu Mylffon to po prostu „mistrz". Na płycie nie ma nigdzie powiedziane, co to znaczy i niech tak zostanie. To po prostu mistrz z SND-u (SND to skrót od nazwy warszawskiej dzielnicy Służew Nad Dolinką, o ile trzeba to komuś tłumaczyć – przyp. red.).

Całość płyty ogarnia bitowo Mateo. Mateo to jest kot. Wiele osób mówiło, kiedy wyszedł „Notes", że „cwaniaczek zrobił sobie konkurs, miał bity od małolatów i chuj z tego wyszło". To ja mam Mateo. Jak mi ktoś powie, że chuj z tego wyszło, to ja mu życzę, żeby mu kiedyś taki chuj z czegoś wyszedł. Zajebisty z niego koleżka, zajebiście się rozumiemy. Mateo ma też grubsze opcje za oceanem, ale nie mogę o tym mówić.

Co potem? Następną płytą będzie na pewno płyta Kołcza, gdyż po prostu tak musi być. Następnie chciałbym wydać taką płytę nowych i starych twarzy tej wytwórni, na której można będzie wysondować nowe zespoły. Przychodzą demówki, dostaję płyty od różnych ludzi, jest kilka zespołów, którymi się zajarałem. Tym, które najbardziej będą rokować, będę wydawać płyty – jeśli się oczywiście uda. Liczę w przyszłości na Gurala, ale teraz nie mogę nic konkretnego mu zaoferować. Nie mam ambicji robienia czegoś jak UMC czy My Music i wypierdalać po 40 płyt rocznie. A tak nawiązując – zobaczyłem teraz płytę Verby z największymi przebojami, wydaną po roku od pierwszej. Kurwa, oni wydali całą dyskografię między moją jedną a drugą płytą (śmiech). Bardziej zależy mi na uczynieniu z Wielkiego Joł prestiżowej akcji, a nie maszyny do siepania hajsu, bo na to mam parę innych pomysłów niekoniecznie związanych w ogóle z muzyką. Jak mam zarabiać, to wolę na sobie niż na innych ludziach.

TEDE & DJ MACU
MIXTAPE VOL. 1 – WYPIJMY ZA BLENDY
PLNY TEXTYLIA

Mixtape w miarę zgrabnie przelatuje przez twórczość TDF'a – od „S.P.O.R.T." przez „3H (Hajs, Hajs, Hajs)" po „Notes" z uwzględnieniem Buhhów. Jest nawet „Grrrrrrubas" i „TDF" w remixie z „Francuskiego Numeru". W doborze uniknięto oczywistych rozwiązań. Są też ekskluzivy: oparte o motyw z Gwiezdnych Wojen, czysto reklamowe „YYYYYYYY", „O tak o!" (wow, jakieś inne flow) i „Czwarta runda" ze skończonego ponoć czwartego Buhha, gdzie widać, że Tede powinien podnieść poprzeczkę swoim rapującym ziomkom, bo smutkiem wieje. Sobie również powinien, bo wychodzi z tego mixtape'u wtórność i stan notorycznego wyjałowienia nie wróżący najlepiej przed zbliżającą się płytą. W tytule są blendy, a tu nie ma ich najwięcej, zaś Macu zdecydowanie powinien odejść od wyławiania trupów z jezior instrumentali, w rodzaju używanego dziesiątki razy Dr. Dre czy „Rap Superstar" Cypressów. Można posłuchać, zwłaszcza jeśli jesteś bardzo młodym fanem rapu i nie śledziłeś poczynań Tedunia na bieżąco. **(flint)**

PI NY

the south will rise again

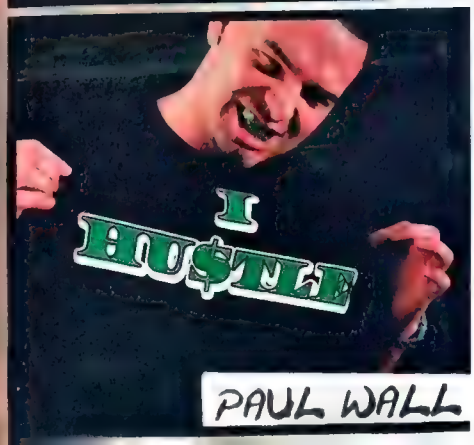

„Południe jeszcze się podniesie!" Tymi właśnie słowami odgrażali się żołnierze wojsk Konfederacji Południowej, gdy 9 kwietnia 1865 roku w Appomattox ich przywódca, utalentowany strateg, generał Robert E. Lee, podpisywał akt kapitulacji. Wtedy klęska stała się faktem. Jednak niejeden rebeliant wierzył, iż kiedyś spełni się sen o niepodległym państwie Południa. I oto staliśmy się świadkami ponownych narodzin potęgi południowych terenów USA...

tekst Pat&Pat vel Phat Boi
a.k.a. Pat Rick Sway-Z

Południowy rap istnieje już blisko 25 lat. Całą zabawę rozkręcił wujek Luke z 2 Live Crew razem z resztą Miami bassowych wariatów. Kolejne kamienie milowe kładli Scarface i Geto Boys, Bun B i Pimp C z UGK, DJ Screw i żołnierze ze Screwed Up Click, Outkast, Master P i armia No Limit, 8Ball i MJG, Jermaine Dupri, Big Oomp, bracia Baby i Slim Williams z Cash Money. Wszyscy, oprócz zmarłego DJ'a Screw, działają po dzień dzisiejszy. Jedni prężniej, inni pojawiają się od czasu do czasu. Jedni są cenieni, inni wyśmiewani, lecz nie da się ukryć, że każdy z nich mocno zasłużył się w przemyśle muzycznym i zrobił wiele dla Dirty South, które mimo wszystko zawsze zostawało w cieniu Nowego Yorku czy L.A. Czasy się zmieniły i w przeciągu zaledwie kilku lat oczy – a raczej uszy – całego świata zostały zwrócone ku Trzeciemu Wybrzeżu, jak mówi się o południu. Nie da się ukryć, jesteśmy świadkami wielkiego boomu na brrrudne, cykające, baunsujące i crunkowe dźwięki.

Dla przeciętnego słuchacza Dirty South to jednak nadal czysta abstrakcja. Jeśli trafimy na kogoś średnio kojarzącego temat, to rzuci nam: Ludacris, Nelly, Lil' Jon, Outkast, może Chingy, choć niekoniecznie. Wszystko to zasługa wideoklipów, które jest nam dane zobaczyć w komercyjnych muzycznych stacjach telewizyjnych. Bez nich ani rusz. Niestety, wielu jest takich, którzy nie poszukują, karmią się tylko tym, co podrzuci im Radiostacja, MTV czy Viva. A to wielki błąd. Południowi raperzy przez bardzo długi czas nie wychodzili z podziemia. W Stanach w swoich miastach byli gwiazdami, jednak ich siła przebicia nie była tak mocna jak w przypadku artystów z innych rejonów. Tłusty, uliczny styl Nowego Yorku i finezyjnie piszcząca, gangsterska Kalifornia – to zawsze było na topie. Jednak muzyka jak i cały świat idzie do przodu, rozwija się, zmienia, zaskakuje, jak również rozczarowuje. Hip-hop z obydwu wybrzeży zaczął zawodzić. Stał się bardzo monotonny, oczywiście z wyjątkami. Wtedy swoją szansę wykorzystali południowcy. Zdefiniowanie samego zjawiska jak i muzyki a la Dirty South będzie raczej ciężkie. Chce się powiedzieć, co stan to obyczaj. Wszędzie robi się to inaczej. Atlanta, Houston, Memphis, Nowy Orlean, Miami to najbardziej znaczące miasta na mapie południa. Każde z nich ma niepowtarzalny styl i klimat, a ich przedstawicieli nie sposób policzyć. Są wszędzie! Brrrudne południe ma swoje 5 minut, a oto w jaki sposób je wykorzystuje.

South Side'owi artyści są obecnie na szczycie. Podbijają listy przebojów. Raperzy i producenci wiodą prym na amerykańskim rynku muzycznym. Słuchając najnowszych hitów w radiu, nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak wielu południowych artystów jest odpowiedzialnych za stworzenie do nich muzyki. Jazze Pha, Jermaine Dupri czy Lil' Jon są ojcami chrzestnymi sukcesu wielu lepszych lub gorszych artystów. Bez ich kosmicznych tracków ciężko byłoby niektórym wybić się ponad przeciętność, bo kogo tak strasznie czaruje głos Ushera czy fakt, że fajnie tańczy, gdyby nie podkład Lil' Jona? Kto kupiłby kolejny gniot Puffy'ego wciąż wykorzystującego sławę nieżyjącego Notoriousa, gdyby nie singielek produkowany przez Jazze'ego? Wreszcie, kto ma jeszcze ochotę oglądać Maryśkę Carey, która już dawno wypadłaby z gry, gdyby nie JD? Przykłady można wymieniać i wymieniać. Każdy inwestuje w południowe klimaty, nawet jeśli jest z innej części Stanów i całe życie klepał inny rodzaj rapu. Doskonałym przykładem jest Daz Dillinger, obecny artysta So So Def, który w 2005 roku wydał album „Gangsta Crunk" – zgadnijcie, czym inspirowany... Kolejnym przykładem może być werbowanie do G-Unit Lil' Scrappy'ego (ex-podopiecznego Lil' Jona) czy Juvenile'a (ex-Hot Boya), dzięki któremu do Gorilla Unit dołączył jakiś czas temu Young Buck, według mnie najbardziej charyzmatyczny artysta z całej armii, do której wnosi swój jakże oryginalny, brrrudny styl. Fifty'ego już nie po raz pierwszy wspomagają ziomki z południa. Ostatnio koncertował po Australii z BME Click, czyli z Lil' Jonem i spółką, z którym – tak na marginesie – szykuje jakąś labelową kolaborację. Na zeszłorocznym Anger Management Tour – trasie Emy i całej świty Fifty'ego – również zagościli artyści z Atlanty: wspomniany już Lil' Jon & The East Side Boyz, Ying Yang Twinz i nowy nabytek Eminema, Stat Quo.

Z koncertów przenosimy się teraz na czerwone dywany, gdzie nawet Szanowna Akademia doceniła twórczość jakże hardcore'owej i swego czasu bardzo undergroundowej grupy z Memphis. Mowa oczywiście o Three Six Mafii, która na tegorocznym rozdaniu Oskarów odebrała statuetkę za najlepszy utwór („It's Hard Out Here For A Pimp") do filmu „Hustle & Flow". Chłopaki nie próżnują, wydali bijący wszystkich na głowę album „The Most Known Unknowns", a obecnie Juicy J i DJ Paul produkują kilka kawałków na płytę Paris Hilton, co pozostawiam bez komentarza... Zauważyłem ostatnio jakąś dziwną tendencję na wbijanie południowych raperów we wszelkie możliwe „miejsca", nawet je-

śli tam nie pasują Master P w amerykańskiej edycji „Tańca z Gwiazdami", teksańczycy Slim Thug i Bun B w dennym kawałku Beyonce do „Różowej Pantery"...

Będąc przy Teksasie, warto wspomnieć, jak prężnie i dynamicznie rozwinęli się tamtejsi raperzy. Przemilczę może kampanię promocyjną Chamillionaire'a, podczas której „wystawił się" na sprzedaż na e-Bayu. Poza tym kontrowersyjnym posunięciem Cha wydał bardzo dobry, szlejący na listach przebojów album „The Sound Of Revenge", pod koniec marca zaś wraz z Lil' Flipem – kolejną legendą ze Screwed Up Click – rozpoczął trasę koncertową Texas Boyz Tour. Drugi największy obóz z Texasu, wytwórnia Swisha House, również świetnie prosperuje przy okazji boomu na Dirty South. Slim Thug, który jest znany ze świetnych albumów nagranych wraz z Lil' Keke (m. in. „The Big Unit" – polecam!), wydał wreszcie swój pierwszy, znakomity legał „Already Platinum". Czas najwyższy, bo chłop działa w podziemiu już dobre kilka lat! Możecie go kojarzyć również z singla „Still Tippin'" promującego krążek Mike'a Jonesa – kolejnego żołnierza ze Swisha House Records. Kawałek tak się spodobał, że na rozdaniu amerykańskich nagród MTV, które odbyło się w Miami w 2005 roku, zorganizowano mały, ale jakże klimatyczny performance, na którym niemiłosiernie błyszczały platynowe grille i łańcuchy, bo na scenie cała reprezentacja Houston promowała „Who Is Mike Jones?" – album wyżej wymienianego artysty.

Będąc przy obozie SH, koniecznie trzeba wspomnieć o najlepszym obecnie białym raperze w Stanach – Paul Wallu. Białas z wypasionym grillem na zębach – śmiesznie brzmi?! Dla niedowiarków: to gość, który oprócz rapowania (najnowsza płyta „People's Champ" to prawdziwa perełka!) zajmuje się robieniem ekskluzywnych nakładek na zęby. Złoto białe, czerwone, platyna, diamenty, co tylko klient sobie zażyczy. Jego grille wiodą prym na amerykańskim rynku i noszą je największe gwiazdy hip-hopu. Kilku z nich zobaczycie na klipie Nelly'ego do kozackiego kawałka „Grillz" na bicie Dupriego. Jako ciekawostkę dodam tylko, iż prawie każdy album z metką Dirty South jest teraz miksowany i przerabiany według przepisu nieżyjącego już DJ'a Screw. Chopped & Screwed to specjalność Texasu polegająca najprościej mówiąc na zwalnianiu i miksowaniu tracków. W tym momencie czołową postacią w tej branży jest Michel „5000" Watts. Powoli opuszczając szeregi Swisha House, wrócę na moment do legend. Jeśli ktoś do tej pory nie wiedział, co to UGK lub kim jest Bun B, to teraz ma okazję przekonać się o jego niesamowitym talencie na co drugim tracku! Bun jest po prostu wszędzie, a każdy jego gościnny występ jest gwarancją sukcesu. Połowa duetu UnderGround Kingz przeżywa drugą młodość, a albumem „Trill" potwierdził swoją klasę i fakt, że naprawdę potrafi jeszcze ostro wymiatać w starym dobrym stylu. Dodatkowo pokazał całej scenie hip-hopowej, czym tak naprawdę jest solidarność i lojalność, przewodząc akcji „Free Pimp C", która miała na celu pomoc w przedterminowym zwolnieniu z więzienia jego wieloletniego przyjaciela i jednocześnie drugiego członka grupy. W rezultacie James Jones załapał się na warunkowe i opuścił zakład karny po pięcioletniej odsiadce.

Nie da się ukryć, że zeszły rok należał do artystów pochodzących z H-Town, jednak pozostałe ośrodki, które przyczyniły się do odrodzenia Trzeciego Wybrzeża, również dają radę. Przede wszystkim wyróżnia się Atlanta. To miasto, z którego pochodzi chyba największa ilość przedstawicieli południowego rapu. Jedni z pierwszych, którzy zwrócili na siebie uwagę wszystkich, to oczywiście Big Boi i Andre 3000 Jednak Outkast to Outkast, robią swoje, nie grają bounce'u, tego gorącego gówna, które teraz trzęsie Stanami i całym światem. Obecnie na topie nadal jest Ludacris i jego Disturbing Tha Peace. Ostatnia płytka DTP zawierająca rewelacyjny kawałek „Georgia" podbiła listy przebojów. Jednak nie da się jednoznacznie wskazać króla Atlanty, jeśli chodzi o sprzedaż płyt. Poziom jest niesamowicie wyrównany. T.I. samozwańczy król południa, twórca trapu – po wyjściu z pierdla radzi sobie rewelacyjnie. Zaliczył konkretną trasę z Fat Joe i Nellym. Wypromował swoją grupę P$C (Pimp $quad Click), otworzył własną knajpę, zagrał główną rolę w filmie „ATL", który w pierwszy weekend zarobił już 11,5 miliona dolarów, a tylko kwestią czasu jest, aby czwarty krążek T.I.'a, „King", pokrył się platyną. Mały, ale wielki JD również świetnie daje sobie radę w zapchanej rap-gwiazdami Atlancie. Ojciec sukcesu m. in. Kris Kross, Bow Wowa, Mariah Carey i wielu, wielu innych, jest w tym momencie jednym z najbardziej rozchwytywanych producentów. A do jego dream teamu składającego się z Daza, Da Brat i Bone Crushera dołączyli Young Bloodz, J-Kwon i Dem Franchize Boyz, którzy podbili listy przebojów kawałkiem „Oh, I Think They Like Me". Ich najwięksi konkurenci to zespół, który powstał zaledwie przed dwoma laty. D4L... bo o nich mowa – swoim hitem „Laffy Taffy" pobili wszystkich na amerykańskiej liście Billboardu. Down For Life stworzyli swój niepowtarzalny styl – snap music. Kto nie słyszał, musi koniecznie posłuchać!!!

Stary crunkowy wyjadacz Lil Jon wciąż się rozwija, jak mówi z jednym z wywiadów „Crunk mi się nie przejadł", ale teraz próbuje z czymś innym. Obecnie pracuje nad płytą, której tytuł roboczy brzmi „Crunk Rock". Kto lubi ostrzejsze klimaty, na pewno się nie zawiedzie. Crunk – tak mocno promowany przez Lil' Jona i całe BME Click – zainspirował również artystów r'n'b. Dzięki temu świat usłyszał o cudownej księżniczce Ciarze czy o Chrisie Brownie. Powstał kolejny odłam południowego hip-hopu, crunk'n'b. Jego charakterystyczne dźwięki trafiły do żeńskiej części odbiorców, co sprawiło, że chociażby w Polsce ludzie zaczęli się bawić do crunkowych kawałków. Łyknęła to nawet sama Britney Spears i zaprosiła do studia Ying Yang Twinz. Owocem tej współpracy jest kawałek „(I Got That) Boom Boom". Takie połączenie po raz kolejny potwierdza to, że imprezowy klimat Dirty South udzielił się wszystkim, i wszyscy chcą teraz robić coś z południowcami. Wytwórnie otwierają kolejne oddziały. Pierwszy był Def Jam, następnie Bad Boy, teraz chodzą słuchy o G-Unit – wszyscy chcą być „south"! Niestety, Puffy też chciał być na czasie i ściągnął do siebie żywe legendy, królów Memphis – 8Balla i MJG. Poszła płyta i słuch po nich zaginął. Ostatnio dostali przynajmniej nagrodę na Dirty Awards (bo południowi artyści doczekali się już własnej gali) za całokształt pracy. Diddy próbował jeszcze z Boyz'N Da Hood. Nie powiem, album o tym samym tytule bardzo fajny. Jednak zaraz po jego wydaniu grupę opuścił jej frontman – Young Jeezy, który również szaleje na listach. „Snowman" skupił się na solowej karierze, a jego miejsce zajął Lil Wayne. Ex-Hot Boy jakby nie odczuł całego zamieszania w Cash Money, nagrywał i nagrywał, i oto trafił na czołowe miejsca Billboardu ze swoim albumem „Tha Carter II".

Generalnie rzecz biorąc, wszyscy żołnierze południa dają obecnie radę. Wszystkie inne rap-gwiazdy jakby zapadły się pod ziemię albo kiedy już się z czymś wychylają, to i tak pozostają w cieniu baunsiarzy. To jest ich czas, to jest ich miejsce. Brrrudne południe urosło w siłę i dziś jest potęgą amerykańskiego i światowego przemysłu muzycznego.

OUTKAST

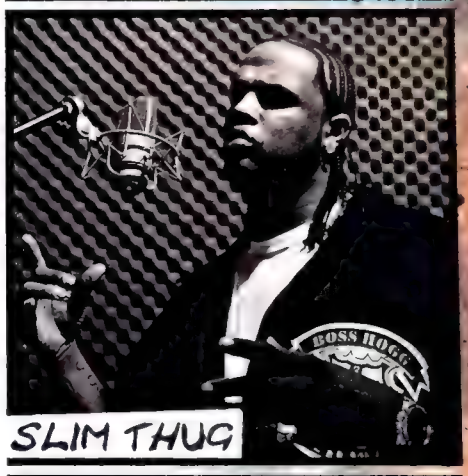

SLIM THUG

JERMAINE DUPRI

CEE-LO
RZUTY KOŚCIĄ

Choć Cee-Lo można spokojnie nazwać weteranem amerykańskiej sceny muzycznej, to szerszej publiczności nie jest on za bardzo znany. Wróć – nie był znany do tej pory, bo obecnie może się to zmienić. Szum, jaki powstał wokół najnowszego projektu z jego udziałem, czyli Gnarls Barkley, z pewnością nie pozostanie bowiem bez wpływu na rozpoznawalność tego artysty wśród mniej zorientowanych słuchaczy

tekst Grabiszczy

Na początku warto wyjaśnić, skąd wziął się pseudonim Cee-Lo. Otóż, taką samą nazwę nosi jakże popularna wśród czarnoskórych gra w kości. Ot, bierzesz trzy kostki z kropkami i liczysz, że po ich rzuceniu uśmiechnie się do ciebie szczęście i pozbawisz rywali większego lub mniejszego stosiku postawionego (obowiązkowo!) hajsu. No, to rzucamy.

RZUT PIERWSZY: GOODIE MOB

Rzut udany. Goodie Mob to czteroosobowa grupa, która obok bardziej znanego Outkastu w najlepszy sposób rozsławiła Atlantę na muzycznej scenie. Więcej – to oni w dużym stopniu przyczynili się do nadania specyficznego brzmienia muzyce z południa USA. Czterech oryginałów (obok Cee-Lo byli to Khujo, T-Mo oraz Big Gipp) otoczonych opieką producencką trójki z Organized Noize Productions – świeżo opromienionej sukcesem debiutanckiego LP Outkastu „Southernplayalisticadillacmusic" – zrobiło podobną furorę. Pionierski wówczas styl, zawierający przebojową mieszankę przede wszystkim soulu i hip-hopu, zdobył sobie uznanie szerokiego grona odbiorców. Debiutancki krążek „Soul Food" stanowił jednak dopiero początek. Kulminacja twórczości Goodie Mob wypadła bowiem na wydany trzy lata później (w 1998 roku) album „Still Standing", który ponownie zebrał doskonałe recenzje. Pojawiły się częstsze elementy bluesa i funku, a nawet gospelu, wprowadzono więcej żywych instrumentów, bogatsze stały się aranżacje, a czterech raperów-wokalistów udoskonaliło swoje indywidualne style. To ostatnie w największym stopniu dotyczyło Cee-Lo, który coraz częściej eksperymentował z flow i zaczął odkrywać możliwości swego oryginalnego głosu w licznych partiach śpiewanych. A propos jego głosu właśnie, to przyznać trzeba, że potrafi on brzmieć aksamitnie, by za chwilę przejść w charakterystyczne, wysokie, niekiedy sprawiające wrażenie fałszujących i skrzeczących tony, dzięki którym wokalu Cee-Lo po prostu nie da się pomylić z kimś innym. Tak jest zresztą do dziś. Wracając jednak do Goodie Mob, to po wydaniu „Still Standing" poczynili oni krok w zdecydowanie złym kierunku na swojej trzeciej płycie, czyli „World Party", która stanowiła niestety odejście od stylistyki poprzedniczek, przede wszystkim w warstwie tekstowej. Za dużo wożenia się i gangsterki – możliwe, że to było główną przyczyną narastających niesnasek w kwartecie, które doprowadziły w efekcie do odejścia Cee-Lo z Goodie Mob i decyzji o kontynuowaniu kariery solo. O tym zaraz, bo warto jeszcze wspomnieć o wydanym bez niego niezbyt udanym albumie GM „One Monkey Don't Stop No Show" z 2004 roku (tytuł zdaje się jednoznacznie skierowany do Cee-Lo, ale pozostała trójka oficjalnie tłumaczyła, że tyczy się on sporów z wytwórnią i nie jest aluzją do byłego kolegi z zespołu), o krążkach członków Goodie Mob, które przeszły bez echa („Mutant Mindframe" Big Gippa, „The Man Not The Dawg" Khujo oraz „Livin' Life As Lumberjacks" T-Mo z Khujo) oraz o planowanym ponownym zjednoczeniu grupy w pełnym składzie być może nawet jeszcze w tym lub przyszłym roku po tym, jak dawne zatargi stały się już przeszłością.

RZUT DRUGI: SOLO

Rzut również udany. Jak już wspomniałem, po rozpadzie kolektywu Goodie Mob to właśnie Cee-Lo jako pierwszy dał się poznać jako solowy artysta. W 2002 roku wyszła jego pierwsza płyta, „Cee-Lo Green And His Perfect Imperfections". Słuchając jej. od razu wiedziało się, że nie jest ona stworzona po to, by przynieść komercyjny sukces (nawet pomimo wydania jej w dużym labelu, jakim była jeszcze wówczas Arista). Cee-Lo daje na niej kwintesencję swego wykręconego stylu – i to nie tylko jako wokalista i raper (którym był w coraz mniejszym stopniu), ale również jako producent, gdyż to on ogarnął 99 procent beatmakingu na krążku. Trudno doprawdy nazwać album hip-hopowym. To już raczej neo-soul z dodatkiem hip-hopu, ale i na przykład rocka. Tytuł był zdecydowanie adekwatny: Cee-Lo doprowadził tu swe zalety i wady do doskonałości, co z kolei jest powodem tego, że albo się w „... Perfect Imperfections" jest zasłuchanym, albo nie ma się na to żadnej ochoty. Mimo entuzjastycznych recenzji, płyta nie sprzedała się nadzwyczajnie, toteż kolejny krążek – „Cee-Lo Green Is The Soul Machine" – był już nieco bardziej przystępny. Część produkcji artysta oddał w ręce takich „pewnych strzałów" jak Timbaland, The Neptunes, Jazze Pha czy nawet DJ Premier, dwa tracki dali na krążek również sami Organized Noize. Na mikrofonie pojawili się m.in. T.I. i Ludacris (w świetnym „Childz Play"). Materiał był spokojniejszy, soulowy, mniej psychodeliczny, a bardziej przebojowy, zawierał nawet potencjalny hit „I'll Be Around", ale i tak nie przebił się do świadomości szerszego grona słuchaczy.

Oprócz dwóch płyt, solowy wymiar działalności Cee-Lo zawiera się oczywiście również w gościnnych występach, do których był on bardzo często zapraszany i to jeszcze zanim opuścił szeregi Goodie Mob. Pojawiał się u tak różnych artystów jak TLC (w tym, na wielkim hicie „Waterfalls", gdzie występuje w chórkach), Common, oczywiście u ziomków z Outkastu, u Puff Daddy'ego, Carlosa Santany, Everlasta czy ostatnio u Cunninlynguists i u Black Eyed Peas w bodaj najlepszym numerze z „Monkey Business", czyli „Like That". Co więcej, dał się poznać jako producent jednego z większych komercyjnych hitów ubiegłego roku, czyli „Don't Cha" Pussycat Dolls, co już na dobre otworzyło mu drogę do wielkiego showbizu. Z południowego zajawkowicza i dziwaka Cee-Lo stał się uznanym artystą, szanowanym przez kolegów z branży, coraz częściej rozpoznawanym i docenianym (co nie znaczy bynajmniej, że przestał być ekscentrykiem – wystarczy spojrzeć na zdjęcia towarzyszące artykułowi). Przyszło zatem postawić kropkę nad i.

RZUT TRZECI: GNARLS BARKLEY

Rzut zdecydowanie – ale raczej niespodziewanie – udany. Stało się bowiem nagle tak, że czego się Cee-Lo nie dotknie, obraca się to w hit. Gnarls Barkley to projekt tego artysty z Danger Mouse'em, o którym to DJ'u i producencie informacje przekazuje wam kolega Marcin na sąsiedniej stronie, więc ja zagłębiać się w historię jego kariery nie będę. Warto jednak przy tym wspomnieć, że pierwszą przesłanką do współpracy dwójki freaków był bardzo udany kawałek „Benzie Box" z płyty Mouse'a i MF Dooma „The Mouse And The Mask", gdzie Cee-Lo wyśpiewał refren. Od refrenu sprawy przeszły do wspólnego projektu, któremu nadano nazwę Gnarls Barkley i dorobiono fikcyjną ideologię, jakoby ów Gnarls był rzeczywistą postacią tworzącą muzykę. Tak w ogóle, to nazwa jest oczywistym nawiązaniem do znanego byłego koszykarza NBA Charlesa Barkleya, a także grą słowną: „gnarl" znaczy „warczeć", a „bark" – „szczekać". Jak mówi informacja prasowa dotycząca mającej się ukazać lada dzień płyty „St. Elsewhere", „muzyka Gnarlsa Barkleya jest przesiąknięta południowo-wschodnią tradycją gospelu i bluesa, łączy ponadczasowy soul z eksperymentalnym funkiem i hip-hopem", a on sam (czyli wyimaginowana postać) „jest jak Bob z 'Miasteczka Twin Peaks' tylko bardziej funkowy i mniej złowrogi".

Pomijając całą zwariowaną otoczkę, promujący płytę kawałek „Crazy" już przeszedł do historii muzyki jako pierwszy singiel, który dotarł na szczyt listy przebojów (w Wielkiej Brytanii, tak dla ścisłości) jedynie na podstawie ściągnięć z Internetu (legalnych ściągnięć, ma się rozumieć), których w ciągu pierwszego tygodnia uzbierało się około 31 tysięcy. Biorąc pod uwagę fakt, że Gnarls Barkley to zupełnie nieznana do tej pory marka, można być zdziwionym. Jaka jednak będzie całość materiału? Czy również stanowić będzie hit? O tym przekonamy się za moment. Jedno jest pewne. Wreszcie po latach Cee-Lo wyskrzeczał sobie drogę na sam szczyt.

DANGER MOUSE
MYSZ DOOMOWA

Być może spazmy prasy i miliony ściągnięć to nie dowód na to, że Danger Mouse będzie jednym z wyznaczających przyszłość muzyki. Ale kto jeszcze jest w stanie zrobić hicior dla Liks, jak i beaty dla Sage'a Francisa, w zanadrzu trzyma zaś projekty z Ghostface'em i Black Thoughtem z The Roots?

tekst Marcin Flint

WSZYSTKO I NIC

Pierwszy etap jego życia przypada na Nowy Jork, ale nie był wówczas zajarany hip-hopem. Słuchał metalu i popowych przebojów lat 80., rap przynosiła zaś do domu starsza siostra. Dopiero potem okazało się, że zaszczepiła mu bakcyla, a jego pamięć podświadomie notowała beaty i wersy. Przeprowadzka na przedmieścia Atlanty otworzyła go na Miami bass, Dirty South i g-funk. Studia przyniosły kolejne, choć zupełnie odmienne w swoim charakterze, odkrycia – Nirvane, Pink Floyd i Portishead. Tam też Brian zaczął tworzyć własną muzykę. „Moje pierwsze nagrania były instrumentalne mroczne, filmowe, down-tempowe – to byłem ja i moi rówieśnicy z ruchu niezależnego rocka", wspomina. Równocześnie jednak fascynował się wschodnim wybrzeżem, zwłaszcza Wu-Tangiem. W ramach autorskiego projektu Pelican City utykał elektroniczną muzykę w hip-hopowe ramy. Kiedy zakończył edukację, przeniósł się do Londynu – chciał być trip-hopowym DJ'em – ale stanął za barem, by było go stać na robienie muzyki na boku. Były to rzeczy wściekle eklektyczne, mało komu przyszłoby bowiem na myśl łączenie Nasa z Portishead, Xzibita z Radiohead czy Suzanne Vega z 50 Centem. Okazało się to na tyle ciekawe, że artystę zainteresował się Lex, hip-hopowy odłam labelu Warp. Danger Mouse z kolei zainteresował się możliwością współpracy z Jemini'em, brooklyńskim mc z przydomkiem „The Gifted One". Nie jest to najbardziej znany racer świata, ale ma pewien dorobek: epkę „Scars And Paints" z beatami Buckwilda z legendarnego D.I.T.C., Organized Konfusion oraz winylową dwunastkę w Tommy Boyu. Dla niego DM wyrwał się zza biurka powracając do nowego Jorku. Metropolia przywitała go zabójczo mrocznego człowieka.

ODJAZD URZĘDNIKA

Płyta „Ghetto Pop Life" nie rozpoczęła rewolucji. Pojawiły się na niej świetni goście: Tha Alkaholiks, The Pharcyde, Cee-Lo, J-Zone i Prince Po. Nawiązano kontakty, co jest barzo ważne, bo Danger Mouse nigdy nie był mistrzem. Trochę rabanu powstało za sprawą prowokacyjnego „Bush Boys" z niezapomnianym skrzyżowaniem rapu z arabskiego vibe'u, słów Busha, odgłosu spadających bomb i dziecięcych pisków. Nie da się ukryć, że obaj panowie odrobili lekcje i mieli talent, choć nie przesadzałbym z szumnymi określeniami w rodzaju „superproducer" i „born mc". Dobry, prosty, pewny siebie nowojorski rap z niepotrzebną tendencją do zaśpiewu skrzyżował się z brudnymi, nieregularnymi brzmiącymi jak z breaków perkusjami i mocnymi, wyrazistymi samplami. Styl produkcji DM wydaje się początkowo jedynie solidny i kompetentny, zasługuje na komplementy, którymi obdarzyć można państwowego urzędnika należycie wywiązującego się z obowiązków. Ten urzędnik musiałby jednak gustować w spektakularnych odlotach. Patetyczne pianina, chóry, wreszcie ten narwany breakbeat w „Medieval" to zupełnie szalony, najpiękniejszy moment płyty, można powiedzieć, że hip-hop ma swoje „Bohemian Rhapsody". Takich chwil jest więcej. Mouse zestawia wyraźne ślady układające się w łańcuch przyczyn i skutków. Dobry detektyw i znawca muzyki mógłby wydedukować jego przeszłość z produkcji, jakie zarejestrował. Doskonale słychać też punkty wyjścia. „That Brooklyn Shit" zwiastował nie zawsze strawny eksperyment projektu Gnarls Barkley, „The Only One" – lekkość i błyskotliwość Dangerdooma, „Copy Cats" – styl drugiej płyty Gorillaz. Ale jak na ironię, to nie dzięki płycie „Ghetto Pop Life" to wszystko stało się możliwe.

WĄSY MONA LISY

Czy dorysowanie wąsów Mona Lisie jest sztuką? Czy pisuar nazwany fontanną może aspirować do miana ważniejszych współczesnych dzieł? Owszem, ale tylko kiedy dopisze się do tego parę stron ideologii. Jeżeli uważacie, że sztuka ma się bronić sama i nie powinno się jej tłumaczyć – już niekoniecznie. I tak jest właśnie z najsłynniejszym do tej pory dziełem Danger Mouse'a – „Grey Albumem". Czemu „Grey"? Czerń i biel daje razem szarość. Czerń to wokale Jaya-Z z „Black Albumu". Biel to pętle powyszarpywane z „White Albumu" Beatlesów. Pomysł jest ciekawy, z tym że słabo funkcjonuje to jako muzyka. Otrzymaliśmy płytę niechlujną, mało harmonijną, porwaną, nieprzyjemną. Da się to wybaczyć, biorąc pod uwagę, że Danger Mouse przygotował rzecz dla wąskiego grona znajomych, a ta rozpełzła się dopiero za sprawą Internetu. Wtedy prasa – zarówno polska jak i zagraniczna, co ciekawe, w dużej mierze niehip-hopowa – rzuciła się do wychwalania inicjatywy w imię postmodernizmu. Posypały się nagrody jak i oferty współpracy (choćby od Gorillaz). Album stał się natychmiast wykładnikiem i najlepszym dowodem na słuszność idei samplingu, jak również okazją do szeroko zakrojonego protestu przeciw posiadającemu prawa do Beatlesów EMI, które nakazało wycofać go ze stron i ze sklepów. A wszystko to przez opcje przereklamowaną jeszcze bardziej niż „God's Stepson" 9th Wondera (remixy Nasa), która zachęciła ludzi do absurdów pokroju zgrywania zwrotek Seana Cartera z muzyką z czarnego albumu Metalliki i robienie rzeczy jeszcze mniej słuchalnych. W tym samym czasie naprawdę godne uwagi remixy Kno czy Keva Browna nie zyskiwały należnej im uwagi. Ale takie właśnie jest życie.

BUM!

Danger Mouse dalej dał się nieść sentymentowi do zapomnianych raperów. Wziął się za Prince'a Po – niedocenianą potówkę Organized Konfusion. Podrzucił mu trzy wolne od szaleństw, utrzymane w klimacie funky podkłady, wpisując się na listę producentów obok Madliba Jela (Anticon) i J-Zone'a. Był też producentem wykonawczym owego bardzo udanego krążka. Wspominam ten fakt, bo przy okazji tego wydawnictwa doszło do współpracy z MF Doomem, potem panowie popracowali jeszcze razem z rozpędu i... BUM! Po 18 miesiącach internetowej współpracy powstał Dangerdoom. Nie bez znaczenia była tu wspólna miłość do kreskówek, zresztą ta płyta to nic ponad starcie super bohaterów w walce o poszerzenie granic hip-hopu. Co tu zresztą tłumaczyć... Po pierwsze, słychać to po całym „The Mouse And The Mask", choćby poprzez obecność bohaterów Adult Swim ze stacji Cartoon Network, dla której DM przygotował wcześniej oprawę muzyczną m.in. Toonami i „Wojen klonów". Po drugie, artysta wziął ksywę od myszy z okiem przepasanym czarną opaską, agenta Jej Królewskiej Mości, bohatera pierwszej brytyjskiej kreskówki, która miała szansę przebić się do amerykańskiej telewizji. Pomyślcie, jak musi wyglądać typek w wielkim pluszowym kostiumie myszy i postawny Czarnuch chowający się za metalową maską... Ważne, że brzmią świetnie. W samplach Mouse'a da się usłyszeć reklamówki z lat 60., funky dęciaki z lat 70., a nawet strzępki Quincy'ego Jonesa. Moje skojarzenia to seriale policyjne, niskobudżetowe czarne kino spod znaku blaxploitation i... nasz rodzimy Breakout. MF Doom za pomocą swego tubalnego głosu, przemyca niecodzienne porównania i specyficzne poczucie humoru, Kweli i Ghostface prezentują gościnnie wielką formę. Całość żyje, buja i skrzy. Gorzej z najświeższym projektem, tworzonym razem z Cee-Lo Gnarls Barkley. Wspaniale, gdy cyfrowa technologia odkurza czarne, pełne duszy gatunki, ale Outkast udowodnił to lepiej. Tam gdzie Andre szedł we wdzięk i melodię, Gnarls Barkley brnie w dziwactwo. Doceńmy aranże, szerokie instrumentarium i rock'n'rollowego ducha przedsięwzięcia, ale chaos pozostaje chaosem, a jedno „Crazy" (tak właśnie wykorzystuje się smyczki!) wiosny nie czyni.

ascetoholix
więcej grzechów nie pamiętam

Przez część słuchaczy Ascetoholix odsądzani są od czci i wiary. Czy Doniu, Liber i Kris winni są popełnienia siedmiu grzechów głównych? Przekonujemy się o tym niedługo po premierze ich ostatniej płyty „Adsum".

rozmawiał Marcin Flint

Pycha (Superbia)

Kris: Kiedy przesłuchasz sobie nielegala Ascetoholix, zobaczysz, ze naszą domeną było mówienie o słabości. Mówiliśmy, że świat pędzi, my się w nim gdzieś gubimy, czujemy potrzebę zdystansowania się. Na „Nazwij to sam" dominowała niepewność i słabość. Z biegiem czasu, dopiero kiedy zaczęliśmy wygrywać w życiu, zaczęło to wychodzić w hip-hopie. Nie było tak, że powiedzieliśmy sobie nagle: „Kurwa, robimy najlepszy hip-hop, jesteśmy najlepsi".

Liber: A „Liber rap-lider" na pierwszej płycie to ironia. Malutki element tego, co robimy. Ludzie doszukują się takich rzeczy na ostatnim „Adsum", ale nigdy nie będziemy raperami z bragga stylem.

Kris: Przechwałek używa każdy raper w Polsce, ale niektórzy tyle, że gdyby tu któryś wszedł, to powinieneś go widzieć w purpurze i na czerwonym dywanie otoczonego czterdziestoosobową świtą. Nie są mocni w życiu, a są w ryju. Ja wolę słuchać Grammatika, kawałków odciętych. Jeżeli się przechwalam i atakuję, to tylko dlatego, ze ktoś mnie wkurwił. Szkoda mi materiału, wolę przekazać rzeczy wartościowe.

Liber: Grammatik można porównać do naszej twórczości, był znany z fajnych, przemyślanych smutasów. Eldo mówił, że „zderzył się murem", bo moim zdaniem popełnił błąd robiąc z siebie mistrza bragga i na tym się przejechał. My wiemy, że się do tego nie nadajemy. A zderzenie z murem każdy z nas ma za sobą. Wyprowadziliśmy się na prostą i mamy nadzieję, ze będziemy tak trwać cały czas.

Kris: Ludzie, którzy nas znają, nigdy nie powiedzą, że się wozimy. Mówią raczej wprost – „Ci ludzie są normalni, naturalni, żyją, jak żyli".

Doniu: Robić swoją muzykę i nie zgrywać się na kogoś, kim się nie jest – to wszystko. Wolę być sobą i robić lajtowe numery, niż zgrywać hardkorowca, jak robi 70% wykonawców. Muzyka mnie nie kreuje. Ja ją kreuję.

Chciwość (Abaritia)

Doniu: Wiesz, co mnie cieszy? Ze nikt mi nie może powiedzieć. „Jak to, zarabiasz pieniądze na muzyce, a mówisz coś zupełnie innego?". Od pierwszej płyty żartowaliśmy sobie na ten temat. Jeżeli do zarobienia są pieniądze, trzeba je zarobić. Nie zarabia się na hip-hopie. To brzmi, jakby człowiek się na nim przewiózł. Taką opinię wygłaszają ludzie dostający co miesiąc siano od rodziców. Będąc na czyimś utrzymaniu nie wie się, jak to jest dochodzić do czegoś samemu, powoli. Zarabia się pracując – pisząc nowe numery, grając koncerty, siedząc w studio, organizując plany teledysków, zgrywając pracę osób odpowiedzialnych za obróbkę dźwięku. Ja żyję spoko – wydałem ostatnio popową płytę, dzięki niej mogę żyć. A z Asceta mi robimy hip-hop, tak to wygląda.

Kris: Jasne, że da się [illegible]-ć. Zwłaszcza kiedy masz głowę na karku, inwestujesz, odkładasz. Są miesiące, kiedy nie zarabiasz nic, są takie, kiedy jest całkiem nieźle. Żaden z nas się nie łudzi, że będzie żyć z rapu na szeroką skalę do końca życia. Może będzie to rok, dwa, trzy – później będą płyty dla siebie. Gdybyśmy nie robili na tym pieniędzy, to byśmy tego nie robili na taką skalę, taka jest prawda. Nie byłoby wielu dobrych płyt. Rozmawialiśmy ostatnio z chłopakami, że gdybyśmy mieli wybierać między hip-hopowymi dziuplami na dwieście osób a np. graniem w Protektorze, gdzie jest 5000 ludzi i trzy sale, do hip-hopu, techno i jeszcze czegoś, to gramy w Protektorze. Bo jest zajebiste nagłośnienie, bo jest zajebista organizacja, bo mają pieniądze. Nie ma za to garstki osób – naćpanych, pijanych, niewiedzących, o czym mówisz, powtarzających „HWDP". Robienie muzyki dla patologii nas nie interesuje. Staramy się zarabiać dookoła, na czymś innym i może wrócimy kiedyś do hip-

-hopu z pieniędzmi, które zarobiliśmy. Póki co, możemy kupować płyty i wspierać podziemie.

Nieczystość (Luxuria)

Kris: Doniu jest monogamistą. Ja też byłem. Przez trzy lata. Teraz waży się to, jak pójdę dalej, ale raczej pozostanę przy monogamii.

Liber: Jak do tej pory jestem wolnym strzelcem. Nie chcę, żebym wypadł na Don Juana, ale tak to wyszło...

Doniu: Ty! Nie bądź taki przystojny! (śmiech)

Liber: Nie znalazłem odpowiedniej osoby, a może nie chciałem jej znaleźć... Póki co, jestem wolny, 25 lat mija w tym roku. Nie żałuję niczego. Może to się zmieni, troszeczkę mi się nie chce. Ale nie jest tak, że na siłę znajdziesz kobietę swojego życia. Czekamy. Zawsze na koncercie jest parę ładnie ubranych lasek w pierwszym rzędzie. Wystarczy kiwnąć palcem i mogłoby być fajnie, ale po czasie to do niczego nie prowadzi.

Kris: Nauczyliśmy się odmawiać.

Liber: A dziewczyny nie obraziły się o „Suczki". Na każdym koncercie śpiewają ten kawałek najgłośniej. Coś w nim jest.

Doniu: Kawałek musi być zajebisty, skoro przez cztery lata nie wykorzenił się z ludzi za grosz (śmiech).

Zazdrość (Invidia)

Kris: Nigdy nikomu zazdrościliśmy. Byliśmy po prostu zadowoleni, jak graliśmy przed Grammatikiem, przed Peją. Ale raczej nie szukamy się z ich towarzystwa na scenie.

Doniu: Jeżeli jesteś znany z czegokolwiek – możesz być sportowcem, muzykiem, pisarzem – to masz grono zwolenników i krytyków. Tak jest od podwórka po media.

Liber: Ludzie chcą głupio-mądrym pierdoleniem zwrócić na siebie uwagę. Wiesz: „Co, przecież ja nie jestem gorszy od ciebie". Po kilku minutach rozmowy powinien zobaczyć, że podchodzę na luzie do tego, że w jakimś tam małym stopniu jestem publiczną osobą. Tymczasem nie da ci nic powiedzieć i wszystko wychodzi z niego w podtekstach, zwłaszcza przy wódce. Po połówce wychodzi z niego kompleks. Trzeba przyznać: „Nie no, człowieku, jesteś lepszy ode mnie, napij się". Wtedy wszyscy się bawią.

Doniu: Wiesz, kiedy brakuje ludziom taktu? Kiedy taki raper idzie gdzieś i ktoś go pyta „Słuchaj, to ty jesteś od tych 'Skarbów'?". Wtedy brakuje mu taktu, bierze go kurwica. Ze ktoś, kto nie jest z dużego miasta, nie jest na przykład z Warszawy, zrobił numer przez wszystkich znany. Kładzie uszy po sobie i zastanawia się, co ma zrobić. Przynajmniej wyładuje swoją frustrację w najbliższym wywiadzie, w Internecie na wtyka. Dorośnijcie, chłopcy. Niedługo będziecie mieli trzydziestkę i dla szesnastolatków będziecie skakać po scenie jak pajace i nawijać wciąż, jak się buntujecie? I kto tu robi muzę pod publikę?

Kris: Ktoś powiedział, że ulica nas pierdoli. To kilka osób nas pierdoli. Graliśmy kilka razy koncerty ze znanymi zespołami hardkorowymi. I prawda była taka, że młode pokolenie lepiej bawiło się przy nas niż przy nich. Nikt nie zaprzeczy, że mamy bardziej melodyjne kawałki, przyjemniejszy do imprezowania bicik. Oni widząc to, mogą nas tylko pojechać, bo kiedy będą poklepywać nas po plecach, to my to wygramy. W Polsce jest trzech, czterech raperów, którzy to zaczynali i oni chcą pełnić tu rolę guru. Każdy z nich myślał, że wszyscy inni się podporządkują i pójdą za nimi. A kto się z tego wyłamał, musi być od razu zniszczony. Jeżeli nas zniszczą, to już nic nie zostanie – żadnej przeciwwagi. Tylko oni.

Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu (Gula)

Liber: Normalne polskie schorzenie alkoholowe nas dotyczy. Ja jestem narażony w szczególności. Po pierwsze – stan kawalerski. Druga rzecz – jestem często w Poznaniu i oprócz częstych opcji weekendowo-koncertowych z chłopakami, w tygodniu zjeżdżają się studenci i z nimi też trzeba gdzieś wyjść. Błędne koło. Nie mam co prawda problemu, bo wypiję dwa piwa, żeby się poczuć dobrze, i nie muszę więcej pić. Z tym że jutro znowu wypije dwa. Wolałbym już wypić 0,7 i nie pić tydzień.

Kris: Najgorzej jest spuścić się z łańcucha po kilku tygodniach przerwy. Jadąc na koncerty wymieniamy się rolami – raz pada ten, raz tamten. Mamy granice, ale trzeba sobie czasem dać porządnie w palnik.

Doniu: Ja lubię raz na jakiś czas porządnie przypierdolić i nawet, choć bardzo rzadko, zdarzają się sytuacje, gdy Liber opuszcza pole walki.

Kris: Jesteśmy z Wielkopolski, jesteśmy sarmatami, nie da się tego ukryć. Gdybyś ubrał mojego ojca w strój szlachecki, wyglądałby jak pospolite ruszenie – wąs, duży brzuch. Przez 200-300 lat nic się nie zmieniło.

Liber: W większości miejsc, gdzie ostatnio graliśmy, właściciel miał też restaurację. Na śniadanie jedliśmy obiad, na obiad drugi obiad, trzeci na kolację. Przywiozłem z wyjazdu 5 kilogramów. Raz jest apetyt na coś polskiego, typu golonka z czymś, schaboszczak zwykły, bywa dzień na coś włoskiego, nieraz na chińszczyznę.

Kris: Ja dzisiaj wpieprzyłem tortillę.

Doniu: I tak najlepszy jest powrót do domu, gdzie we własnym piekarniku możesz zrobić własną zapiekankę.

Liber: Albo we własnym domu zamówić własną pizzę z własnego telefonu (śmiech).

Gniew (Ira)

Kris: Ja jestem zły z założenia. Gdyby nie religia, byłbym bardzo zły. Cały czas go sobą walczę. Gdybym nie walczył, to bym na tej scenie pozabijał wszystkich. Wiem, gdzie jest ścieżka i wiem, jak się naprawiać. Chcę tego.

Doniu: Teraz, gdy gramy koncert, jest 300-400 osób, czasem zdarzy się, że dwa napierdolone cwaniaczki pokazują nam „fucki". Kończymy, zbieramy się do wyjścia, idziemy się wyspać. Nie ma już akcji typu zbieganie ze sceny i Kris ładujący w mordę. Mamy wyjebane na tych ludzi. Niech sobie wsadzą w dupę negatywną energię. To oznaka ich słabości, bezsilności.

Kris: Szkoda barku.

Liber: Ja idę w stronę pozytywności Donia, uczę się. Jest starszy o rok, ale jeszcze go dogonię (śmiech). Będąc pozytywnymi nie mamy czego szukać wśród większości hip-hopowców. Oni chcą kogoś, kto utwierdzi ich w tym, że trzeba się buntować nawet przeciwko buntowi. Uznani raperzy, którzy mają blisko 30 lat, pogłębiają młodych ludzi w nienawiści. Nie robią tego dosłownie, ale jednak. Również naszym kosztem. Zachęcając tylko, żeby jebać, jebać i jeszcze raz jebać, zmieniają kulturę w brak kultury.

Kris: Nie było kiedyś sytuacji, żeby ktoś przychodził rozkurwić imprezę hip-hopową. I wy, media, też macie w tym swoją winę. Piszecie „bojkotujcie to", „jedźcie to", a dzieciaki się uczą. I jadą wszystkim, nie tylko Ascetoholix. Już jest jechane WWO i tak dalej. Kiedyś na imprezie w Poznaniu graliśmy z naszymi nielegalami i było 300 osób. Wszyscy się znali, pili ze sobą. To był hip-hop. Teraz to się zgubiło, nie ma czegoś takiego jak szacunek, respekt. Najgorsze jest to, że beefy przeniosły się na podwórko. U nas w małych przecież Obornikach są składy i tłuką się już między sobą.

Doniu: Co do kultury, to nie zapominajmy że hip-hop, to nie tylko muzyka. To break, grafa, dj'ing, beatbox – i cała kultura się nie psuje. To chora zawiść i egoizm większości znanych wykonawców rapu wprowadza ferment. Współczuję świadomym słuchaczom – oni wiedzą, kto sieje złe ziarno na ich ukochanym gruncie.

Liber: Piętnaście osób, które nic nie nagrało i przychodzi, żeby rzucić coś w scenę. Rozjebać wszystko, co się nadarza. Uliczna czołówka wie, jak młodzież myśli i podaje im złe emocje jak na tacy. I młodzież tym chce żyć, chce widzieć rapera jako skurwiela i penera z hasłem „Jebać wszystko". Mimo że ci ludzie, którzy o tym rapują, żyją obecnie zupełnie inaczej od ich odbiorców. Wydorośleli już dawno. Grają na uczuciach.

Lenistwo (Acedia)

Kris: Cały czas gramy koncerty, a ja oprócz tego mam zawsze jakąś pracę, zawsze coś robię i nie jestem w stanie nagrać solówki, jak Doniu czy Liber. Mam kilka swoich kawałków, ale zniechęca mnie wizja tego, co się w tej chwili dzieje. Jeżeli teraz skompletuję materiał, to chyba wydam nielegal. Póki co, odrabiam wojsko w miejskim ośrodku, gdzie pomaga się ludziom i widzę, że 90% tych, którzy biorą zasiłki, to są, kurwa, lenie. Dziadek brał pieniądze, matka z ojcem brali i on też bierze mając 25 lat. Chodzą cały czas po lekarzach. Rzygać się chce, w tym kraju są 2 miliony bezrobotnych i jest to patologiczne bezrobocie, nie do zniwelowania. Każdy musi walczyć z lenistwem. Ja nie mogę powiedzieć o sobie, że jestem leniem, skoro wstałem o piątej, o szóstej byłem w Poznaniu, jest godzina 19, w domu będę o 21, na siłownię już nie pójdę, zrobię podstawowe rzeczy i pójdę spać, żeby znowu wstać o piątej.

Liber: Ja nie mogę wyplenić lenistwa. Od roku robimy płytę Rio Boss. Do tego studia dzienne (informatyka inżynierii rolniczej), ale i tak mógłbym zrobić wiele więcej rzeczy, z tym że do niektórych nie jestem stworzony. Zamiast zrobić coś pożytecznego, jadę grać w piłkę, choć kończy się to kontuzjami.

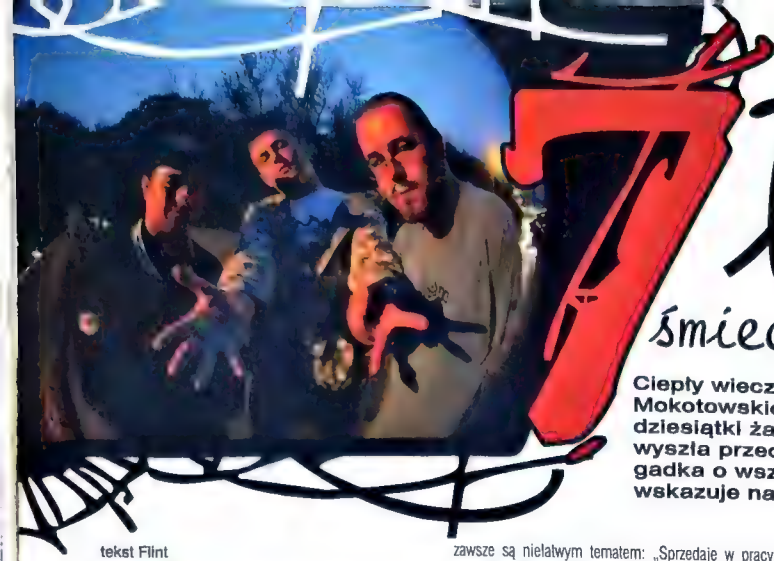

7 łez

śmiech przez łzy

Ciepły wieczór na zielonych Polach Mokotowskich, piwka owinięte w papier, dziesiątki żartów. Miał być wywiad, wyszła przecinana wybuchami śmiechu gadka o wszystkim. Niestety, wiele wskazuje na to, że pożegnalna

tekst Flint
foto Cess

Stopaa

„Płyta powstała w dwa lata. Dogadywaliśmy się z Krzyśkiem (Kozakiem – przyp. red.), kiedy materiał jeszcze powstawał. Terminy były przesuwane i w pewnym momencie ustaliliśmy, że jeśli to ma ukazać się w takiej formie, to u niego nie ma takiej możliwości. Zmęczeni całym procesem zaczęliśmy szukać kogoś innego. I znalazł się Camey" – mówi o albumie „2+2=7" Stopaa, spokojny, wyważony człowiek uważnie przyglądający się światu zza okularów. Panom zależało, żeby sprawnie zamknąć pewien rozdział. „Nasze drogi muzyczne bardzo się rozchodzą" – słyszę i nie jestem w żadnym stopniu zdziwiony. Tektyw ciągnął w stronę, którą można by nazwać roboczo „numerrazową". Stopę postrzegałem zaś bardziej hardkorowo. Ten jednak stanowczo protestuje. „Bynajmniej nie idę w stronę hardcore'u, wręcz przeciwnie, bliżej mi do pozytywnych akcji. Przestałem jarać jointy, odmówiłem się, życzę tego każdemu". Później stanie się jasne, skąd deklaracja po „jasnej stronie"- nagrywa on bowiem projekt PROforma z Siwym i Pelnym, członkami Sfery – bardzo pozytywnego, bardzo przebojowego i bardzo pechowego zespołu istniejącego na warszawskiej scenie jeszcze od staroszkolnych czasów. Raczej nie będzie to legal. „Mam tego dosyć. Nie ma z tego pieniędzy, a kiedy nie stać mnie na wachę i korzystam z komunikacji miejskiej, ludzie rzadko patrzą się na mnie jak na normalnego człowieka".

Ważne, że to raperzy umieją patrzeć na ludzi. Album „2+2=7" zmienił się muzycznie, ale stosunkowo najmniej zmienił się od strony tekstów. Część z nich jest paradoksalnie bardziej aktualna, bo więcej teraz niepewności względem Unii Europejskiej, więcej studentów pracujących za granicą, więcej idiotycznych pism piorących mózgi dzieciakom, więcej „komicznych", „arytmicznie śmigających" niby-raperów. „To się wcale nie rozwiało" – potakuje MC, narzekając tylko, że po kawałku „7 Euro" słychać, że pisano go jeszcze przed akcesją. Teksty są mocną stroną zespołu i bywa, że publiczność zna je na koncertach na pamięć. Kolejny paradoks, bo nie warszawska. „Obraziłem się na Warszawę, jeśli chodzi o koncerty" – przyznaje mój rozmówca. „Atmosfera podczas występów jest nieporównywalna z innymi miastami, nigdy też nie zostaliśmy należycie wynagrodzeni. W innych miastach dostajemy normalne pieniądze. Tu gra się prawie za darmo, a publika się nie bawi. Nie będzie koncertu promocyjnego, była propozycja takowego w Harendzie, ale za darmo. Zrezygnowaliśmy". Pieniądze jak zawsze są niełatwym tematem: „Sprzedaję w pracy rzeczy przez telefon. Wolałbym nagrać reklamę lodów Koral" – mówi najzupełniej serio, wskazując przy okazji, że to, co jest zaprzeczeniem komercji samo w sobie, jest w Polsce najbardziej komercyjne.

Tektyw

„Z Cameyem dogadywaliśmy się rok" – zdradza Tektyw. Zespół wydał u niego poprzednią płytę, ale nie dostał za nią złotówki, bo ponoć się nie zwróciła. Pojawiał się na różnych składankach, często o tym nie wiedząc. Czasem jednak nawet dostawał za to hajs. Sto złotych na czterech. „Ja byłem od początku zadowolony ze współpracy z Krzyśkiem, ale drogą kompromisów przeszliśmy do Cameya. KNT powiedział, że widzi mnie jako solowego rapera. Zawsze jarała mnie jego wytwórnia. Powiem więcej, uważam, że Kozak jest moim przyjacielem. Mnie akurat nie przekręcił." Sugeruję, że wydawanie w wytwórni, która de facto nie istnieje, może być trudne. „I tak, i nie" – ripostuje raper. „Krzysiek, żeby wytwórnię postawić na nogi – mam nadzieję, że w tym roku ruszy z produkcjami – musiał zajmować się sprzedażą płyt w sklepie i wieloma innymi rzeczami".

O ile Stopaa to człowiek stonowany, Tektyw jest żywiołem. Kiedyś na Bródnie po dwóch stronach jeziorka siedziały dwa towarzystwa – jedno za najlepszego wolnostylowca na dzielnicy miało Jakuzę (tak, tego Jakuzę), drugie Tektywa. Ambitny dzieciak wydzwaniał do radia i w oldschoolowych czasach nadawał wolne style w Radiu Jazz u Michaela Morissa w „The Homeboy Show". Bywało, że wstawał rano i cały dzień komunikował się przez freestyle. Pytam więc, czy ogląda nowe pokolenie na WBW. Owszem, dwa lata temu balował podczas zawodów z kamerzystą TV Fly. Panowie popili i zachciało im się freestylować. Bez plakietki nie dało rady, więc raper pożyczył ją od Dioxa, w międzyczasie zalapał się na darmowe browary od Procenta. Wbił się na scenę, ochroniarz uderzył go w grdykę i zniesiono go ze sceny. „Klasyczna akcja. Idę z browarem, dostaje w pizdę i tylko widać, jak z nim lecę". Tektyw nie tylko barwnie żyje, również barwnie mówi. „Nasze trzy ostatnie wywiady musiały przejść przez filtr w postaci Słonia, który oczenzurował moje wypowiedzi. Odciąłem się już od siedzenia na murku, sikania na ławkę (wśród śmiechów kolegów słychać krzyki, że wreszcie dowiedzieli się, kto to robił – przyp. red.) i picia wódy. Wyrosłem z tego, poszedłem do pracy, pracuję na wysokim stanowisku, a zarabiam tyle co sprzątaczka. Zamierzam skończyć studia, bo studiuję pięć lat, a ciągle jestem na początku drugiego roku. Znalazłem drugą połówkę, którą bardzo kocham". „Dziękuję" – natychmiast odpowiada w tym momencie ze śmiechem siedzący obok Kowal (nie, nie ten Kowal), przyjaciel z podstawówki, z którym panowie chcą rozkręcić biznes odzieżowy. „Z Kowalem chodzę co drugi dzień. To, że szyjemy dobre, sportowe ciuchy Łez Coast, to tylko przykrywka. Tak naprawdę kręcimy pornosy ze zwierzętami" – żartuje.

Często mu się to zdarza i widać jak dobrze wyraża go wers: „Nie muszę być zły, by być autentyczny". „Młodzież do 19 roku życia jest obrażona na cały świat i się buntuje. Wolą piosenki z opowieściami o złości i ulicy, często te kawałki mają dużo energii, podtrzymują na duchu i pozwalają się wyszumieć. Nie potępiam tego, bo jeżeli coś mnie w życiu naprawdę solidnie zaboli, to napierdalam solidny hardcore'owy rap" – komentuje. Jednego oblicza MC z pewnością nie znacie – jest czynnym fanem metalu, zwłaszcza Iron Maiden. „Na długo po tym jak skończę z hip-hopem, będę grał na gitarze, i to swoje własne kompozycje" – odgraża się z przekonaniem.

Rzensa

Stopaa lubi klasykę, Tektyw jest za elektroniką. Trudno być producentem tak rozmijającego się muzycznie zespołu. Album na początku brzmiał inaczej, bardziej elektroniczny robił się na skutek odświeżenia i modyfikowania go. Jak to w czteroosobowym zespole, potrzebne były kompromisy wynikające ze zróżnicowania gustów. Zdarzała się też sugestia wydawcy odnośnie zbytniej rozpoznawalności sampla i w jego miejsce pojawiał się klawisz. „W mojej twórczości muzycznej nastąpił zwrot. Przez wiele lat robiłem beaty we Fruity Loopsie. Na samplach, wyłącznie na samplach. Potem kupiłem sobie nowy sprzęt, żeby poszerzać horyzonty. Z czasem wkręciłem się w aranżację przy użyciu klawiatury midi. Przez to automatycznie grając na samplerze wykorzystywałem programy z różnymi instrumentami – elektronicznymi i akustycznymi. Stąd zmiana" – tłumaczy Rzensa.

„Płyta nie jest konserwą, która leży trzy lata na półce. Wiele kawałków zostało wywalonych, dograliśmy nowe, w międzyczasie było sporo remixów". „Dużo osób nas krytykuje nie patrząc na siebie, często są to ludzie, którzy do niczego sami nie doszli. Należy uszanować to, że udało nam się wydać płytę, że znajduje się w sklepach" – podsumowuje producent. W przyszłości nie wyklucza robienia rapu, jak i innych gatunków muzycznych. W najbliższych planach ma czteromiesięczny, zarobkowy wyjazd do USA. Siedem Łez kończy się na naszych oczach. Panowie traktują to jako zamknięcie kolejnego etapu, rozpoczęcie czegoś nowego. Powodzenia.

Trzeci mc, Słoniu aka Senn, nie pojawił się na wywiadzie, sprawa jego członkostwa w zespole nie jest jasna. Wpadajcie na www.siedemlez.com po exklusivy i pierwotne wersje kawałków.

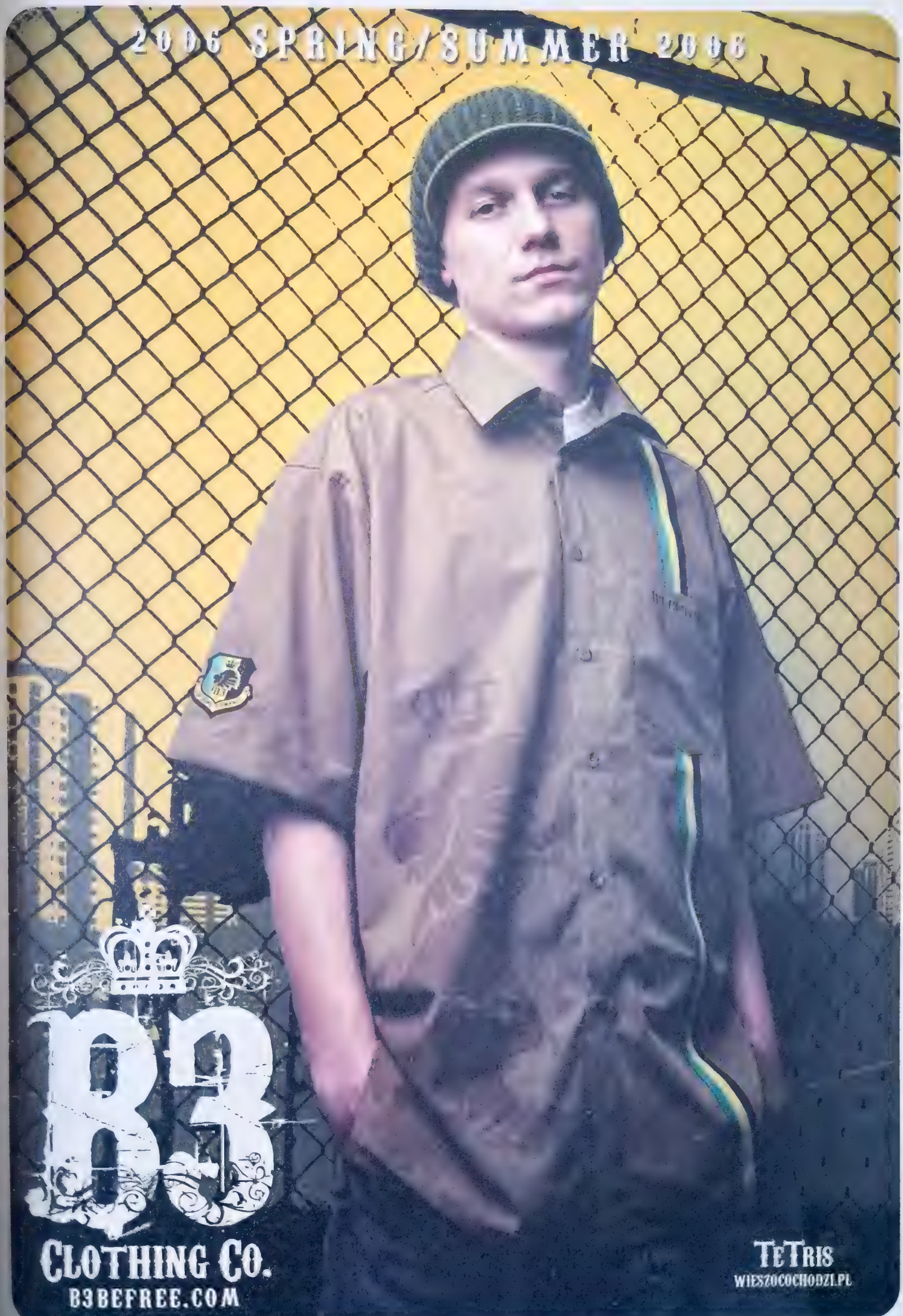

©2006 B3. All rights reserved. Ad: Sewer

B3 s.c. ul. Świtezianki 16 91-496 Łódź TEL.: +48 42 658 08 00, FAX: +48 42 659 07 85 INF. HANDL. 0 - 502 150 727

Dwadzieścia trzy lata na scenie, dziewięć albumów studyjnych sprzedanych w pona
czterdziestu pięciu milionach egzemplarzy. Narkotyki, skandale, śmierć i sława
Nieokiełznana siła rocka połączona z seksowną pulsacją funku. Wydarzeniami z życia
Red Hot Chili Peppers można by obdzielić kilka zespołów...

tekst Kubanos

Muzyce Red Hot Chili Peppers można przydzielić kilka etykietek, ale najłatwiej ją ocenić po coverach, które Kalifornijczycy grali w czasie swojej kariery, czy to na płytach, czy na koncertach. A znaleźć można wśród nich utwory Iggy'ego Popa, Sex Pistols, Fugazi, Black Flag, Jimiego Hendrixa, Led Zeppelin, Boba Marleya, Steviego Wondera, Sly & The Family Stone, Sugarhill Gang i Dr. Dre ze Snoop Doggiem („Ain't Nothing But A G Thang", jeśli chodzi o ścisłość). Mieszanka zaiste piorunująca. I jeśli ktoś szuka muzycznych tropów w dokonaniach Red Hot Chili Peppers, oto właśnie one. Rock i funk, hip-hop i metal, punk i blues, pop i psychodelia – macie tu naprawdę wszystko. I jeśli ktoś zastanawia się, czy w ogóle z takiego przemieszania gatunków może wyjść cokolwiek nadającego się do słuchania, to niech po prostu sięgnie po jakąkolwiek płytę Red Hotów. Ze wskazaniem na ich największy artystyczny sukces, czyli „Blood Sugar Sex Magik" z 1991 roku. Na razie jednak cofnijmy się do początku lat 80., gdy zacz
ła się wielka – ale również, jak się okaże, nie zawsze przyjemna – przygoda gr
py kumpli z Los Angeles z muzyką.

Czterej przyjaciele – wokalista Anthony Kiedis, basista Michael Balzar
(lepiej znany jako Flea, czyli Pchła), gitarzysta Hillel Slovak i perkusista Jac
Irons – założyli zespół o intrygującej nazwie Tony Flow and the Miraculous
Majestic Masters of Mayhem. Pod takim mianem raczej ciężko się występuj
bo to i wymówić trudno, i zapamiętać nie sposób, więc kapela przechrzciła się
na Red Hot Chili Peppers. Dość szybko, również dzięki znajomościom w świa
ku muzycznym Los Angeles, zespół zdobył lokalną sławę. Przyczyniły się
do tego szalone, pełne zwariowanej energii koncerty, na których RHCP zapre
zentowali swój słynny sceniczny strój, składający się z... jednej skarpetki. T
znaczy, z jednej na każdego członka. Dosłownie. Muzycznie wyróżniała
z pewnością funkowa pulsacja (a to za sprawą Flea, który do dziś jest jedn

z najlepszych basistów świata) połączona z punkową dynamiką. RHCP wkrótce mieli się stać – obok Faith No More – najważniejszą kapelą nurtu nazwanego funk-metalem.

Rosnąca popularność zespołu przyniosła mu kontrakt z EMI i nagranie debiutanckiej płyty, zatytułowanej po prostu „Red Hot Chili Peppers". Niestety, w sesji nie uczestniczyli Slovak i Irons, których priorytetowym projektem była wówczas kapela What Is This? Zastępujący ich muzycy nie byli w stanie w studiu skutecznie odtworzyć muzyki znanej z koncertów, swoje dołożyła marna produkcja i nieudana trasa promocyjna. Konflikty w zespole narastały, album sprzedawał się słabo, ale na szczęście w porę do zespołu wrócił Hillel Slovak, a na potencjał Red Hot Chili Peppers zwrócił uwagę mistrz funku, George Clinton. I to właśnie on zajął się wyprodukowaniem drugiej płyty Kalifornijczyków „Freaky Styley" (trudno swoją drogą o tytuł, który lepiej określałby muzyczny styl RHCP) ujrzała światło dzienne w 1985 roku. Przyniosła solidną dawkę funkrocka, granego z punkową zadziornością i szybkością, a znalazły się na niej pierwsze popularne – choć trudno jeszcze w tym przypadku mówić o przebojach – kawałki Red Hotów „Hollywood (Africa)" i „Catholic School Girls Rule". W dalszym ciągu jednak zespół nie odniósł znaczącego sukcesu. Do składu wrócił mimo to Jack Irons, a kapela ponownie weszła do studia, by wreszcie nagrać pierwszy album w oryginalnym składzie. Jak się szybko miało okazać – ostatni.

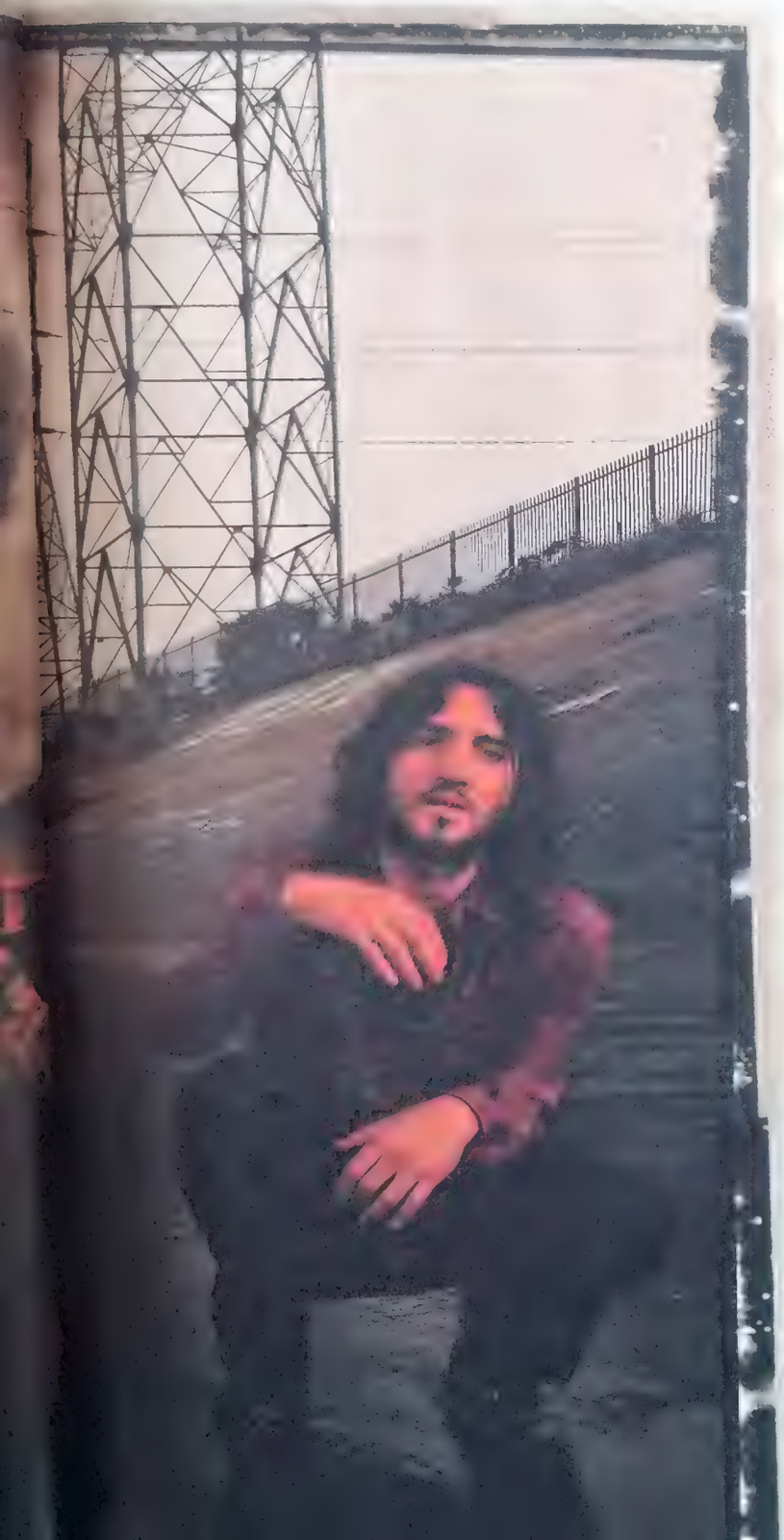

Cieniem na trzecim albumie, „The Uplift Mofo Party Plan" (1987), położyły się narkotyki. Członkowie zespołu zawsze lubili sobie poimprezować, ćpali więcej niż pili i generalnie średnio się oszczędzali. „Rokendrolowy" tryb życia sprawił, że Hillel Slovak wylądował wreszcie na odwyku, a europejskie tournee Red Hot Chili Peppers stanęło pod znakiem zapytania. Gitarzysta jednak wyszedł z walki z nałogiem zwycięsko, zaś trasa była nawet sporym sukcesem. I gdy wszystko wydawało się wracać na dobrą drogę, okazało się, że Slovak jeszcze raz przegrał z narkotykami. Tym razem ostatecznie. Znaleziono go martwego w jego mieszkaniu 27 czerwca 1988 roku. Krótko potem zespół opuścił Irons, który nie chciał kontynuować grania po śmierci przyjaciela.

Po tych wydarzeniach Kiedis sam poszedł na odwyk, ale wraz z Flea postanowił grać dalej. Po kilku przetasowaniach skład Red Hot Chili Peppers się ustabilizował. Dołączyli do niego Chad Smith (perkusja) i John Frusciante (gitara). Nagrana w tym zestawieniu płyta „Mother's Milk" okazała się pierwszym wielkim sukcesem kapeli: ponad 2 miliony sprzedanych egzemplarzy, pierwszy hit w dziesiątce najlepszych singli („Knock Me Down") i kilka innych przebojów, w tym cover „Higher Ground" Steviego Wondera i poświęcony koszykarskiej drużynie Los Angeles Lakers „Magic Johnson". Ten album był kamieniem milowym w karierze RHCP, jednak tak olbrzymi sukces, jaki miał się stać udziałem zespołu w późniejszych latach, nie byłby możliwy, gdyby nie dwa ważne posunięcia. Po pierwsze, zmiana wytwórni z EMI na Warnera. Po drugie, zatrudnienie do nagrania nowej płyty jednego z najważniejszych i najbardziej utalentowanych producentów w historii muzyki rockowej. Rick Rubin, bo o nim mowa, ma na koncie wiele znakomitych albumów. Produkował m.in. „Licensed To Ill" Beastie Boys, „Radio" LL Cool J'a, płyty Run DMC, Slayera, Slipknota i Rage Against The Machine. Do najlepszych należy jednak wspomniana już wyżej „Blood Sugar Sex Magik". Rubin nadał brzmieniu Red Hot Chili Peppers nowej jakości, a kawałki takie jak „Under The Bridge" czy „Give It Away" uczyniły z zespołu megagwiazdę. Płyta sprzedała się w 12 milionach egzemplarzy, trasa koncertowa była sukcesem wprost olbrzymim, ale John Frusciante – w dużej mierze odpowiedzialny za muzyczny sukces nowych nagrań – nie wytrzymał napięcia. Był kolejnym z Red Hotów, którzy stoczyli się w otchłań narkotycznego nałogu i wreszcie opuścił zespół.

Jego następcą został związany niegdyś z Jane's Addiction Dave Navarro. Jego gitara zmieniła muzyczne oblicze RHCP. Na jedynej nagranej z nim płycie, „One Hot Minute", pojawiło się trochę więcej psychodelii, dźwięków heavymetalowych i patentów zaczerpniętych z dokonań rocka progresywnego. I to już nie było to samo. Choć „One Hot Minute" to nienajgorsza płyta, od Red Hotów odwróciła się część fanów, nieprzygotowanych na taką muzyczną odmianę. Sam zespół uznał później ten album za „wyjątek" w swojej karierze i dziś nie gra nawet na koncertach pochodzących z niego utworów. Tymczasem Navarro, który nie czuł się najlepiej w zespole, odszedł, by zająć się własną karierą, zaś do Red Hotów powrócił syn marnotrawny John Frusciante. Po odwyku i wydaniu dwóch płyt solowych postanowił na nowo zjednoczyć siły z RHCP i dla obu stron była to dobra decyzja. Wydana w 1999 roku płyta „Californication" stała się największym jak dotąd sukcesem komercyjnym kapeli (15 milionów sprzedanych egzemplarzy). Za pochodzący z niej utwór „Scar Tissue" Red Hot Chili Peppers otrzymali nagrodę Grammy, a cały album cieszył się tak olbrzymią popularnością, że na listy przebojów trafił nawet utwór, który nie był oficjalnie wypuszczony jako singiel („Parallel Universe"). Trwająca niemal dwa lata trasa promocyjna przyniosła też największe koncerty w dziejach RHCP – w Moskwie słuchało ich na żywo ponad dwieście tysięcy osób.

Kolejna płyta – „By The Way" (2002) – również okazała się ogromnym sukcesem, zarówno komercyjnym, jak artystycznym, choć część fanów znów poczuła się rozczarowana. Brzmienie RHCP lekkiemu złagodzeniu, ale trudno się dziwić – panowie powoli się starzeją i mimo iż wciąż umieją zagrać ostro, to trochę skręcili w stronę pop-rockową. A może wynika to po prostu z tego, że to kapela nieobliczalna, nagrywająca takie płyty, na jakie ma ochotę, nie kierując się tylko i wyłącznie gustami nastoletnich fanek. W muzyce Red Hot Chili Peppers może zdarzyć się dosłownie wszystko, więc na nowej płycie mogą znów zaskoczyć nawet najwierniejszych fanów.

No właśnie, w chwili, gdy czytacie ten tekst, na sklepowych półkach będzie już leżeć najnowszy, dwupłytowy album RHCP, „Stadium Arcadium". Początkowo miał on mieć formę trzech mini LP, wydawanych regularnie co sześć miesięcy, ostatecznie jednak panowie zdecydowali się na wydanie podwójnej płyty. 28 utworów to sporo, więc i dla fanów to wyzwanie. Czy zespół utrzymał formę znaną z poprzednich albumów? Chyba warto się przekonać, bo w dalszym ciągu Kiedis i spółka stanowią gwarancję muzycznych doznań na najwyższym poziomie.

DYSKOGRAFIA:

Red Hot Chili Peppers	(1984)
Freaky Styley	(1985)
The Uplift Mofo Party Plan	(1987)
The Abbey Road EP	(1988)
Mother's Milk	(1989)
Blood Sugar Sex Magik	(1991)
What Hits!?	(1992)
Out In LA	(1994)
Live Rare Remix Box	(1994)
One Hot Minute	(1995)
Californication	(1999)
By The Way	(2002)
Greatest Hits	(2003)
Live In Hyde Park	(2004)
Stadium Arcadium	(2006)

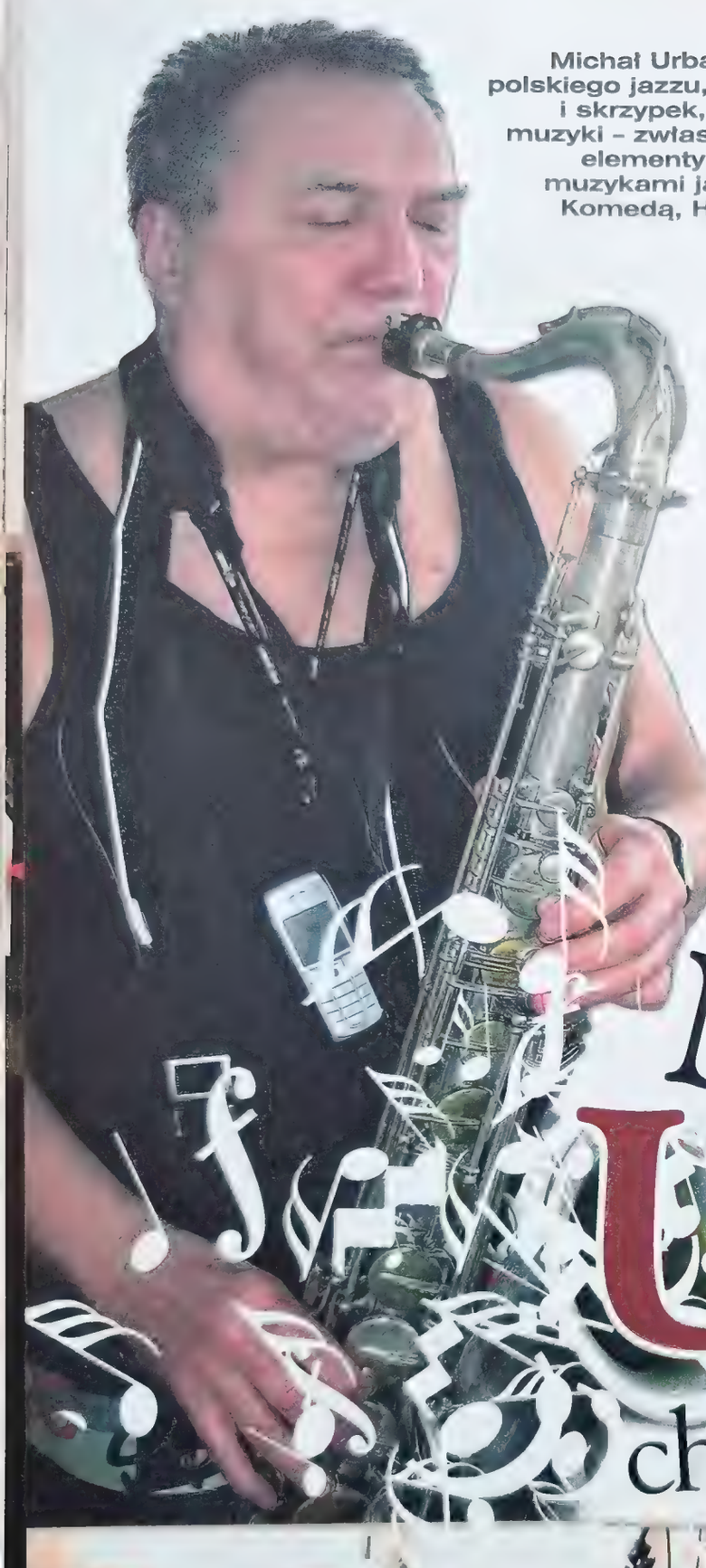

Michał Urbaniak to nie tylko jedna z najsłynniejszych postaci polskiego jazzu, ale i gwiazda światowego formatu. Saksofonista i skrzypek, współtworzył tzw. polską szkołę jazzu. Do swojej muzyki – zwłaszcza w późniejszych latach – często „przemycał" elementy hip-hopu, r'n'b i folku. Grywał z najwybitniejszymi muzykami jazzowymi świata: Milesem Davisem, Krzysztofem Komedą, Herbie'em Hancockiem, Chickiem Coreą, Quincym Jonesem i wieloma innymi

Michała Urbaniaka chaos poukładany

tekst i foto Zdzisław Nieszczególny

Jesteś muzykiem jazzowym, grasz na skrzypcach elektrycznych, saksofonie. Jak jawi Ci się kondycja jazzu na świecie? Czy zgodzisz się z tezą, że dziś jazz zaczyna się odelitarniać? Coraz częściej jest przemycany przez producentów w samplach, pojawia się w popularnych nagraniach.

Uważam, że jest to fantastyczne pytanie, jest to woda na młyn dla mnie i dla mojej całej działalności. Europejczycy – a w Polsce cały establishment i pseudo-wielcy producenci koncertów jazzowych, krytycy – za długo konia sobie walili na intelektualnej stronie jazzu, zapominając, gdzie powstał jazz. Jazz nie jest muzyką intelektualną, nie był nią i nie będzie. Jazz to muzyka emocji, duszy, muzyka źródłowa, podobnie jak hip-hop i r'n'b. Powstał na plantacjach, potem stał się muzyką taneczną i właściwie rock'n'rollem lat 40. i 50., a dzisiaj jest to wciąż największa muzyka na świecie. Jest i w hip-hopie, i w salsie, i w reggae, i w bossanovie. Słowo jazz to określenie muzyki, przy której trzeba się radować, ruszać i za dużo nie wolno myśleć, a artyści, którzy uciszają swoją publiczność w klubach, powinni być wykluczeni z grania. Spójrzmy na generację i socjologię. Kluby hip-hopowe teraz wyglądają jak kluby jazzowe mojej młodości. Dalej jest protest? Jest. Co prawda, ja do tej pory protestuję, nie wiem przeciwko czemu, ale kiedyś mieliśmy jeszcze protest polityczny. Zakamuflowany film albo jazzowa muzyka to były jedne z nielicznych gatunków, gdzie można było się przeciwstawić komunie. Teraz oczywiście nie ma tego, ale w hip-hopie jest bunt przeciwko zgredom, aspekt dorastania i to też wpływa na muzykę, bo to jest popkultura. Strasznie się cieszę i mam nadzieję, że przyczyniłem się do tego, o czym mówiło pytanie. A tak a propos, to jeszcze mam coś, co używam w wywiadach najchętniej z dziennikarkami. Na pytanie „Do czego mogę porównać jazz europejski, taki przeintelektualizowany..." mówię czy woli odpowiedź przyrównującą do religii czy do stosunków damsko-męskich. Jak to drugie, to ja odpowiadam, że to jest sex z instrukcją w ręku, natomiast jeśli chodzi o stronę religii, to nie trzeba być księdzem, żeby być chrześcijaninem.

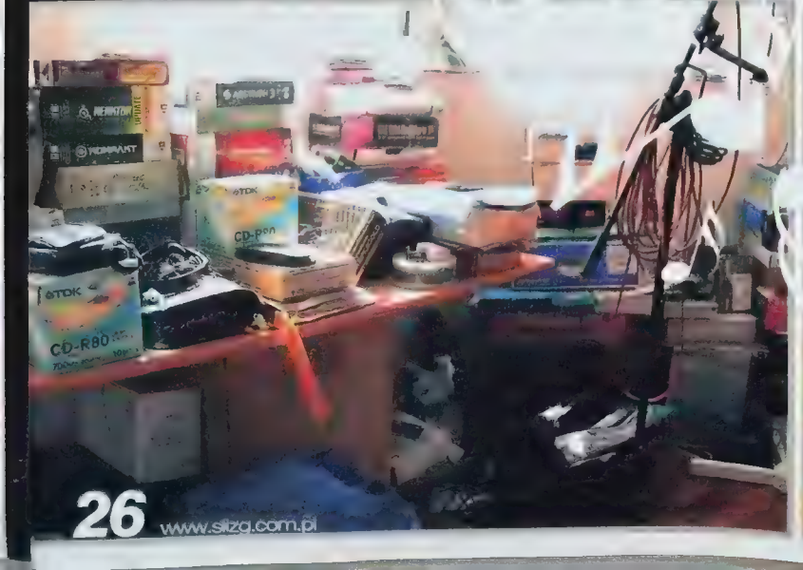

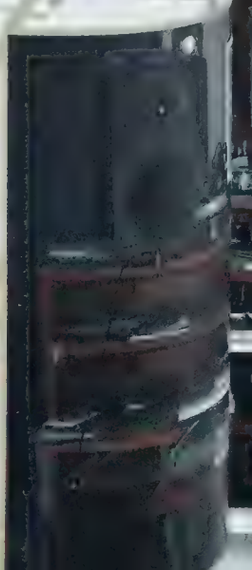

Jeśli wielu producentów na świecie i w Polsce inspiruje się jazzem, to co inspiruje Ciebie jako jazzmana?

Powiem prosto: bardzo mnie inspiruje takie nocne R&B. To znaczy wolne ballady od lat 70. do teraz, kiedy piękna dziewczyna z pięknym głosem zaśpiewa piosenkę o miłości. Druga rzecz to electro i tu pojawia się nowy temat. Jestem stuprocentowo pewien, że wykonując kilka prób i kilka koncertów siedzę mocno w electro. Inspiruje mnie również Skalpel, chociaż ja wolę, żeby to wszystko kopało rytmicznie. Tam było położenie więcej na dźwięk, a nie na rytm, ale dźwięki i ich dobór były super, nawet czuję się zaszczycony tym, że niektóre moje stare płyty były tam cytowane. W związku z tym robię projekt z DJ'ami, którzy remiksują moją starą muzykę. Niedługo mam dostać od DJ'a Haema parę swoich utworów jako remiksy. Obecnie nawiązałem z Darkiem Makarukiem współpracę, którą sobie bardzo cenię. Oczywiście inspiruje mnie też dobry hip-hop, połączenie electro z r'n'b i połączenie electro z hip-hopem.

Kto samplule Urbaniaka?

Dużo tego było, ale jednym z pierwszych zespołów, które się do mnie zgłosiły, był A Tribe Called Quest. To był początek lat 90. Tribe sprzedawali wtedy miliony płyt. Któregoś dnia zadzwonił do mnie mój prawnik i powiedział, że dyrektor firmy Zomba Productions na polecenie chłopaków chce pogadać o samplach. Umówili mnie na spotkanie. Dyrektor mówił, że chłopaki w kilku utworach użyli moich sampli i jest propozycja finansowa, a że na pierwszy nakład wychodzi milion płyt, to oferują mi sto tysięcy dolarów. Ja na to „proszę bardzo". To był taki najmocniejszy strzał. Dr. Dre z Florą Purim wzięli właściwie cały utwór bez pytania, ale potem się jakoś dogadali. Flora skopiowała linię melodyczną Uli Dudziak, nie było to fajne.

Opowiedz, Michał, o swoich najnowszych planach wydawniczych.

Są trzy rzeczy. Pierwsza to Wodnik, ciągle mnie pcha do przodu, ciągle spotykam ludzi, dźwięki. Na festiwalu w Toruniu przez długi czas nie mogli się dowiedzieć, z kim gram. Ja sam nie wiedziałem, jaki skład zabrać, ale wiedziałem, że muszę coś zrobić. Któregoś dnia odbieram pocztę, a tam spam o treści: „rób to, czego się boisz". Dzwonię więc do Makaruka i mówię: „robimy!" Pojechaliśmy na festiwal jazzowy nikomu nie mówiąc. Graliśmy dwukrotnie z różnymi bisami, to przeszło nasze oczekiwania. To jest projekt przyszłościowy. Teraz na maj szykujemy koncert w Warszawie na festiwalu im. Komedy. Nie będzie perkusisty ani basisty, tylko komputer, keyboard, gitara i moje wszystkie rzeczy, włącznie z elektrycznym saksofonem, co jest nowością. Kolejna rzecz to pomysł na CD z muzykami, z którymi grałem i gram i którzy w międzyczasie stali się znani. Płyta, a właściwie seria, będzie się nazywała „Fuzion Legends". No i oczywiście projekt z DJ'em Haemem.

Opowiedz trochę o Jamaica Queens, części Nowego Jorku, z której pochodzą mega zdolni muzycy, słynni na całym świecie.

Jest to duża dzielnica w okolicy lotniska Kennedy'ego, skąd pochodzą Chaka Khan, Marcus Miller, Lenny White i można tak wymieniać bez końca. Trafiłem tam na żyłę złota, biorąc do zespołu młodych chłopaków. Np. przychodziło trzech, grali, i jeden czytał nuty, drugi słabiutko, a trzeci wcale, ale brzmieli podobnie. To była ta sama ulica. Jak jeden nie mógł, to drugi natychmiast się uczył i grał repertuar. W tej dzielnicy jest super organizacja. Nie chodzi o biurokrację, ale o ogromną sztamę między muzykami. Jest prawdziwy kolektyw, strasznie się popierają, wspierają. A ja zostałem honorowym obywatelem Jamaica Queens.

Masz odjechane ciuchy. Gdzie je kupujesz?

Ciuchy kupuję głównie w Stanach i najczęściej w kolorowych dzielnicach. Kiedyś pojechałem do Dayton w Ohio, dziury w samym centrum USA, i tam dostałem super ciuchy i w moich rozmiarach (śmiech).

Oczywiście respekt dla Ciebie, Maestro, ale kto jest dla Ciebie guru w świecie jazzu?

Na pewno wodzem i guru nas wszystkich oraz człowiekiem, który mnie skręcił, jest Miles Davis. To nie ulega żadnej kwestii, chociaż zacząłem od Armstronga i nic mu nie chcę ująć. Kiedy umarł Miles, wszyscy na Jamaica Queens wyszli z domów i spotkaliśmy się w klubie. Padło hasło: „Wodza nie ma, trzeba się wziąć do roboty i kontynuować jego dzieło". Obecnie z żyjących muzyków to Herbie Hancock. To, co on robi, to jest prawie majstersztyk, zjadam każdą jego nutę. Nie mogę zapomnieć również o Nigelu Kennedym i zazdroszczę mu, bo mnie bili po łapach za jazzowe akordy, a jemu pewno bili brawo.

Powiedz, jak spotkałeś Milesa Davisa?

Jest rok 1985. W tym czasie miał on pięcioletnią przerwę, zmienił wytwórnię i szykował się do nowej płyty. A ja z nową żoną aktorką przeniosłem się do Kalifornii. Po jakimś czasie chodzenia po różnych wytwórniach i firmach starając się o np. muzykę do filmu, szlag mnie trafił. Trzeba było wstać o 8 rano i stać w 300-osobowej kolejce. Któregoś dnia spotkałem tam producenta, który mi dał swoją wizytówkę. Kiedy później zadzwoniłem do niego, okazało się, że to on mnie szuka. Powiedział mi, że Miles Davis widział mnie w telewizji i chce mnie na płytę. „Get me this polish guy, he got a sound!", powiedział Miles. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie nagrywałem z Davisem, bo nie było go wtedy w studio, ale spotkaliśmy się na drugi dzień i to był prawdziwy jazz. Wszedłem do studia i zastałem Milesa nagrywającego coś przy pianinie. Podszedł do mnie i zapytał swoim zachrypniętym głosem: „Jak się grało?" Odparłem: „Myślę, że tak jak chciałeś." Usiedliśmy do piana i zaczęliśmy grać różne akordy, lepsze lub gorsze, ale mało pamiętam, bo to była magia. Potem zaprosił mnie jeszcze na trzy koncerty. Myślałem, że jako widza, ale jak mnie zobaczył, to zapyta: „Gdzie twoje skrzypce? Jedź po nie!" Wsiadłem w taksówkę i zaraz byłem z powrotem. Zagraliśmy koncerty. Broadway, Filadelfia, Waszyngton. Pełen żywioł!

Kiedyś usłyszałem pewną teorię. Oczy są zwierciadłem duszy a to, co my Polacy widzimy przez większość roku, to deszcz i zima. W Stanach mieszka dużo kolorowych, jest ciepło, a wszystko jest mega rozmiarów. Począwszy od sal koncertowych, przez budynki, skończywszy na billboardach. Dlatego Jazz z USA jest wesoły, a polski smutny. Zgadzasz się z tym?

Dokładnie, nazwałeś sprawę po imieniu. Zawsze się nad tym zastanawiam i wiesz co? Kiedyś mój basista mówi do mnie: „Michał, co to jest? Nawet jak ty napiszesz wesołą melodię w dur to i tak ona będzie miała smutną podnutę". Prawdziwy jazz ma też w sobie trochę melancholii. Dlatego kolor jazzu jest niebieski, ale Miles Davis na swojej płycie „Kind Of Blue" dodał kolor zielony.

Oczywiście inspiruje mnie też dobry hip-hop, połączenie electro z R&B i połączenie electro z hip-hopem.

To teraz luźniej. Gotujesz?

Tak, robię często kotlety mielone, ale za każdym razem smakują inaczej (śmiech). Lubię kuchnię japońską, oczywiście oryginalną włoską, francuską. A i jeszcze jest jedna dobra kuchnia, podobna do polskiej, ale koszerna. Uwielbiam żydowskie delikatesy.

Jaki jest Twój ulubiony sport?

Tenis, tylko tenis. Od 30 lat grywam prawie codziennie. Niedawno miałem wypadek i bark mi wyleciał, ale zaczynam znowu grać. Oczywiście lubię piłkę nożną. Ronaldinho to jest koniec świata, ten facet tańczy bossanovę na piłce. Jeszcze siatkówka, kosz i ping-pong. Jak mi zdrowie nie pozwoli wrócić do tenisa, to się przerzucę na ping-ponga.

Na koniec daj jakąś radę, spostrzeżenie, po prostu kilka słów dla młodych twórców.

Artystycznie nie bać się siebie, nie bać się zrobienia błędu, nawet kosztem krytyki – to jest konieczne. Obserwuję czasem innych. Zrobią coś i już pytają, czy to jest dobre. Nie! Może nie być dobre, ale potrzeba tworzenia jest najważniejsza. Druga rzecz – to skoro ten biznes się już zawalił, to musimy go wspólnie doprowadzić do ludzkiego stanu. Żeby po każdym kontrakcie człowiek nie płakał.

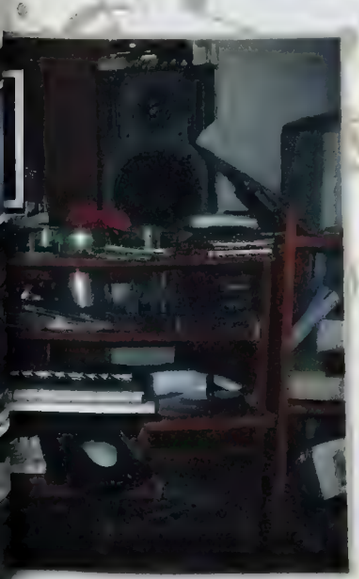

Maria Peszek

marysia z innej planety

„Nowa Twarz Fonografii", uzależniona zarówno od ciszy jak i hałasu. Marysia Peszek jako przybysz z innej planety wśród egocentrycznych i nadwrażliwych stworów-artystów. Branża muzyczna i wiele tysięcy zachwyconych słuchaczy powiedziało jej „dzień dobry"

tekst Tymoteusz Kubik
foto Jacek Poremba

„Miasto Mania" to wielki sukces zarówno artystyczny jak i komercyjny. Z pewnością Kayah weszyła sukces, a czy Ty spodziewałaś się takiego rozwoju wypadków?
Kayah zaproponowała mi wydanie „Miasto Manii" z bardzo emocjalnych pobudek. Po prostu zachwyciła się płytą. Pamiętam nasze rozmowy, wątpliwości dotyczące szans marketingowych i przewidywalnej sprzedaży. Kayah bardzo realnie patrzyła na te możliwości i jednocześnie z totalnym entuzjazmem uparła się, że chce ten „artystyczny" projekt ze wszystkimi konsekwencjami, bez podejmowania jakichś działań w kierunku uczynienia go bardziej komercyjnym, przystępnym, bez wymyślania taktyk marketingowych czy prób podbicia rynku. To, co wydarzyło się potem, było więc czyste od jakichkolwiek spekulacji i obliczeń. Było wielkim zsaskoczeniem i fantastyczną radoscią. Nikt nie spodziewał się takiej skali zjawiska. A ja oczywiście najmniej, bo w ogóle się na tym nie znam i jak widać, nie jest mi to do niczego potrzebne.

Album dostał 7 nominacji do Fryderyków – to dużo. Z siedmiu nominacji wynikły jednak tylko dwa wyróżnienia.
Nie przywiązuję wielkiej wagi do nagród. Dostałam ich już na swojej artystycznej drodze wystarczająco dużo, żeby się zorientować, że przysparzają tyleż radości, co i kłopotów. Szczerze jednak powiem, że ten mój osobisty Fryderyk (Nowa Twarz Fonografii) straszliwie mnie ucieszył i jestem z niego bardzo dumna. To trochę tak, jak gdyby branża muzyczna powiedziała mi – przybyszowi z innej planety – „dzień dobry".

Nasze z założenia narodowe nagrody z roku na rok tracą na wartości. Teraz stałaś się częścią naszego przemysłu muzycznego, sceny bardzo specyficznej, zdradliwej, zawistnej. Weszłaś w to, czy nadal jesteś obok?
Planeta, z której przybywam, jest w podobny sposób specyficzna, a także zdradliwa i jakżeż zawistna. Zamieszkują ją bardzo podobne egocentryczne i nadwrażliwe stwory, czyli artyści. Przemysł muzyczny ma wiele wspólnego z przemysłem teatralno-filmowym, różni się chyba głównie skalą. Tak naprawdę, zawsze starałam się być z dala od epicentrum i chciałabym, żeby tak zostało. Bycie obok bardzo mi sprzyja. Daje szansę skupienia się na tym, co tak naprawdę mnie interesuje, czyli na robieniu sztuki. Strasznie wkurza mnie taka konieczność określenia się, czy jestem już teraz wokalistką, a już nie aktorką i czy za chwilę może zostanę muzykiem, a przestanę umieć grać na scenie. Nie zamierzam rezygnować z niczego, co daje mi frajdę w tworzeniu, ani wyznaczać sztywnych granic. Zmieniają się tylko pryncypia. Mam sto tysięcy pomysłów w głowie, ale niestety nie mam nieograniczonej ilości energii. Jeśli więc coś mnie frustruje, to konieczność dokonywania wyborów.

Co muzycznie inspiruje Marysię Peszek?
Cisza. Potrzebuje jej w olbrzymiej ilości, wprost proporcjonalnej do hałasu wokół. Uwielbiam ciszę. Jest dla mnie początkiem wszystkiego, co istotne. Tak naprawdę, towarzyszy mi ciągła tęsknota za ciszą. W muzyce jako takiej najsilniej inspiruje mnie to, co wzrusza. Często muzyka poważna, kobiece głosy śpiewające Bacha, kiczowate fragmenty muzyki filmowej, minimalistyczne kliki i miejskie szumy, ale i patetyczne smyki. Jeśli chodzi o konkretne nazwiska czy nazwy, to: Maria Callas, Billie Holliday, Kate Bush, Nordenstam, Mathew Herbert, Górecki, Anja i Jan Garbarek, Radiohead, Primus, P.J. Harvey, Monk i jeszcze bardzo wielu niezwykłych muzyków, których jeszcze nie odkryłam, bo się dopiero uczę.

Tekst „Pieprzę Cię Miasto" śpiewasz z uśmiechem na ustach, jednak na pewno są momenty, kiedy to miasto daje do pieca i Tobie. Czego najbardziej nie lubisz w Warszawie?
Trudno powiedzieć. Jestem teraz w fazie totalnego zakochania w Warszawie, więc trochę oślepłam.

„Miasto Mania" to wciąż muzyka na wskroś miejska. Bez wątpienia stworzyliście nową jakość, z którą identyfikują się tysiące ludzi, którym brakowało czegoś, co będzie zarówno przyziemne, traktujące o codzienności, często szarej rzeczywistości, jak i zupełnie magiczne. Stworzyliście naprawdę wspaniałą rzecz. Jak się z tym czujesz?
Głównie czuję się z tym wspaniale, bo to taki kompletnie niezamierzony bonus. Nie planowaliśmy stwarzania nowych jakości. Ja bardzo chciałam opowiedzieć pewną ważną historię w bardzo szczególny sposób. Słowa plus dźwięki równa się piosenki. Wojciech Waglewski w niezwykły sposób z ogromną czułością wobec słów przetworzył te historie na język piosenek, a Emade i Fisz przełożyli je na miejskie narzecze w swój niepodrabialny i wyjątkowy sposób. Oczywiście nie była to podróż bezbolesna i łatwa, ale się na taką nie umawialiśmy. Myślę, że w melanżu tak różnych światów, jakie reprezentują Wojciech Waglewski, Emade, Fisz, Lachmann i Peszek, tkwi ta magia, o której mówisz i która ludzi przyciąga. To wspaniałe uczucie zrobić coś, o czym się marzyło w stopniu bardzo zbliżonym to tego, co sobie człowiek założył, aż tu jeszcze nagle ludzi to wzrusza. To się chyba nazywa szczęście...

Waglewscy coraz bardziej stymulują Twoją muzyczność. Teraz wszyscy będą Cię namawiać, abyś podążyła za muzyką. Spróbowała, jak sama to określiłaś, „przełożyć dźwięki z głowy na nuty". Co zrobisz z tym fantem?
Nikt mnie nie musi namawiać, to jest po prostu naturalna kolej rzeczy, a raczej wewnętrzny przymus. Robienie muzyki daje mi tyle radości i jest tak wyzwalającym odkryciem, że przepadłam i wpadłam jak śliwka w kompot. A że się trochę boję, to zupełnie inna sprawa. Nie umiem zbyt wiele i to jest moja siła, ale też szybko się uczę i to też jest siła. Byle tylko tych sił starczyło i czasu, i energii, bo jest jeszcze coś takiego jak życie, które jako takie samo w sobie też mnie kręci.

Skład koncertowy dał „Miasto Manii" ogień. Wasze koncerty to wspaniała rzecz. Muszę przyznać, że byłem trochę zdziwiony. Spodziewałem się czegoś bardziej w konwencji spektaklu, gdzie jest wyraźna granica między aktorem a publiką. Podczas gdy Ty od pierwszych chwil koncertu łamiesz barierę, tryskasz humorem, energią, budujesz swoistą więź z widownią.
„Miasto mania" to kompleksowy projekt. Od początku był pomyślany jako wieloczłonowe zjawisko. Oczywiście najistotniejszym elementem jest płyta będąca motorem całego zamieszania, a to, co dzieje się dalej, jest organicznym przedłużeniem płyty. W warszawskiej Fabryce Trzciny „Miasto Mania" funkcjonuje jako rodzaj zdarzenia teatralno-muzycznego, które nazywam „teledyskiem na żywo". Zdarzenie to łączy w sobie elementy instalacji multimedialnej, koncertu i spektaklu teatralnego, ale nie ma w nim żywych muzyków. To precyzyjnie skomponowana całość, o której sile w dużym stopniu decyduje obraz, projekcje, detale. I ta „Miasto Mania" jest, tak jak mówisz, dużo bardziej w konwencji spektaklu. Z kolei „Miasto Mania Na Żywo" to po prostu koncert. Zdarzenie bardziej spontaniczne, pełne improwizacji i żywego kontaktu z muzykami i z publicznością. Piosenki z płyty w nieco innych, bardziej energetycznych, czasem żywiołowych aranżacjach. Nie należy więc, spodziewać się tu żadnych aktorskich tricków ani uatrakcyjnień wizualnych. Nie będzie też Marii Peszek w roli wokalistki, a po prostu Maria Peszek wokalistka. Nie byłabym jednak sobą, gdyby i w „Miasto Manii Na Żywo" nie znalazły się niespodzianki... Nie można porównywać tych dwóch zdarzeń. Różnią się rodzajem energii, kolorem, mają inną emocjonalność. Najlepiej zobaczyć obydwa...

Serwis Randkowy

Marzysz o wielkiej miłości? O niezapomnianej, ekscytującej przygodzie? Chcesz pójść z kimś do kina? Klubu? Na imprezę do znajomych? Do łóżka? Wiemy, że każdy kogoś szuka i chcemy Wam pomóc się odnaleźć. Stworzyliśmy specjalny Serwis Randkowy, który umożliwi Ci flirt z Twoim wymarzonym partnerem

Wystarczy, że odpowiednio sformułujesz swój profil, który pozwoli innym Cię zauważyć. Działa to również w odwrotną stronę i za pomocą „wizytówek" sam będziesz mógł urządzać polowania na swoją „drugą połówkę". Dajemy Ci szansę na spełnienie Twoich najskrytszych pragnień (nie tylko emocjonalnych). Żyj chwilą! Uwierz w końcu, że marzenia się spełniają! Jej zmysłowe usta są bliżej Twoich, niż Ci się wydaje... A jego zniewalające oczy, właśnie patrzą w Twoją stronę!

Nie masz nic do stracenia! Korzystając z naszego serwera, możesz sms'ować i dzwonić do wybranej przez Ciebie osoby, pozostając oczywiście anonimowym. Nie ujawniamy Twojego numeru telefonu! Przecież wiesz najlepiej, komu warto go podać, a komu niekoniecznie...

Wyjdź swoim pragnieniom naprzeciw... Potrzebujesz tylko jednego adresu: http://randki.4fun.tv, aby Twoje życie nabrało intensywniejszych kolorów. Tworzysz własny profil, tworzysz własną drogę do spełnienia... Tworzysz swoje życie, a to prawdziwa sztuka! Bez ograniczeń – 4love, 4sex, 4fun!

muzyko terapia

na saskiej kępie

Z muzykami Muzykoterapii - Izą Kowalewską, Dominikiem Trębskim i Wojtkiem Traczykiem - spotkaliśmy się w piękną kwietniową niedzielę na warszawskiej Saskiej Kępie. Okazało się to strzałem w środek tarczy. Ani leniwa atmosfera, ani czilautowy nastrój nie przeszkodziły nam w ciekawej, długiej rozmowie, której wybrane fragmenty możecie teraz przeczytać

rozmawiał Andrzej Cała / „Machina"
foto Mateusz Kluczek

Na wstępie powiedzcie proszę, jak uważacie – ile godzin seansu z Muzykoterapią trzeba, by uleczyć niewrażliwe na dobrą muzykę uszy?
Iza: To nie tak. Muzykoterapia nie leczy. Ona wspomaga leczenie. Tak samo trudno powiedzieć, ile godzin potrzeba.
Ale mi bardziej chodziło o płytę...
Iza: Aaa, bo mówimy o płycie? (śmiech)
Możemy o płycie, możemy o samej muzykoterapii.
Iza: Hmm, to bardzo trudne pytanie. Ile potrzeba? Na pewno nie raz i nie dwa należy płytę przesłuchać. Są tam takie fajne, typowo relaksacyjno-muzykoterapeutyczne numery jak „Woda" czy „Bieszczady". Są też takie rzeczy aktywizujące, skoro już mówimy językiem muzykoterapii, ale nie wiem naprawdę, ile godzin potrzeba. Wojtek, ty wiesz?
Wojtek: Myślę, że aby wyleczyć niewrażliwe uszy, to należy lobotomię frontalną przeprowadzić u większości osób przede wszystkim, czyli rozdzielić półkule. Potem człowiek jest warzywkiem, co prawda, ale ma wrażliwe uszy.
Nie da się uciec od tego pytania. Dlaczego aż tyle trwała praca nad materiałem? Tytus anonsował wydanie Waszej płyty już od połowy 2004 roku.
Wojtek: Chcieliśmy to po prostu zrobić dobrze, dopieścić.
Iza: No i udało nam się!
Eee, każdy tak mówi.
Dominik: Decydowały pewne problemy organizacyjne. Każdy z nas ma też inne projekty i zajęcia na głowie. Nie chcieliśmy nagrać i wydać płyty na szybko. ona kształtowała się do pewnego stopnia przez cały ten czas. Nie marnowaliśmy czasu – dużo rozmawialiśmy, dogadywaliśmy pomiędzy sobą, jak chcemy, żeby ten materiał wyglądał.
Pamiętam Wasz koncert w grudniu 2004 r., bodajże w warszawskim Teatrze Rozmaitości. Chyba niewiele z kawałków, które wtedy graliście, znalazło się na płycie.
Iza: Dwa albo trzy utwory.
Dominik: Ale wszystkie w innych wersjach. Ja nie byłem do końca zadowolony z tego, jak one brzmiały. Duża jest różnica pomiędzy tym, jak ten album miał wyglądać wtedy, a jaki jest efekt końcowy. To chyba też wynika z tego, że to nasz debiut. Szukaliśmy – może cały czas szukamy – tego naszego brzmienia.
Czy to największy komfort pracy w małej, niezależnej wytwórni (w przypadku Muzykoterapii jest to Asfalt Records – przyp. red.) – swoboda, brak poganiania, czas na pracę?
Iza: Zdecydowanie. Był spokój, czas do tworzenia.
Dominik: W pewnym momencie pojawił się termin finalny, który trochę przekroczyliśmy, ale najważniejsze, że mamy to już za sobą. Poza tym, w pewnym momencie okazało się, że aby to był naprawdę muzykoterapeutyczny materiał, potrzebujemy na nim jak najwięcej żywych instrumentów i praca nad tym elementem była tak naprawdę najbardziej czasochłonna.

Właśnie. Ile osób, poza Waszą trójką, wzięło aktywny udział w nagrywaniu materiału? Czy to byli Wasi znajomi, ludzie z Waszego kręgu towarzyskiego?

Dominik: Bardzo dużo osób.

Iza: W zdecydowanej większości, tak jak słusznie trafiłeś, właśnie są to nasi znajomi: ze szkół, z poszczególnych zespołów, w jakich graliśmy.

Dominik: Albo krewni i znajomi królika.

Łatwiej czy trudniej się pracuje z ludźmi, których się zna? Przyjazna atmosfera sprzyja konstruktywnej pracy, czy też jest jakieś drugie dno?

Dominik: Dla mnie sprawa jest jasna. Jak kogoś znam, jego muzyka mi się podoba, to doskonale wiem, czego się po nim spodziewać, na co czekam przy naszej współpracy.

Pytanie, którego większość artystów nie lubi, ale w Waszym przypadku wydaje mi się jednak zasadne – czy byliby ście w stanie jakoś zaszufladkować muzykę Muzykoterapii?

Dominik: Dobrze trafiłeś. Ja ostatnio znalazłem dobre określenie, z pomocą kolegi. Wydaje mi się, że pierwsza połowa tej płyty utrzymana jest w klimacie muzyki klubowej lat 50.

Swing?

Dominik: Tak, dokładnie to skojarzenie mam, wyobrażają mi się tamte lata, dziewczyny tańczące do takiej muzyki. Nasza muzyka gdzieś po części jest bliska temu, oczywiście jeśli chodzi o rytmikę, bo brzmienie jest nowocześniejsze. Jeśli chodzi o drugą połowę płyty, to jest ona zdecydowanie spokojniejsza, bardziej do wyciszenia się.

A gdzieś pośrodku, moim zdaniem najlepsze nagranie, utrzymane w klimacie philly soulu „Minutes".

Dominik: Tutaj dużo wkładu miał – co wiązało się z moimi problemami technicznymi z komputerem – Envee: ostatnie miksy, szlify producenckie to jego zasługa.

Iza: A problemy z komputerem wyniknęły z tego powodu, że ukradziono nam komputer.

Dominik: Właśnie, niestety. No i wracając do tego, o czym mówiłem. W tym kawałku Envee zaprogramował cały układ bębnów, my dodaliśmy kwestie harmoniczne.

Gdyby ktoś nie miał jeszcze okazji usłyszeć Muzykoterapii, moglibyście porównać Waszą muzykę do kogoś innego w Polsce?

Wojtek: Oczywiście, że… nie!

Iza: Oczywiście. Jesteśmy jedyni w swoim rodzaju.

Dominik: Jedyne analogie, jakie przychodzą mi do głowy, to może Tworzywo Sztuczne, ale trudno się temu dziwić, bo jesteśmy przecież bardzo blisko związani z tym projektem.

Czy macie już jakieś szerokie plany koncertowe promujące płytę? Zapewne częściej będzie można Was zobaczyć w niewielkich jazzowych klubach niż na jakichś spędach.

Dominik: Na razie jeszcze nie wiemy za dużo o planach. Zobaczymy, jak płyta zostanie przyjęta, może wtedy wszystko ruszy. 27 maja w warszawskim Balsamie jest koncert promujący album, zagra na nim z nami były bębniarz Sistars, U1 (Marcin Ułanowski), który – mamy nadzieję – na stałe dołączy do nas przy koncertach. Zobaczymy, jak się to będzie układało, jak wypadną terminy, bo chłopaki też – mam na myśli jeszcze Wojtka – grają razem z Marią Peszek.

No, to można połączyć siły. Stylistycznie wydajecie się być raczej po tej samej stronie barykady.

Dominik: Też gdzieś słyszałem takie porównanie. Nawet nie chodzi może o kwestie muzyczne, ale…

Iza: Klimatycznie wydajemy się być blisko.

Skoro jesteśmy przy Marysi Peszek. Nie było dla Was zaskoczeniem to, jak przyjął się i sprzedał jej album? Czy nie widzicie też w tym – przy zachowaniu odpowiednich proporcji – szansy dla siebie, a zarazem w ogóle muzyki bardziej niszowej, trudniejszej dla odbiorcy?

Wojtek: Na pewno sukces Marysi pokazał, że być może coś się ruszyło, zmienia na lepsze. To w ogóle widać chociażby po imprezach z muzyką taką mniej popularną i przystępną. Wyrobiło się grono odbiorców szukających ambitniejszej, mniej mainstreamowej muzyki.

Dominik: Przede wszystkim cieszy, że przebił się album, który na początku nie był zupełnie promowany, o którym wcale nie było głośno. To była taka naturalna droga – płyta wyszła, chwyciła, ludziom się spodobała i dopiero wtedy zaczął się szum medialny. Najważniejsza była sama muzyka, a nie otoczka.

A przykłady takich artystów jak Skalpel, Robotobibok, Pink Freud, teraz Miloopa, które popularniejsze wydają się za granicami naszego kraju – nie wydaje się Wam, że podobna droga mogłaby być Waszym udziałem?

Iza: Nie ma co gdybać, ale masz rację. Jest pewna tendencja z polskimi grupami sprawdzającymi się w tej fali nowego jazzu, że wybijają się poza Polską i świetnie, że tak jest. Oczywiście nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby też nasza muzyka spodobała się hen daleko, bo to przecież marzenie każdego muzyka.

Można zaryzykować stwierdzenie, że otworzenie granic i procesy, w jakich bierze udział Polska, stały się dużą szansą dla muzyków?

Dominik: Na pewno też. Ale jest wiele czynników ku temu. Coraz częściej goszczą w Polsce artyści z całego świata prezentujący taką muzykę niszową, do których możemy w pewien sposób się odnieść. To zawsze stwarza szanse współpracy. Pliki mp3 sprawiają, że płyta wydana u nas może dotrzeć do kogoś na innym kontynencie.

No właśnie. Wasze kawałki, w których Iza śpiewa po angielsku, z powodzeniem mogłyby zostać wydane na winylu i podbić rynek muzyki około-jazzowej na całym świecie, trafić na różne składanki.

Iza: Nie chcemy na razie wybiegać za daleko w przyszłość i gdybać, ale… to prawda i taka sytuacja wcale nie jest jakoś nierealna, a wręcz przeciwnie.

Dominik: Na razie cicho sza jednak (śmiech).

Czym jest dla Was twórcze myślenie, muzyczna otwartość?

Wojtek: Ja ostatnio słyszałem opinię pewnego człowieka – zresztą muzyka, co ciekawe – że ktoś, kto słucha wielu rodzajów muzyki i różne gatunki mu się podobają, ma źle poukładane w głowie. Dla mnie to jest jedna z najgłupszych rzeczy, jakie usłyszałem, bo jest dokładnie odwrotnie i takie podejście świadczy o ograniczeniu. Uważam, wracając do tematu Marysi Peszek czy fali artystów, o których mówiliśmy, że świetnie się stało, że odnieśli oni sukces, znaleźli swoich odbiorców. To jest właśnie sukces twórczego myślenia, otwartości, kreatywnego podejścia.

Siedzimy sobie na Saskiej Kępie, która jest Wam bliska. Jest piękne niedzielne, wiosenne, leniwe popołudnie, w naszej rozmowie co chwila przewija się termin „jazz". Uważacie, że miejsce, w którym się nagrywa, obcuje z muzyką, ma wpływ na sam proces tworzenia?

Iza: Moim zdaniem, zdecydowanie tak. Z rozrzewnieniem wspominam twórcze lata na Lipskiej, gdy jeszcze mieszkaliśmy z Dominikiem i powstawały nasze pierwsze rzeczy, spontaniczne nagrania, w tym „Piosenka o Saskiej Kępie".

Dominik: Pewnie na jednych to wpływa, na innych nie. Chociaż faktycznie – nie wiem, czy gdybyśmy mieszkali i nagrywali na Ursynowie na przykład, to nasza twórczość właśnie tak by wyglądała.

Płyta już lada dzień w sklepach, co dalej?

Iza: Ja chciałabym nagrać płytę z jazzowymi standardami. To jest coś, co od zawsze jest mi bliskie.

Dominik: Każdy z nas ma swoje plany, projekty, trudno w tym momencie powiedzieć, co z tego jako pierwsze ujrzy światło dzienne. Co się tyczy samej Muzykoterapii, na razie chcemy się skupić na promocji tego materiału, koncertach, ale o tym już rozmawialiśmy.

Wojtek: Powiem krótko. Idziemy przed siebie, cały czas.

Zdanie na koniec?

Dominik: Do pana, który nam ukradł komputer i zabrał kilka lat ciężkiej pracy...

Iza: ...albo pani, bo nie wiemy, kto to był...

Dominik: ...jak cię kiedyś spotkam, to cię zabiję! (śmiech)

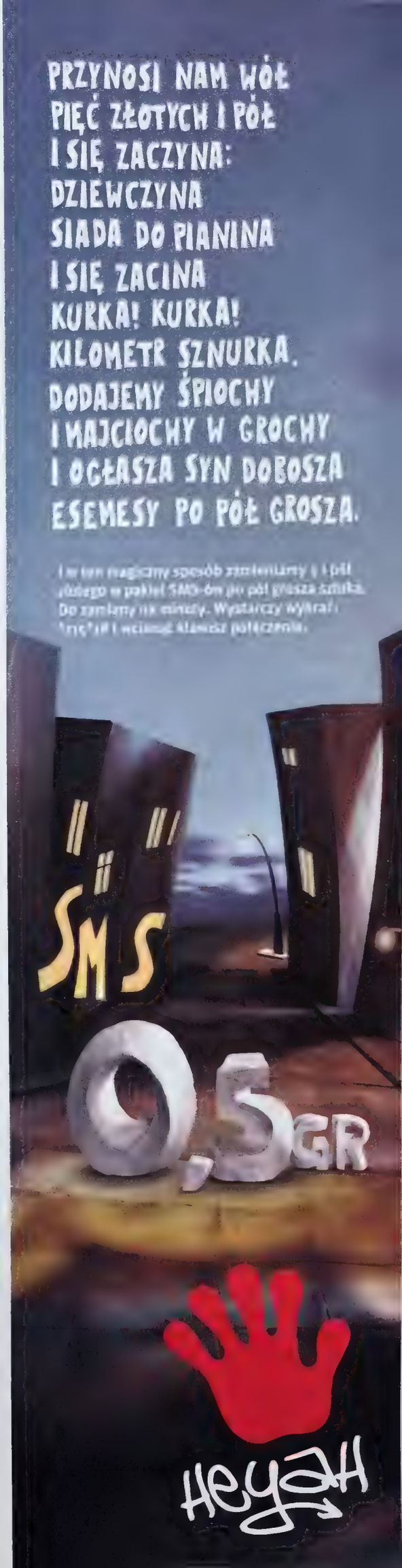

Ignite

motywacji nam nie brakuje

Melodyjny hardcore byłby uboższy, gdyby dwanaście lat temu kilku Kalifornijczyków nie powołało do życia Ignite. Ta zasłużona ekipa przypomina właśnie o sobie nowym albumem „Our Darkest Days". Jakby na przekór ponuremu tytułowi, nastroje wewnątrz zespołu są bardzo optymistyczne, o czym przekonałem się w trakcie rozmowy ze współzałożycielem Ignite, basistą Brettem Rasmussenem

rozmawiał Sebastian Rerak

Ignite cieszy się zupełnie uzasadnioną opinią bardzo konsekwentnego zespołu. Czy jednak po upływie tylu lat nie jest Wam trudniej o motywację? Czy pracując nad „Our Darkest Days" czuliście się równie podekscytowani, jak wtedy, gdy nagrywaliście swoje pierwsze albumy?

Tak, i to właśnie był najlepszy aspekt prac nad nową płytą. Przygotowania do jej nagrania trwały dosyć długo, zwłaszcza że w międzyczasie wzięliśmy wolne na jakieś dziewięć miesięcy i przez ten czas nie robiliśmy nic pod szyldem Ignite. Ta przerwa wyszła nam na dobre, bo wcześniej zajmowaliśmy się praktycznie tylko koncertowaniem, komponowaniem i nagrywaniem. Chwila odpoczynku nie tylko pozwoliła nam złapać drugi oddech, ale i uświadomić sobie, jakim sukcesem było zjednanie tak fantastycznych fanów z całego świata. Kiedy już wypoczęliśmy na tyle, by nabrać motywacji, zaczęliśmy szukać nowej wytwórni i pisać premierowy materiał. Do studia weszliśmy pod koniec ubiegłego roku i czuliśmy się wtedy bardzo podekscytowani już na samą myśl o stworzeniu nowego albumu dla naszych fanów. Oni naprawdę na to zasłużyli.

Jak teraz już na chłodno oceniasz „Our Darkest Days"?

Odbieram ten album jako kontynuację tego, co robiliśmy wcześniej. Jeśli porównać go z naszymi najwcześniejszymi nagraniami, można z pewnością zauważyć subtelne zmiany. Wprowadzaliśmy je już wcześniej, bo np. w niektórych piosenkach z poprzedniego albumu, „A Place Called Home", takich jak np. „Bullets Included, No Thought Required" staraliśmy się zagrać ciężej. Pomimo tych niuansów, charakterystyczny głos naszego wokalisty Zolego sprawia, że brzmienie Ignite jest zawsze rozpoznawalne. Przy realizacji „Our Darkest Days" pracowaliśmy z producentem, któremu bardzo zależało na stworzeniu świetnej płyty. Dzięki niemu mieliśmy okazję osiągnąć nowe brzmienie, jednocześnie pozostając przy starym stylu.

Zawsze pozostawaliście wierni melodyjnemu hardcore'owi, choć w momencie powstania Ignite na scenie dominowały grupy metalcore'owe. Podobny trend w muzyce HC panuje także i dziś. Jak odnajdujecie się pośród tych wszystkich metalowo brzmiących ekip?

Faktycznie, kiedy zaczynaliśmy, niewiele zespołów grało w podobnym stylu. Wtedy rządziły ekipy takie jak Earth Crisis, Strife czy Snapcase, wyraźnie inspirujące się metalem. Wszystkie zespoły, z którymi wtedy koncertowaliśmy, brzmiały znacznie ciężej od nas. Dzisiaj hardcore nawet bardziej skłania się ku metalowi i gotykowi. My nie odczuwamy jakichś wielkich zmian, oprócz tego, że scena jest znacznie większa. Taki Hatebreed jest ogromnym zespołem w USA – gra w wielkich halach i jeździ na trasy ze Slayerem, a pamiętam jak w 1996 roku otwierał nasze koncerty. Ignite był zawsze bliżej punk rocka i nawet dziś grywamy obok takich zespołów jak Pennywise czy Strung Out. Wróśliśmy także i w scenę punk.

A czy czujecie satysfakcję z samego faktu, że udało Wam się przetrwać tak długo bez oglądania się na kolejne trendy?

Tak, i myślę, że jest to w głównej mierze zasługa Zolego. Nie każdy zespół może pochwalić się tak świetnym frontmanem. Naszej muzyki zawsze słuchało wielu ludzi, którzy niekoniecznie gustują w hardcore, ale dzięki charyzmie i głosowi Zolego zainteresowali się muzyką Ignite. Wiele innych zespołów gra melodyjnie, ale ich wokaliści nie śpiewają czysto, tylko wrzeszczą. Nie wiem, czy to zapewni im taką długowieczność, jaką cieszymy się my.

To fakt, Zoli jest świetnym wokalistą. Przez jakiś czas śpiewał z legendarnymi Misfits. Czy to prawda, że zaproponowano mu nawet dołączenie do nich na stałe?

Chyba rzeczywiście tak było. Były jakieś rozmowy w tej sprawie, ale Misfits przechodzili wówczas ciężki czas po odejściu Michaela Gravesa. Nawet jeśli zaoferowaliby Zolemu pełny etat, to mam wątpliwości, czy rzeczywiście dołączyłby do nich. W tamtym czasie Misfits praktycznie rozpadli się na kawałki.

Kolejne pytanie nie jest już związane z muzyką, a dotyczy różnych organizacji społecznych i ekologicznych, które przez lata wspieraliście. Czy zauważasz, że wraz z rosnącą popularnością Ignite, udaje się Wam bardziej efektywnie je promować?

O, tak! Wspieraliśmy tego rodzaju organizacje niemal od zawsze. Teraz jesteśmy związani szczególnie z dwoma – Sea Shepherd i Doctors Without Borders. Udało nam się uświadomić o nich wielu ludzi, którzy przekazali im potem datki lub pracowali jako wolontariusze. Być może właśnie na koncercie Ignite lub z wkładki do naszej płyty po raz pierwszy dowiedzieli się o istnieniu takich organizacji. Dzieciaki często przychodzą do nas po koncertach i mówią, że zaangażowały się w ich działalność dzięki nam. To naprawdę świetnie!

Możecie się pochwalić także czymś zgoła innym – firmowymi tenisówkami Ignite wykonanymi przez Vans.

Te tenisówki zrobiono po naszym udziale w organizowanej przez Vans trasie Warped Tour w 2001 roku. Jesteśmy w dobrych stosunkach z ludźmi z firmy. To oni zapytali nas, czy chcemy dostać takie buty. Wątpię, by jakikolwiek zespół odmówił na naszym miejscu. Uważam nawet, że Vans odgrywa ważną rolę w animowaniu południowokalifornijskiej sceny hardcore / punk. Masz na myśli zapewne trasę Warped Tour. Ma ona jednak swoich krytyków, którzy zarzucają tej imprezie rzekomą komercjalizację i wszechobecność reklam.

Co sądzisz o takich opiniach?

Bez sponsoringu ta trasa pewnie nie doszłaby do skutku, a jak na ilość zespołów, które biorą w niej udział, bilety wstępu nie są drogie. Organizatorzy Warped Tour zawsze starają się pozyskać sensownych sponsorów, których punkowcy mogą docenić np. magazyny piszące o takiej muzyce. Wszystko więc pozostaje w rodzinie. Myślę też, że przy organizacji tak wielkiej trasy sponsoring jest po prostu niezbędny.

Patrząc na hardcore / punk z szerszej perspektywy, nie sądzisz, że jest w tym pewnego rodzaju ironia, że rządy Busha bardzo przysłużyły się scenie? Teraz, kiedy wielu ludzi w nią zaangażowanych ma znów o co walczyć, scena wydaje się wręcz kwitnąć.

Też to zauważyłem. Punkowe bandy mają teraz więcej motywacji i tematów do poruszenia w piosenkach. Przekonaliśmy się o tym podczas prac nad nowym albumem. Nagle okazało się, że mamy całe mnóstwo tematów, o których możemy pisać utwory. Uważam, że wiele punkowych zespołów wykonuje świetną robotę, angażując się w politykę, poruszając polityczne i społeczne zagadnienia. To świetnie, że zespoły takie jak NOFX czy Anti-Flag zajmują w tych sprawach bardzo konkretne stanowisko.

Interesujecie się także sytuacją w Środkowej i Wschodniej Europie. To dlatego, że Zoli jest Węgrem, czy po prostu staracie się śledzić wydarzenia na świecie?

Myślę, że jedno i drugie jest nie bez znaczenia. Zoli ma liczną rodzinę na Węgrzech, więc to naturalne, że interesuje go, co dzieje się w tamtym regionie. Generalnie jednak wszyscy obserwujemy wydarzenia na całym świecie i staramy się trzymać rękę na pulsie. Każdy powinien wiedzieć, co dzieje się dookoła.

Kilkakrotnie wystąpiliście w Polsce, więc pewnie i nasz kraj jest dla Was znajomym miejscem?

To prawda. Czujemy się bardzo szczęśliwi, ilekroć do was przyjeżdżamy. Pierwszy raz odwiedziliśmy Polskę w 1994 roku, na trasie ze Slapshot. Potem wpadaliśmy jeszcze wielokrotnie i zawsze ujmowała nas otwartość ludzi i wsparcie, jakie nam okazali. Już teraz cieszymy się na myśl o zbliżającej się trasie, ponieważ znów do Was wpadniemy i wystąpimy w Poznaniu.

Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak życzyć Wam świetnego koncertu.

Dzięki. Mam nadzieję, że będzie super. Kiedy minionego lata koncertowaliśmy w Europie, gromadziliśmy największą publikę, jaką kiedykolwiek mieliśmy. Już teraz jestem podekscytowany na myśl o kolejnej wizycie w Polsce i liczę, że przyjdzie sporo dzieciaków!

NIE HIP-HOPOWA PIGUŁKA
RHIAN BENSON

Nie wiem dlaczego znów tak wyszło, ale Benson jest kolejną wokalistką o bardzo egzotycznych, mieszanych korzeniach, którą wam przedstawiam. Mama z Walii, tata z Ghany (z grupy etnicznej Ashanti), córka urodzona w Akrze, a ona sama wychowująca się w Indiach i Wielkiej Brytanii. To właśnie Rhian.

Dyplomowana ekonometryczka po ukończeniu studiów w Londynie wyjechała do Stanów, gdzie rozpoczęła edukację na Harvardzie. Niestety, szybko musiała wrócić nad Tamizę po tym, jak dowiedziała się o chorobie matki, którą dopadł rak. Nie zaczęła jednak pracować w wyuczonej profesji poświęcając sto procent swojej energii muzyce. Za dnia pisała teksty i komponowała (Rhian gra na gitarze i klawiszach), a wieczorami występowała w londyńskich kafejkach. Właśnie podczas jednego z takich koncertów została zauważona przez włodarzy labelu DKG Music z Los Angeles, którzy z miejsca zaproponowali artystce umowę. Benson nie zmarnowała szansy.

Przeprowadziła się do słonecznej Kalifornii i w połowie 2002 r. rozpoczęła pracę nad debiutanckim materiałem. Sama napisała wszystkie teksty i współprodukowała materiał. Do pomocy dostała fantastycznych muzyków sesyjnych, takich jak Bob Power, James Poyser i plejadę wspaniałych instrumentalistów związanych z kolektywem Soulquarians. Efektem pracy był promowany singlem „Say How I Feel" (klip był długo na wysokiej rotacji BET i MTV Base) album „Gold Coast". Materiał ten jest kwintesencją jazzy soulu, odnajdziemy na nim zarówno zmysłowe, romantyczne przytulańce, jak i kilka numerów zdecydowanie przeznaczonych „pod nóżkę".

Piękna Rhian może nie dysponuje oszałamiającym głosem zapadającym jakoś ogromnie w pamięć, nie wyciąga niesamowitych wokaliz, ale zdecydowanie nadrabia to dbałością o warstwę liryczną i – przede wszystkim – muzyczną, która prezentuje się doskonale. Trudno się jednak dziwić. Nauki gry na pianinie zaczęła pobierać jako dziecko, a pierwszy utwór napisała mając dziewięć lat. To słychać, po prostu. Szkoda tylko, że po wydaniu tego krążka artystka niemal zupełnie wycofała się ze sceny muzycznej. Oby się odnalazła.

Andrzej Cała / „Machina"

NOWA TWARZ
SKOW

Nową twarz podzieliśmy tym razem na dwie połówki. Dwóch Warszawiaków znajdziecie w dalszej części Total Hałasu, teraz słowo o Skowie z Grudziądza. Co bardziej wnikliwi czytelnicy pamiętają go z WBW, ale na jego epce nie ma miejsca na improwizację – to przemyślany i precyzyjnie zaplanowany hardcore'owy materiał. Nim posłuchacie jak mc osacza media i składa raport z osiedla, polecamy lekturę wywiadu.

Jak nawijasz, „była okazja, propozycja padła". I chłopakowi z Grudziądza wokale realizował KNT, a płytę zmasterował Noon. Jak się czujesz z tą świadomością?

„Była okazja, propozycja padła" – no i stało się, przybiliśmy z KNT piątkę i wypiliśmy beczkę wódki podczas tworzenia „Nie dla ludzi spoza". Niejednokrotnie już o tym mówiłem i będę to powtarzał – KNT to wybitna osoba w kwestii realizacji wokali. Tam, gdzie nie liczy się wyłącznie sprzęt, a wpływ na nagrania ma również atmosfera, tam Krzysiek spełnia swoją rolę w stu procentach. Godziny pracy w piwnicach RRX-u zaowocowały solidnym projektem. Jeżeli chodzi o Studio S33, również jestem zadowolony.

Przełamujesz pewien schemat – rzadko trafia się ciekawy, dobrze zrealizowany hardcore'owy nielegal, tak samo jak mało hardcore'owych freestylerów wyróżnia się na WBW. Dlaczego tak jest?

Wydaje mi się, że twórcy w hardkorowej konwencji potrzebują kogoś, kto zajmie się ich talentem, kto będzie pilnował wszelkich spraw organizacyjnych, przynajmniej w początkowej fazie ich zmagań z muzyką. To, jaki styl życia ktoś prowadzi, ma ogromne odzwierciedlenie w tym, jaki nagra projekt. Jeżeli przemieszczasz się z melanżu na melanż nie zahaczając w międzyczasie o studio, to choćbyś miał największy talent, to i tak nic z tego nie będzie. I tak to właśnie jest. Jeżeli ciężko odwiedzić studio, bo za każdym razem jest nie po drodze, to gdzie mowa o wyjazdach na bitwy freestylowe?

Jeszcze trzeba dobrać beaty... Słuchając ich na Twojej epce, z miejsca można poczuć, że są różne. Ciężka porwana elektronika i gitara u Żółtego obok samplującego, płynącego bardziej Plooro, gdzieś pomiędzy nimi Sqra i Zdolny Dzieciak. Jak dotarłeś do producentów i pod jakim kątem dobierałeś podkłady?

Jeżeli chodzi o warstwę muzyczną, to takie było założenie. Każdy bit miał za zadanie przyciągnąć uwagę słuchacza, wprowadzić go w odpowiedni klimat, by uważnie przesłuchał tekst. W kawałku o mrocznym życiu koleżków z osiedla pojawia się ciężka elektronika, natomiast w utworze o wierze w siebie wyczujemy spokojny relaksujący klimat podkręcany docierającym w tle pianinem. Istota doboru bitów tkwi w koncepcji danego utworu i właśnie pod takim kątem były one dobierane. Teiwu nawiązało współpracę ze znanymi już z legalnych płyt producentami, którzy dołożyli do projektu odpowiednie dźwięki. Współpraca z nimi przebiegała bez zarzutów, pozdro dla chłopaków.

Spośród kawałków najbardziej w pamięć zapadło mi „Fałszywe ujęcie". Media rzeczywiście pasożytują nieco na ludziach, taka ich rola. A ty odpowiadając teraz na moje pytania czujesz się wykorzystywany?

Utwór powstał pod wpływem wziętej z życia inspiracji. Opisuje realia dotyczące polskich mediów uwydatniając zakłamanie i fałsz, który jest przez nie pokazywany.

Kawałek ten ma przypominać ludziom, że to co widzą bądź słyszą, nie zawsze jest prawdziwe i czasami trzeba zerwać kurtynę, za którą rozgrywa się właściwa sztuka. Wywiad w „Ślizgu" leżał w moim interesie, ponieważ ma na celu promocje EP. A tak poza tym, jest to kompletnie inna relacja człowiek-media niż ta opisana w „Fałszywym ujęciu".

Twój album ma mocny tytuł – „Nie dla ludzi spoza". Do kogo go więc adresujesz?

EP jest skierowane do odbiorców, którzy szukają ostrych wersów odkrywających przytłaczające, lecz jak najbardziej życiowe tematy. To projekt przeznaczony dla ludzi oczekujących od rapu szczerości i prawdy nawet wtedy, gdy jest ona brutalna i nawinięta pod sześć ciężkich bitów. To w dzisiejszych czasach niezrozumiała dla wielu ludzi kombinacja, ale takie było założenie. Nie każdy może znaleźć tam coś dla siebie, to nie masówka pod kolorowy klip.

pytał Flintunio

PRZECENIENI VS NIEDOCENIENI CZ. 5

NECRO

DAWAJ KASĘ I GIŃ!

Artysta, w tym wypadku raper, może w swej sztuce właściwie wszystko. Może kląć w tekstach z częstotliwością emerytowanego hydraulika, zatrudniać do teledysków zdziry spod najbrudniejszych latarnii, może nawet spraszać sobie na płyty „gwiazdy" filmów porno. I jestem w stanie to wszystko zaakceptować. Pod jednym wszak warunkiem: że chce dzięki temu osiągnąć coś więcej niż tylko szmal. A Necro chce tylko szmalu.

Na pierwszy rzut oka wszystko jest w porządku – „paying dues" w undergroundzie na początku lat 90., demo wyróżnione przez radiowe legendy Strech i Bobbito, wolne style w rozgłośniach radiowych, budowanie reputacji, własnego brzmienia, fanbase'u – przynajmniej taką wersję kariery Necro daje nam strona artysty. Ci, którzy sprawdzili bio w bardziej obiektywnych źródłach, wiedzą, że nie od rapu się zaczęło… Pod koniec lat 80. Necro razem z bratem Ill Billem pogrywali bowiem w death-metalowej kapeli, zdarzyło im się nawet zagrać support przed paroma ówczesnymi gwiazdami, jak choćby Biohazard. „Nagraliśmy kilka taśm demo, powysyłaliśmy do metalowych wytwórni w nadziei na kontrakt… Nie odpowiedzieli". No cóż, nie powiodło się z death-metalem, to Necro razem z braciszkiem przerzucili się na hip-hop, widząc dla siebie szansę. A co do freestyle'owania: „Freestyle są sztuczne, pozbawione sensu, w radiu rymowałem napisane wcześniej teksty. Nigdy tak naprawdę nie freestyle'owałem". Brawo! Tak to, moi kochani, buduje się reputację w nowojorskim undergroundzie – udawanymi stylami wolnymi. Ale to jeszcze nie wszystko, do nagrywania trzeba bowiem jeszcze mieć sprzęt producencki. A sprzęt kosztuje. A jak nie masz kasy? „Okradliśmy studio. Razem z moimi ludźmi. Udawaliśmy, że mamy nagrywać, wiedzieliśmy, że nocny strażnik to ciota. Jak miał przerwę, wynieśliśmy chyba z dziesięć maszyn." Na tak wyposażonego Necro kariera miała już tylko czekać.

Chcecie poznać przepis na sukces? Najważniejsza rzecz – bądźcie kontrowersyjni, szokujcie. Kontrowersja zawsze sprzedawała się doskonale, nalepka „Parental Advisory: Explicit Lyrics" i parę porządnych bluzgów działały kiedyś jak najlepsza reklama. Czasy się jednak zmieniły i dziś trzeba posunąć się dalej, dobrze więc na okładkę wrzucić zdjęcie heroinisty z kilkunastoletnim stażem, w teledysku przyda się trochę pornografii (najlepiej sado-maso vide: „White Slavery"). Przeklinać w tekstach? Owszem, sprawa nie jest jednak taka prosta. Nie wystarczy już wyświechtane „fuck", „bitch" i „motherfucker", bluzgów potrzebujecie cały wachlarz. Najlepiej dobierzcie jak najwięcej terminów opisujących narządy płciowe... Pamiętajcie jeszcze, by zawsze demonstrować swą ignorancję i megalomanię. Gdy na przykład spytają was, czy macie zamiar być „Białym Quincym Jonesem", odpowiedzcie koniecznie, że „Quincy nigdy nie osiągnął tego, co ja osiągnę, więc nie, nie będę". Dziennikarz sugeruje w wywiadzie, że wasze teksty są płytkie, bo dotyczą tylko seksu, śmierci i narkotyków? Ripostujcie, że nie jest zbyt mądry. A gdyby jednak kariera rapera wam nie wystarczyła albo przynosiła zbyt mały profit, jest jeszcze inna żyła złota – przemysł pornograficzny. Wejdźcie weń koniecznie.

Tak właśnie wygląda kariera Necro – oparta na skandalizowaniu, okrucieństwie, seksie, tym, co najlepiej sprzedajne. A co z rapem? „Jeśli posłuchasz moich rymów, usłyszysz, jak zmieniam flow w każdej linijce. Żaden wers się nie powtarza w moich tekstach, jak to jest u niektórych raperów. Nie piszę według schematu. Mój schemat, jeśli jest jakikolwiek, to taki, by być nieprzewidywalnym." Faktycznie, zawsze trudno przewidzieć, o czym będzie rymował Necro. Raz będzie to seks (dodatkowe zaskoczenie: nie zgadniesz czy będzie oralny, czy może analny), innym razem narkotyki (choć rzadziej, Necro od ośmiu lat jest czysty; wcześniej ćpał tyle, że będzie „na haju do końca życia"), ewentualnie śmierć i przemoc (w zróżnicowanej formie). Ale nigdy nie spodziewasz się nawet, co to będzie. Zmienia się. O tak, w tym Necro jest po prostu świetny. Umysł się nie zlewają, w odbiorze bardzo pomaga sepleniący rapera. Posłuchajcie sobie starych nagrywek z trzech części „Early Demos & Freestyles" i porównajcie z gadką z ubiegłorocznej „The Sexorcist". Rozumie się chłopak nie do poznania, nie? Wersy, które się powtarzają? Zostawiam bez komentarza, rozkminiacie sami. Przy okazji powiększycie sobie zasób słownictwa angielskiego o nazwy narzędzi zbrodni, tortur i organów wewnętrznych…

Nie śmiem oczywiście kwestionować kunsztu producenckiego anty-bohatera artykułu. (Necro nie przepada za krytyką pismaków, muszę zatem mieć coś na swą obronę, gdy mój mózg będzie spływał po chodniku, a Necro będzie mi pić żółć z trzustki). To mocne brzmienie zbudowane na zasadach klasycznej szkoły hip-hopowej produkcji: dużo tu brudnych breaków, sampli z jazzu, fragmentów filmów, dramatycznych smyków i pianin, w co lepszych fragmentach mamy klimat lekko jak z pierwszego Wu-Tangu. Podkłady ładnie płyną, bębny złożone bez większych eksperymentów, od razu słychać, że producenta wychował Nowy Jork. Muzyczne początki też nie zostały zapomniane. „Pre-Fix For Death" to w jednej trzeciej płyta metalowa, z gościnnym udziałem członków Obituary i Slipknota. Ostre gitary słychać też w pojedynczych trackach. Z drugiej strony mamy jednak sporawy przerób, plan wydania 10 płyt w ciągu 6 miesięcy nie do końca się udał, ale nawet sześć płyt to o wiele za dużo jak na tak krótki okres. Fakt, że w 2004 roku Necro trzymał poziom bitów zarówno na swej solówce, jak i płytach członków Non Phixion, dla wielu świadczy o jego talencie. Dla mnie świadczy również o kunktatorstwie i rozmieniu owego talentu na drobne. Sprawa jest bowiem prosta: jeśli ktoś potrafi wyprodukować sto dobrych podkładów, to powinien je przebrać i wybrać dwadzieścia rewelacyjnych, tak by urwało nam głowy. Jasne? Ilość z jakością mają tendencję do tworzenia proporcjonalności odwrotnej, dużo na to przykładów.

Nie zapomnijmy o kompanach Necro. Albo lepiej zapomnijmy. Spośród całej zgrai, właściwie tylko Ill Bill godny jest uwagi – starszy brat Necro członek Non Phixion, z ciekawszą od brata tematyką tekstów, potrafiący nieraz błysnąć ciekawym pomysłem na kawałek („Peace Sells" to na pozór normalny utwór polityczny, w rzeczywistości tekst złożony jest z nazw metalowych zespołów, tytułów płyt i piosenek). A reszta? Mr. Hyde ma głos, jakby mu gardło potraktowali papierem ściernym, w dodatku świetnie wam zademonstruje różnicę między skandowaniem a flow. Goretex nie jest na tym polu lepszy – monotonny, nudny raper, którego najlepszy kawałek to wyzywanie amerykańskich gwiazd showbizu („Celebrity Roast"). Sabac Red wśród nich wypada już nieźle, potrafi zaskoczyć nagłą zmianą tempa, przywiązuje uwagę do przekazu w tekstach. Słychać, że ma coś do powiedzenia. Cóż jednak z tego, skoro Immortal Technique rozwalił mu płytę jednym featuringiem? Jest jeszcze niejaki Uncle Howie, wspomniany heroinista z teledysku i okładki do „I Need Drugs". Ponoć od dwóch lat czysty. Na szczęście nie rapuje.

Niemal każdy wywiad Necro kończy sugestywną zachętą do odwiedzenia jego strony internetowej i wydania całej swej kasy na swoje płyty, filmy, koszulki i plakaty. Ja jednak mam na koniec inny cytat: „Moim najważniejszym celem jest objęcie kontroli nad Ziemią i uczynienie z niej miejsca wszelkiej demoralizacji, a równocześnie przyjemnego miejsca dla wszystkich świrów, byśmy mogli się zjednoczyć, zagarnąć wszystkie światy i galaktyki na Drodze Mlecznej oraz zabić wszystkich, którzy są przeciwko nam". Naprawdę chcecie słuchać kogoś, kto wygaduje takie brednie?!?

hader

BITWA O ANGLIĘ VOL. 11

SO SOLID

Czy mieliście kiedyś dosyć rodziny? Rodzinnych świąt, podczas których wszyscy się kłócą? Urodzin, na które zjeżdżają się wąsate ciocie i robią wam „puci-puci", mimo że już dawno skończyliście 2 latka? Wakacji u babci, podczas których okazuje się, że najlepszą rozrywką jest zabieranie na spacer waszego 3-miesięcznego kuzyna ciotecznego? Pomyślcie jednak, że w waszej rodzinie jest kilku byłych złodziei, kolesi oskarżonych o morderstwo, handlarze narkotyków i ulubieńcy osiedlowego komisariatu policji. I wyobraźcie sobie, że wszyscy oni mieszkają tuż obok. I wszyscy zostali cudownie uzdrowieni dzięki zbawiennej mocy hip-hopu. I co? Wymieniacie się? Zanim podejmiecie ostateczną decyzję, posłuchajcie krótkiej historii licznej, bo około trzydziestoosobowej grupy So Solid.

Wszystko zaczęło się dawno, dawno temu, w latach 80., na jednym z osiedli południowego Londynu, Badrick. W dwudziestokilkupiętrowym bloku dorastało tam dwóch czarnoskórych braci znanych jako Megaman i Swiss oraz ich kuzyn Kaish. Zawsze trzymali się razem, wspólnie chodzili do pobliskiej podstawówki, razem uciekali z lekcji, razem musieli także uczestniczyć w mszach w kościele metodystów. To tam zaczęli śpiewać, tam też nauczyli się dyscypliny. Podobno to właśnie metodyści przekazali im całą prawdę o sprzątaniu, gotowaniu i utrzymaniu domu (dacie wiarę?). Z czasem do trójki dołączył G-man, który większość dzieciństwa spędził na Jamajce i być może stąd wzięło się u niego przeświadczenie, że zamiast chodzić do szkoły, lepiej zajmować się zarabianiem hajsu na sprzedaży marihuany. Bez względu na przyczyny, skutek był jeden. Jako pierwszy z przyszłego kolektywu So Solid został skazany na rok więzienia. Niedługo potem do aresztu trafili Megaman i Face oskarżeni o zastrzelenie mężczyzny. Oczywiście okazało się, że obaj są niewinni, jednak czas spędzony za kratkami dał im dużo do myślenia i postanowili zmienić swoje życie. Porzucić podejrzane zajęcia i realizować się muzycznie. Kiedy zaczęli nagrywać, średnia wieku w zespole wynosiła mniej więcej 18 lat. Nabyte poprzez ćwiczenia umiejętności mogli latwo zaprezentować na antenie pirackiego radia Delight FM, gdzie niemal cała niedziela należała do kolektywu So Solid. DJ'e grali 2-stepy, dub-stepy i garage, a poszczególni MC's wchodzili na wolne style. Tak kształtował się styl zespołu. Dynamiczne, bardzo połamane, elektroniczne podkłady, a na nich łączenie rapu z toastingiem i śpiewaniem. Kiedy powstawał pierwszy oficjalny singiel „Oh no", chłopaki postanowili wciągnąć do kolektywu jakąś śpiewającą dziewczynę. Traf chciał, że ich dobra przyjaciółka Lisa Mafia doskonale nadawała się do tej roli. Poza jednym małym szczegółem – była potwornie nieśmiała. Jednak godziny prób i tłok na scenie podczas występów w klubach zdecydowanie ośmieliły pierwszą damę, a zarazem pierwszą osobę spoza osiedla, która znalazła się w zespole (Lisa jest z Brixton, nazywanego także czarną duszą Wielkiej Brytanii i nieoficjalną stolicą społeczności jamajskiej w Londynie).

Od momentu, w którym So Solid przebiło się na oficjalną scenę muzyczną, prasa uwielbiała tworzyć wokół nich mroczną atmosferę gangsterów z biednych przedmieść stolicy. Porównywano ich do przeróżnych zespołów – od Wu-Tangu (co jeszcze można było zrozumieć), poprzez Junior Mafię (no, od biedy), a na Sex Pistols kończąc. Napięcie podsycały różne incydenty, jak strzelanina podczas koncertu promującego pierwszy album. Mimo że ofiara zginęła z rąk jednego z imprezowiczów, konsekwencje musiał ponieść zespół – zakazano mu występów w całym kraju. Wygrzebywanie kolejnych faktów z niechlubnej przeszłości także budowało groźny wizerunek grupy. Samo So Solid w swoich tekstach nie stroniło od agresywnych opisów. Megaman przyznaje, że mówi o przemocy i o broni, bo „w takie środowisko wtłoczył go system, a jak chcecie, żeby gadał o ładnych samochodach i fajnych panienkach w ekstra domach, to zabierzcie go tam".

Tymczasem, kiedy przyjrzeć się bliżej działalności londyńskiego crew, okazuje się ono dobrze zgraną grupą dzieciaków, które znalazły swój sposób na to, by nie skończyć jak tysiące podobnych im nastolatków mieszkających w najbiedniejszych dzielnicach miasta. Zamiast zostać handlarzami crackiem i chodzić z pistoletem do sklepów, żeby coś sobie „pożyczyć", potrafili zdobyć popularność i kontrakt wytwórni, która pomogła im sfinansować niesamowite teledyski. I o ile pierwszy z ich klipów – do wspomnianego „Oh no" – jeszcze nie zaskakuje niczym szczególnym (swoją drogą, został nakręcony w owym gigantycznym bloku w Badrick), to każdy kolejny jest coraz bardziej. „21 seconds" pozwoliło poszczególnym członkom grupy nie tylko zmieścić w dosyć krótkim czasie wszystko to, co chcieliby powiedzieć od siebie nowopoznanym ludziom, ale także zaprezentować dosyć kontrowersyjny image. Skórzane płaszcze, obcisłe czarne spodnie, gołe klaty – tego jeszcze nie było na scenie brit-hopowej... Natomiast „They don't know", trzeci singiel pochodzący z debiutanckiego krążka pod tym samym tytułem (wydanego w 2001 roku), pełen jest pościgów za wielką ciężarówką, latających rakiet, wybuchów i innych efektów specjalnych. Z kolei pierwszy klip do ich drugiej (no, chyba, że liczymy też „Fuck It" – album z remiksami) płyty długogrającej „2nd Verse" – „Ride wit us" – jest po prostu jednym wielkim efektem specjalnym.

Wszyscy artyści związani z So Solid podkreślają, że drastyczne historie z ich utworów służą głównie po to, by zwrócić uwagę przeciętnych Brytyjczyków, że Anglia to nie tylko przygody misia Paddingtona i „Coronation Street" (to ich najdłuższa mydlana opera), ale także masa bezrobotnych młodych ludzi, którym nikt nie ułatwia życia. Dzięki kilku sprytnym ruchom zespół jest w stanie obejść problemy związane z promocją swoich kolejnych nagrań w brytyjskich klubach. Od kilku lat grają imprezy w... szkołach. Podobno dyrektorzy są zachwyceni, dzieciaki piszczą i krzyczą, a niektórzy członkowie grupy mogą po raz pierwszy poczuć, co to znaczy spędzić cały dzień w gimnazjum.

Chociaż ich najświeższy singiel to wydany w 2004 roku „So grimey" z drugiej płyty, a niektórzy, jak choćby Lisa Mafia, postanowili zdziałać coś solowo, So Solid ciągle żyje. Wydaje się, że nie tylko dzięki licznej załodze zapisze się na stałe w historii grime'u. Mają w garści dwa atuty – jak na rok, w którym zaistnieli (y2k), brzmieli bardzo świeżo, a po drugie, jako pierwsi reprezentanci sceny garage osiągnęli szczyt rodzimej listy przebojów (dzięki wspomnianym „21 sekundom"). Bez wątpienia wpłynęli też na brzmienie nowej fali brytyjskiego rapu i, niestety, dołożyli swoją cegiełkę do stworzonego przez wyspiarską prasę stereotypu czarnoskórego rapera terrorysty z przedmieść...

Cess (Czyste Słowa)

NIELEGALE

SKOW
NIE DLA LUDZI SPOZA
TIWLABEL@WP.PL

Prawda i szczerość się liczą, ale tylko gdy dodasz dużo uporu, pracy i konsekwencji, a potem wszystko sobie dobrze przemyślisz. Skow ma teksty proste, precyzyjne, za to na temat, podane mocnym, czystym wokalem. Niespokojne, nerwowe, pozornie chaotyczne beaty są starannie wybrane i mimo że robiono je na różne sposoby (wśród beatmakerów dominuje Żółty, ale pojawiają się też Zdolny Dzieciak, Piooro i Sqra), tworzą spójny klimat, choć u Pioora (przyjemne, White House'owe brzmienie) i Żółtego słychać więcej doświadczenia przy realizacji. Nie dajcie się zwieść nazwie – „Nie dla ludzi spoza" nie jest bynajmniej materiałem jedynie dla hardcore'owców. Udana epka mc z Grudziądza.

PROMAGIEL
RAPEXPOL S.A.
311.PL

Na wstępie – przyzwoita płyta ze Śląska. Stona ma swój pomysł na beaty, a jeśli ma też perkusję, która chodzi tak jak w „Widzi misie",raperzy mogliby nawijać cokolwiek. Ale nie nawijają czegokolwiek, treść dominuje nad formą, mamy tu sporo ambitnie wybranych tematów (np. ciekawe „Statystycznie"). A teraz się podopieprzamy. Kapa i Waldi dają trochę oryginalnych, dobrych wersów, ale dopychają je niestety truizmami i naciąganymi porównaniami, jakby brak było im umiejętności do rozpracowania tematu. Deficytowym towarem jest też plastyczność, wyrazistość, lekkość i humor. Przy podobnej konwencji narracji lepiej wypada Syndrom Amotywacyjny czy PHFNG (do którego PROMagiel brzmi czasem bardzo podobnie). Stona powinien za to pójść bardziej w kierunku mocnych, bujających kompozycji, bo smęty i dziwactwa pokroju sztywnych breakbatów na bazie „Żółtych kalendarzy", nie wychodzą mu najlepiej. Dużo treningu potrzebują też obaj DJ'e.

(Czyste Słowa)

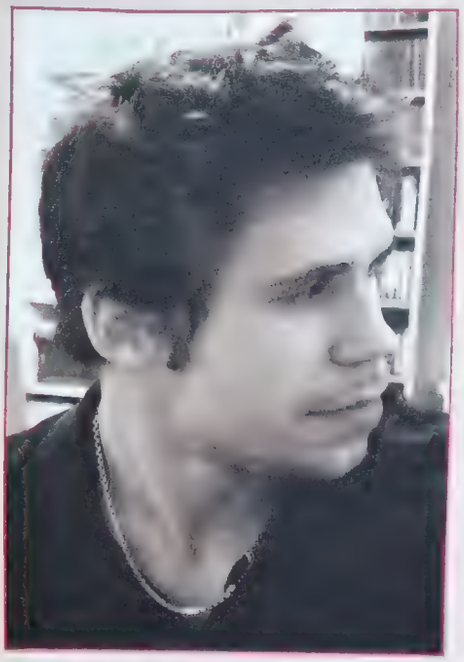

PRODUKCJA VOL. 10
ŚWIĘTY – ŚWIĘTY MIKOŁAJ

Nie sprawia mu problemu nagrywanie z przedstawicielami hardkorowej sceny (Fu, Jeżozwierz, Dixon 37), jak i cieplejszych, bliższych „jasnej" stronie klimatów (Dizkret, 2cztery7 i Flexxip w różnych kombinacjach osobowych). Rezydent Tu Wolno Palić Studio, mega pozytywny człowiek i autor płyty producenckiej „Tu Wolno Palić", która niebawem trafi na rynek – uwaga – tylko w winylowej edycji, z takimi gośćmi jak Pjus, Mes, Numer Raz, Emazet. Więcej info – www.tuwolnopalic.com.

Najchętniej słucham: Hip-hopu w większości, około hip-hopowym klimatem też nie pogardzę. Kocham funk, wszystko co jest „miękkie" i – że tak powiem nieładnie – „zjarane". Ale nie ograniczam się specjalnie. Lubię to, co ma „ręce i nogi" i słychać, że twórca wiedział, czego chce.

Mój styl w jednym zdaniu: „Wlewa" się do uszu. Takie jest moje założenie przynajmniej.

Najchętniej samplуję: Funk, czasami jazz lat 70.

Beaty oparte na pętlach to dla mnie: Bardzo spoko opcja, czasami oczywiście. Esencja hip-hopu.

Beaty, z których jestem najbardziej dumny: Sprawdźcie winyl i może „Wyżej" na solówce Mesa.

„Żywe instrumenty" w hip-hopie to: Genialna sprawa! Wiążę z tym swoją przyszłość, hehe.

„Elektronika" w hip-hopie to: Fajny dodatek. Chociaż bardzo lubię west coast na przykład, ale rzadko kiedy robię syntetyki.

Najważniejszy element dobrego beatu to: Pomysł. Może coś tam być kulawe, np. perkusja, albo lekko fałszować bas. Ale jeżeli jest dobry pomysł i wszystko się trzyma kupy, to może nawet brzmieć z dupy, ale ma jakąś wartość. Bo co, kurde? Dobrą perkę może zrobić producent, który się zajarał DJ'em Premierem i robi taką samą od dwóch lat. I co, wtedy to jest dobra rzecz?

Współpracuję tylko z ludźmi z Warszawy, bo: Tak się ułożyło... Niedługo zacznie się coś dziać, mam nadzieję.

Moi trzej ukochani producenci to: Pete Rock, DJ Spinna, DJ Quik.

Moi trzej znienawidzeni producenci to: Sporo takich, nie warto wymieniać. Wtórność mnie irytuje bardzo. Ile można zrobić bitów na tym samym patencie i po co?

Mój styl na tle innych polskich producentów wyróżnia się: Tym, że jest mój, jeżeli można powiedzieć, że w ogóle jakiś mam... Ciężka sprawa z tym stylem. To się wyrabia przez długie lata, robiąc jakieś popierdółki przy okazji, szukając właściwego miejsca w muzyce.

Hip-hop instrumentalny jest dla mnie: Miłą odskocznią, chociaż nie jestem mega fanem. Ale to przyjdzie z czasem, myślę. Podobnie jak to, że nie mogę się skupić na jazzie na przykład. Myślę, że do wielu rzeczy trzeba dorosnąć. Każdy ma swój czas...

Najbardziej chciałbym współpracować z: Ciężko odpowiedzieć. Chciałbym wziąć lekcję od jakiegoś mistrza typu Amp Fiddler, pogadać, dowiedzieć się czegoś nowego, później spotkać się z kimś innym o zupełnie innej „wygrzewce" i skonfrontować nabyte wiadomości, wykorzystać to, co mi odpowiada. Każdy z tych wielkich ludzi ma swój niepowtarzalny styl, dlatego stronię od wykorzystywania identycznych patentów, bo słuchając później swoich rzeczy mam wrażenie, że to nie ja zrobiłem, nie czuję tego... Tak czy siak, jestem wdzięczny wszystkim tym, od których dowiedziałem się czegokolwiek. Nawet najmniejsza pomoc procentuje.

Zwlekałem tak długo z wydaniem albumu, ponieważ: Taki lajf, hehe.

Wolę wydać płytę w znikomym nakładzie na winylu, zamiast puścić ją do sieci dlatego, że: Włożyłem w to dużo pracy i myślę, że efekt nie jest najgorszy. No i chciałbym kupić sobie w końcu MPC, hehe.

Masterowanie płyty z DJ'em Zero nauczyło mnie: Dbania o szczegóły. Wcześniej luźniej do tego podchodziłem, co teraz uważam za duży błąd. I w ogóle chciałem z tego miejsca mu bardzo podziękować.

Złote lata nowojorskiego rapu kojarzą mi się z: Do niedawna uważałem, że to najlepsza muzyka w ogóle. Teraz to się mocno zmieniło, chociaż i tak moim zdaniem to najlepsze lata dla hip-hopu.

O brzmieniu amerykańskiego mainstreamu mogę powiedzieć, że: Hmm, co ja mogę powiedzieć? Trochę papka medialna, wiadomo. Cieszę się, że są tacy ludzie jak Neptunes, którzy wciąż robią coś nowego, nie są wtórni jak reszta i czeka się na ich nowe produkcje. Reszta to kwestia sporna. Nic odkrywczego, hit za hitem po prostu.

O brzmieniu hh z Kalifornii mogę powiedzieć, że: Jest ok, ale bez rewelki. Nie ma tam obecnie jednej ekipy, która by mnie powalała na kolana.

Mając beaty Dr. Dre i Scotta Storcha wybieram: Nie no, Dre zdecydowanie. Chociaż ostatnio nie zaskakuje, ale respekcik za całokształt pracy. Scott natomiast zaskakuje, ale nie tak jak powinien.

Mając beaty Lil' Jona i Jazze Pha wybieram: Żadnego z nich nie wybieram.

Mając beaty Soopafly i Daza Dillingera wybieram: Daz jest mistrzem bez dwóch zdań! Bardzo sobie cenię jego twórczość, a Soopafly to taki giermek jak dla mnie.

Najśmieszniejszy podkład, jaki kiedykolwiek usłyszałem to: Remiks kawałka Pharoahe Monche „Simon Says". Znam ten kawałek od lat, jest mistrzem, a tu taki bicik, że się posikałem prawie, haha.

Nigdy nie zrobiłbym beatu dla: Coolia, Funky Fresha, Krzysztofa Krawczyka i Dody.

Przepytał w drodze wyjątku Calak / „Machina"

NAPISZ TO SAM
JUST BLAZE

Justin „Just Blaze" Smith pochodzi z Peterson w New Jersey. Obecnie jest to jeden z największych pewniaków w świecie beatmakingu, członek rodziny ROC, gdzie razem z Kanye Westem stanowią producencki trzon ekipy. O Kanye napisano już chyba wszystko, zresztą stoi on w tej chwili na piedestale muzyki rozrywkowej, wydał dwie solowe płyty, na których zgromadził całą śmietankę rapowego świata i sam zrobił na nich bity. Prawie sam, bo od każdej reguły są wyjątki. Jeden, jedyny beat na albumie „Late Registration" pochodzi od ziomka Westa z Roc-a-Fella, czyli właśnie Just Blaze'a aka Mr. „Oh Boy" (od hitu Cam'rona). „Touch The Sky", bo o tym majstersztyku mowa, przez wielu został okrzyknięty najlepszym instrumentalem na „LR". Oczywiście jest to kwestia gustu, ale fakt faktem, że Blaze narobił słuchaczom smaku na swój album producencki, o którym słychać było już kilka razy przy różnych okazjach.

Pod koniec 2005 roku w Internecie pojawiła się wiadomość, która zelektryzowała całe podziemie USA. Otóż, Blaze ruszył w miasto, aby znaleźć jakiegoś młodego kota, któremu w 100% wyprodukuje płytę. W tym celu założył swój własny label Fort Knox Entertainment pod skrzydłami Atlantic Records. Warto wspomnieć, że jednym z inżynierów dźwięku u Justina jest jego rodzony brat Daren, czyli DJ Poun, rezydent z klubu 40/40 w Atlantic City. Blaze tymczasem znalazł tego, kogo szukał. Jego podopiecznym został Saigon – nowojorczyk, który miał mocne wejście na scenę jakieś pięć lat temu za sprawą bangera „Say Yes". Polscy słuchacze powinni kojarzyć ten numer z „Turbulencji" DJ'a Twistera. Utwór znalazł się na przyzwoitym skądinąd albumie „Warning Shots" rapera i być może przyczynił się do tego, co stało się później (czytaj wyżej).

Album „The Greatest Story Ever Told" zapowiadany jest na 2006 rok, dokładnej daty premiery jednak nie podano. Fani mimo to zacierają ręce. To w końcu Just Blaze. Wielka nadzieja ulic Nowego Yorku. Autor takich wymiataczy jak „Girls, Girls, Girls" Jaya-Z, „Oh Boy" Cam'rona, „Yeah, Yeah, You Know It" Keitha Murraya czy podkładów dla EA Games. Just Blaze to jednak nie tylko producent gwiazd mainsteamu. Usłyszeć go możemy na płytach Mos Defa, Kweliego czy nieznanego u nas prawie wcale Rhymefesta. Blaze ma szacunek także dla starej szkoły – „Ch-Check It Out Remix" Beastie Boysów w jego wykonaniu to chyba najfajniejsza z „przeróbek" ostatnich lat, zaś w magazynie „The Source" jako płytę wszechczasów Blaze wybrał „The Low End Theory" A Tribe Called Quest. Za to go lubię. Chłopak ma bardzo zdrowe podejście do muzyki i wie, co w trawie piszczy. W jednym z wywiadów opowiadał o tym, że produkcja muzyki rap to ciągłe szukanie. Mówił, że aby znaleźć, trzeba sięgać głęboko do korzeni. Przytacza także ciekawą anegdotę, jak na jakiejś podziemnej imprezie spotkał Peanut Butter Wolfa. Podszedł do niego i zagadnął coś w ten deseń: „Słuchałem twojego ostatniego albumu i nie wiem, czemu zmieniłeś brzmienie wokalu w kawałku z MF Doomem. Słyszałem to wcześniej na bootlegu i tam brzmiało to lepiej (...)". Bez kitu, Wolf był podobno w ciężkim szoku.

Pamiętam, jak mój funfel spytał: „Kurwa, słyszałeś o jakimś Just..., nie pamiętam..., Blade? Masz coś jego?" Tak właśnie wygląda sprawa tego kolesia w Polsce, a także – jak sam mówi – w USA. Jego kawałki lecą w audycjach hip-hopowych w radio, hity mają rotację w muzycznych telewizjach, rozpalają parkiety w klubach i na domówkach, dudnią z wooferów w samochodach, lecą z okien na podwórkach, małolaty łykają te hity na nieświadomce, a niunie krecą piruety tyłkami do tych wszystkich „bangers", „ghetto anthems", „hits" – zwał jak zwał, a to dzieciaku zawsze skromny Just Blaze!

Michał Nowacki

SA-RA CREATIVE PARTNERS
IDEALNE POŁĄCZENIE

W dzisiejszej muzyce dużo jest zespołów, które starają się być na siłę oryginalne i przez to ich twórczość traktowana jest bardziej jako ciekawostka niż coś zjawiskowego. Zupełnie inaczej jest z kolektywem Sa-Ra Creative Partners założonym przez Taza Arnolda, Shafiqa Husayna i Om'Mas Keitha

Panowie utworzyli grupę w 2000 roku, ale Taz i Shafiq poznali się już kilkanaście lat wcześniej. „Taz i ja poznaliśmy się w 1989 roku w Kalifornii. To zabawne, bo w tamtym czasie działaliśmy w zupełnie innych grupach" – mówi Shafiq. Muzyka towarzyszyła im od dzieciństwa. Taz miał ojca, który posiadał dużą kolekcję płyt winylowych. „Zacząłem rapować i usłyszałem wszystkie swoje najlepsze bity na tych winylach. Pomyślałem, że mam tyle niesamowitych płyt, więc muszę zacząć robić podkłady." Do tego mieszkał dwie przecznice od Ice Cube'a. Z kolei Om'Mas pochodzi z tradycyjnej muzycznej rodziny. Jego prapradziadek pisał muzykę dla Duke'a Ellingtona i Ma Rainy.

Om'Mas już w wieku szesnastu lat pracował z największymi postaciami muzycznego biznesu. Zauważył go Jam Master Jay i w ten sposób Husayn asystował przy nagrywaniu kawałków takich artystów jak Lauryn Hill, Onyx czy chociażby nie znany jeszcze wtedy 50 Cent. Taz współpracował z Dr. Dre przy jego klasycznym „2001", a Om'Mas produkował bity między innymi dla Ice'a-T i Lorda Finesse. Kiedy panowie się poznali, prace nad wspólnymi kawałkami ruszyły pełną parą. Na samym początku remiksowali piosenki różnych artystów i to właśnie dzięki temu zrobiło się o nich głośno. Na dalsze produkcje nie trzeba było długo czekać.

Jedną z nich jest niesamowite „So Cool" z gościnnym udziałem Commona. Do tego trio ma na koncie współpracę z Jurassic 5 przy okazji „Power In Numbers". Jednak Sa-Ra nie ograniczają się tylko i wyłącznie do produkcji podkładów dla artystów hip-hopowych. Mogą się poszczycić także współpracą z Jill Scott, Bilalem czy chociażby legendarnym wokalistą jazzowym Dwightem Tribble'em. W kolejce czekają kolejne produkcje ich autorstwa, tym razem dla Jenifer Lopez, Eryki Badu i Killer Mike'a. Trochę się tego nazbierało, dziwi więc to, że Sa-Ra nie mają na koncie żadnej pełnowymiarowej płyty. Co prawda, wydali kilka świetnie przyjętych singli, nagranych między innymi dla Ubiquity Records, ale na autorski debiut przyjdzie nam jeszcze poczekać. Swój sound określili jako „afro-magnetic-electronic-spiritualism". Cóż, trudno to przetłumaczyć na polski, ale najprościej rzecz ujmując, to połączenie kosmicznego funku w stylu Parliament z soulem, jazzem, elektroniką i hip-hopem. Musicie bowiem wiedzieć, że w autorskich kawałkach Sa-Ra w idealny sposób łączą wszystkie te gatunki.

W oczekiwaniu na album, który ukaże się nakładem GOOD Music Kanye Westa, sprawdźcie wydaną w 2005 roku epkę „Second Time Around". Znajdują się na niej kolaboracje z takimi tuzami jak J Dilla czy Pharoahe Monch, tak więc jest czego posłuchać. Warto też poszukać oficjalnego mixtape'u „Sa-Ra Presents... Dark Matter And Pornography Mixtape vol. 30", na którym znajdują się zarówno najlepsze kawałki tria jak i te, na które trudno trafić.

Bartek 'dill-o' Skolasiński

LICZ BICZ!
30-39

30 Z czym kojarzy się „brudna trzydziestka"? Z fanką zespołu Papa Dance. Ale przede wszystkim z „Da dirty 30", kozacką płytą CRU, najmocniejszym debiutem w 1997 r. Do ekipy z Bronxu z wizytą wpadli Slick Rick, Ras Kass, panowie z LOX i Black Rob. Ten ostatni z wersem zaskakującym nawet 9 lat później: „Niggas watch me close like Muslims in the World Trade Center". Whoa!

31 Na tyle lat pudła skazano rapera X-Raided za wtargnięcie do domu bezbronnej, niczemu ponoć niewinnej kobiety i zamordowanie jej. Nagrany przez niego album „Psycho Active" był dowodem w sprawie. Wokale na kolejny krążek nagrał przez telefon. Black Market, wydawca obu pozycji, wypuścił również krążek Big Lurcha. Ów typek z Teksasu został znaleziony, kiedy gapił się w niebo – nagi, cały we krwi i z fragmentem płuca współlokatorki (matki dwójki dzieci) w żołądku. Otumaniony PCP (narkotykiem, nie płytą) chłopina zgłodniał widać w trakcie patroszenia. Na deser dostał dożywocie. Prawdziwy hardcore nie dla lamusów, co?

32 przykłady tego, do czego porównuje się panienki w polskim hip-hopie: szprychy, sztugi, cygara, proch, brązowy cukier, butelka, Bonaqua, wino, Coldrex, mięso, grzechotka, dżinsy, szmata, królowa matka, gimbus, opona zapasowa, atomówka, kibic Legii, ZOMO, kort, plaża w Lloret, hip-hop, a nawet obiekt militarny, na który wkrótce zrzucony zostanie napalm. Szczególnie popularne są zwierzątka (nie wnikajmy dlaczego): świnka, foczka, kurka, rybka, myszka, żabka, kotka, misiaczek. I jeszcze jeżyk. Z pęknięciuniem.

33 Za 33 pln (no dobra, za 32,99, ale to nie katalog Tesco) można kupić na Allegro „Pozycje obowiązkowe vol. 3 – Grammatik". Tyle samo, i również w opcji „kup teraz", kosztuje lateksowy wibrator z gwarancją orgazmu. Zastanówcie się, dobre pozycje to nie wszystko.

34 W wieku 34 lat zginął zapaśnik Bobby Duncum Jr, członek formacji West Texas Rednecks. Stoczyła ona wiele walk, a w dodatku nagrała przebój „I hate rap". Fragmenty dzieła: „I like country music / I love country girls / I like Willie Nelson / And don't forget about Merele / There's only one thing that I hate / Cause it's a bunch of crap / I hate rap". Grupa popadła w konflikt z Masterem P, ale to nie on sprzątnął Bobby'ego. Zdolny Bobby sam się zaćpał. A mówili, że to raperzy upadną...

35 A właściwie 3582, ale do tej liczby – mam nadzieję – nie dotrzemy. Można spekulować, czy nazwa nie oznacza wagi w funtach, do której twórcy dążą z nieprzemijającym zapałem. Najważniejsze, że Fat Jon i J. Rawls robią wypasioną muzykę. Niech więc siedzą w studio, a hejterzy pójdą pobiegać.

36 Jak 36 komór serca z tytułu debiutu Wu-Tangu. RZA stać na komór więcej i rachunki telefoniczne jak u Mike'a Jonesa. U nas koleś, który oglądanie filmów kung-fu po marihuanie przekuwa w system filozoficzny doczekałby się jednej komórki i to bez klamek. Reszta jej lokatorów patrzyłaby na zielone ściany i czekała, aż czekolada dojrzeje.

37 postów ma na forach Polchatu temat „Największy hip-hopowy szajs". Najtrafniejsza odpowiedź należy do niejakiego maxwella: „Jest masa gównianego undergroundu, jest masa gównianej komercji, jest masa gównianych nielegali, trudno je wszystkie wymieniać". Licz Bicz czeka na twoje CV, synu.

38 W 38 numerze „The Black CoMMentatora" mamy artykuł o wymuszonym przez branżę dekalogu hip-hopu. Oto on. Obrażanie i bicie czarnych kobiet, mówienie o mordowaniu i cieszenie się tym, pożądanie cudzego, epatowanie seksem w najsurowszej formie, gloryfikacja dragów, pomijanie tematu boga i duchowości, promocja kapitalizmu i kultu pieniądza, ignorowanie historii, odcięcie się od roli rzecznika społecznego i znajomości realiów, promocja przez image gościa z getta. Jak widać, polski rap musi się wiele nauczyć. Tylko skąd wziąć czarne dziwki do bicia?

39 A pamiętasz jak w 39. napadnięto na Polskę? Nie pamiętasz, ale nawijasz. Freestyle o wojnie na pierwszej solówce Tedego był tak gorący, pełen dobrego smaku i stosowny wobec powagi wydarzenia, że aż się dziwię, że na mikstejpach Buhha nie ma niczego o Katyniu albo Jedwabnem. Temat jest trendy, a trochę krwi i męczeństwa między baunsem a ruchaniem byłoby przecież w cipkę, ziooooom.

Begbie Edward Rockwell

INNA STRONA MUZYKI
DRUGA STRONA LUSTRA

Reggae ma się w Polsce coraz lepiej. Dowodem tego jest wydawnictwo W Moich Oczach i wypuszczony przez nich zespół Druga Strona Lustra. Jak sami panowie mówią – dla reggaeowców hip-hopowy, dla hiphopowców reggaeowy. Warto wyrobić sobie własny pogląd.

Max i Zigi brali udział w powstawaniu składanki „19 Południk". Co prawda, w innym projekcie niż w tej chwili, niemniej może pamiętacie coś z atmosfery towarzyszącej tamtemu pionierskiemu przedsięwzięciu?

Max: To było nasze pierwsze wypłynięcie na „szerokie wody". Tamten okres to silne związki ze śląską sceną hip-hopową. Kiedy zaproszono nas na „19 Południk", dopiero przecieraliśmy nasze pierwsze szlaki hip-hopowe. Był to totalny zwrot w przygodzie z muzyką.

Album „Język Żywiołów" opisywany jest jako mieszanka reggae, dancehallu i hip-hopu. Dwa ostatnie gatunki wydają się raczej przyprawą, choć zdaje się, że planowaliście kiedyś również materiał czysto hip-hopowy...

Max: Dla hip-hopowców album jest reggaeowy, natomiast dla reggaeowych słuchaczy – hip-hopowy. Prawda pewnie leży po środku. Przez kilka lat graliśmy reggae, później kilka lat hip-hop, a teraz udało się połączyć oba gatunki. Na „Języku Żywiołów" pojawiają się goście zarówno jednego jak i drugiego nurtu muzycznego. Przez ostatnie dwa lata koncertowaliśmy głównie na imprezach hip-hopowych i nasze reggae zawsze było ciepło przyjmowane.

Zigi: Hip-hopowy materiał został nagrany, tyle że wydany w formie nielegala pt. „Shiz Nocy Letniej". W sumie to taka bardziej pamiątka dla naszych znajomych niż płyta dla szerszego grona odbiorców.

Koordynujecie wiele elementów: riddimy Alena, dęciaki od Bakshishu i rozstrzelonych po Polsce gości – Hen jest z Wielkopolski, Mewa ze Śląska, Bas z Zagłębia, Jaosh z Podkarpacia, Mad Mike z Mazowsza. Trudno było to wszystko połączyć?

Zigi: W pewnym sensie [illegible] dzi z różnych miejsc było [illegible] mysłem, ale cała akcja w [illegible] mierzone rezultaty.

Max: Zarówno wokaliści i raperzy, ak[illegible] ści zaproszeni do wspólnych nagrań d[illegible] dzień we własnych projektach muzycznych [illegible] cie ich do Andrychowa graniczyło z cudem. Pe[illegible] wiliśmy jednak, że ze względów technicznych nag[illegible] my wszystko w Alien Studio. Jedynie sekcję [illegible] zarejestrowaliśmy w Long Studio w Krakowie. Trwało to blisko dwa lata, lecz wytrwałość się opłaciła.

W Moich Oczach nie jest zwykłym wydawnictwem. Prowadzi je wizjoner i ideowiec, współpraca powinna być więc idealna. Rzeczywiście jest?

Max: To rzeczywiście niezwykłe wydawnictwo. WMO wyłamuje się z wszelakich kanonów polskiego show-biznesu. Sławek Pakos (właściciel) jest dla nas bardziej przyjacielem niż wydawcą. Inspirujemy się wzajemnie i zmuszamy do wytężonej pracy (śmiech).

Zigi: Współpraca z WMO jest [illegible] w jednym [illegible] Bakshishu czy Inquis Bravos to dla nas wyróżnienie.

Macie kawałek na kompilacji „Far Away From Jamaica", obok was pojawia się tam dużo artystów, w tym parę budzących respekt nazwisk. Czyją obecność traktujecie jako największą nobilitację?

Zigi: Kawałek „Płonę" na tej składance to [illegible] promocji, a dodatkowo miło było się po[illegible] czołówki reggae w naszym kraju. Poza tym [illegible] czajnie dobra płyta, więc namawiam do jej [illegible]

Max: Niektóre „persony" faktycznie budzą [illegible] i niekłamany szacunek. Jako nastolatek jarałem się ich muzą, a teraz wystąpiliśmy na tej samej kompilacji – to niesamowite. Skłania nas to do dalszej pracy nad własnym rozwojem muzycznym.

Na koniec akcent abstrakcyjny. Co jest po drugiej stronie lustra?

Zigi: Po drugiej stronie lustra jest na pewno jakaś Alicja z pięknymi dreadami, która przez cały czas [illegible] do jamajskich riddimów.

Max: Jeden Bóg, Jedna Dusza, Jedna Miłość.

pytał Flint

NOWA TWARZ
DWÓCH WARSZAWIAKÓW

Drugą część rubryki Nowa Twarz oddajemy Dwóm Warszawiakom, których proste, wypracowane style zderzają się z ciepłym brzmieniem Rhodesa, ale i brzmieniem kilkuosobowego żywego bandu, dając bardzo pozytywną wibrację.

Niewiele mamy zespołów, które umieszczają miasto w swojej nazwie. Warszawa to dla Was coś więcej niż miejsce zamieszkania. Przyjaciel?

Cyjan: To nasze miasto. Jesteśmy z nim związani, uważamy się za lokalnych patriotów. Ma swój klimat.

Kolso: Nazwa brzmi mocno patriotycznie, ale nie wiadomo, skąd się wzięła. To wyszło samo z siebie, nie chcieliśmy wymyślać dziwnych nazw w stylu JPŻ Skład. Jest nas dwóch, jesteśmy z Warszawy. Proste.

Wiem, że zajęliście drugie miejsce na konkursie talentów w Parku Praskim, ale może za największe osiągnięcie uważacie co innego...

Cyjan: Ostatnią płytę. Jestem z tego materiału zadowolony w stu procentach. A unikalny sukces motywujący nas do dalszego działania jest jeszcze przed nami.

Kolso: Nie wpychamy się nigdzie siłą. Bazujemy na tym, że jeśli nasz materiał będzie wystarczająco dobry, żeby się przebić, to się przebije. Robimy swoje, w większości samemu. To osiągnięcie z [illegible] nej strony to dobre z drugiej [illegible] na świeczniku.

To prawda. Nie jesteście nachalni. Nie staracie się sprzedać swojego materiału, nie wrzucacie go na trzysta serwerów. Wasza pierwsza płyta

MODA NA MIXTAPE

Na zachodnich obrzeżach istnieją sobie Żary. W Żarach działała i tworzyła Dobra Marka – trio składające się z Rebusa, L2E i producenta Konqreta. Jej nielegal wyszedł w czasach, kiedy ładnie wyglądający, dopracowany brzmieniowo i nieźle nawinięty podziemny album wciąż był luksusem. Rebus zakończył swoją działalność rapową. Dlatego „Lost Tape (Mixtape vol. 5)" jest szczególnym wydawnictwem – nie dość, że zawiera jego ostatni kawałek, ale zawiera również kawałek pierwszy. Niestety, jest to przykład mixtape'u interesującego jedynie dla wąskiego grona znajomych twórcy. Zestawienie starych kawałków z nowymi dobrze brzmi jako idea, ale kiedy posłuchacie początków rapera, zaowocuje to tylko wkurwieniem na jego nieporadność i przejęcie przy dukaniu „natchnionych" wersów. Nowsze tracki prezentują się o niebo lepiej, jednak Rebus przespał czas, kiedy taki sposób motania wersów robił wrażenie. Beztroska i swoboda już nie szokują, bo sprzed mikrofonów wyrzucono sporo drewna, a mc nie wykonał kroku naprzód adekwatnego do reszty, przez co często irytuje, jeszcze częściej nudzi. Zwłaszcza kiedy człowiek nie orientuje się w niuansach jego związków z kobietami i nie zna relacji międzyludzkich na lokalnej scenie hh. Wychodzi z tego luzak, ale sfrustrowany, na mało wyrazistych, obojętnych beatach. Pożegnanie w niespecjalnym stylu.

I 2F był w DM zawsze w cieniu Rebusa, ciekaw byłem więc ewolucji i tego, jak poradzi sobie bez wsparcia. Już wiem – ewolucja jest powolna i plasuje go w dolnej części tabeli ze średniakami rodzimego undergroudu. Mixtape „Holla" bazuje w 90% na beatach zdartych z amerykańskiego mainstreamu ostatnich lat – od „Invincible" CNN i Premiera, przez „Ms. Jackson" Outkast, „Got It Twisted" Alchemista i Mobb Deep, po wygrzewki Neptunes i rzeczy z logo G-Unit. W oryginale to osłuchane rzeczy, z małą ilością sensu, ale kozackim flow. Lee rymuje na nich prosto, wtórnie, a flow jakim dysponuje, nie umożliwia mu jeszcze jakichkolwiek fajerwerków – przynajmniej nie razi i jest rytmiczne. Album ożywa trochę przy „Pocałunku śmierci" i „Żary-Centrum", tu są przynajmniej jakieś emocje. Trochę urozmaicenia wnoszą wokalistki. Można posłuchać w słoneczne dni, ale raczej z braku laku i robiąc coś przy okazji.

Sens życia według Łoza a.k.a. Pitahaya:

Z czym Pitahaya smakuje najlepiej?
– Z Tytusem, A'Tomkiem i ze zobligowanym Romkiem.
Kto Pitahayą może się udławić?
– To już zależy od rozmiarów Romka.
Czy na Dolnym Śląsku istnieją tajemne plantacje tego owocu, które zagrażają integralności Polski?
– Na to pytanie muszą odpowiedzieć wasale Romka, których siła drzemie w grubej bercie.

„Back In The Days" Łoza a. k. a Pitahaya to naprawdę niezły mixtape. Na wstępie dobry gust przy złodziejstwie w większości mało znanych beatów. Niezła DJ'ka (tylko mało jej!). Dobre występy gościnne (koniecznie zapamiętajcie W? i GBS'a). Zaraz potem dobrze zapobiegający nudzie rozstrzał tematyczny – jest trochę ciętych narzekań na raperów, odbiorców rapu, a nawet sam rap („Mój kumpel" to ciekawie odwrócone „I Used To Love H.E.R." Commona). Jest nostalgia, edukacja i funky tradycyjne dla nagrań ludzi z frakcji Drutz. Są sprawy damsko-męskie, ale obyło się na szczęście bez „seniorit" i aniołów – liryczne, świetnie napisane „Serce i rozum" z Tylko (znakomity występ), mądre, z wdziękiem podpatrzone „Jeśli chcesz..." czy trafny, dotyczący sfery męskiej wolności w związku „Pantofel". Mamy nawet nawiązujące do Dipsetów „Wracam" i poważny surrealistyczny storytelling, w którym sen miesza się z jawą. Słychać, że album nagrał gość, który przeżył trochę lat, miał czas pomyśleć, potrafi być szczery i mimo dawki goryczy ma zajawkę. Niestety, wciąż nie ma siły przebicia i trudno dociec mi czemu. Głos? Zmiękczanie głosek? Chęć powiedzenia pewnych rzeczy za szybko? Zbytnia beztroska przy artykulacji? Wystarczająco dużo melodii w samym gadaniu, by po położeniu go na beat pojawiało się czasem wrażenie dysharmonii? Przez to giną wersy, które powinny być powtarzane z wypiekami, a hity są tylko udanymi numerami.

tekst Flint

Kontakty: www.lozo71.xx.pl, www.lozo.prv.pl, konqret@o2.pl, lee-dm@o2.pl

Inne niż Dobra Marka rozwinięcia skrótu DM według Konrada „Konqreta" Leszczyńskiego:

01. DM – (Dupa Maryny) – chłopaki zawsze nawijali o czym innym i w innym stylu, dlatego też jak nawijali w jednym kawałku, to czasami brzmiało to bez sensu.
02. DM – (Dużo Maniur) – Lee zawsze przyciągał dziewczyny, nie wiem czy to jego głos, czy wygląd (śmiech). Dla dupeczek zawsze był bogiem.
03. DM – (Darmowe Mixtejpy) – Rebus-zkurfiel spontaniczny jak hip i hop. Powrót do korzeni. Pomysł i realizacja. Nic dodać nic ująć.
04. DM – (Daje Muzę / Dokładny Miks) – Konqret ma „q" w środku, by się kojarzył z konkurencyjnością, by muza wypływająca z tych rąk brzmiała profesjonalnie, mimo iż jest z podziemia.
05. DM – (Dwa Marzenia) – „... chcieliśmy być jak 2Pac, marzyliśmy o hajsie i gorących dupach" (Eis). Zajebiście jest marzyć, robić coś z sercem, nadzieją. Fajnie jest gonić króliczka.

trafiła do mnie przypadkiem. Mój przyjaciel dostał ją w skateshopie i przekazał.
Cyjan: Bycie nachalnym w tym interesie ma więcej zalet. Wpieprzasz się, gdzie się da, ludzie cię zauważają, jest więcej wywiadów, koncertów. Natomiast my chyba tak nie potrafimy.
Kolso: Jesteśmy zachowawczy, bo mogą trafić się dziwne propozycje dziwnych ludzi. „Tu telewizja, zrobimy wam wywiad, a wy tu poskaczcie, będzie fajnie. Nawet wam zapłacimy. Wiadomo, rap, moda..." Wybraliśmy długą i trudną drogę, którą przy odrobinie szczęścia i dupowłastwa można by przeskoczyć jednym susem.
Cyjan: Ja wierzę, że to się opłaci i zwróci z nawiązką.
Trzecia płyta ma być ostatnią płytą na nielegalu. Teraz będziecie mierzyć w legal.
Cyjan: Na dłuższą metę nie stać nas na smażenie płyt i rozwożenie ich za własne pieniądze. Chcieliśmy w tydzień objechać Polskę...
Kolso: Fura jest, można jechać.
Cyjan:... i pozostawiać płyty w sklepach, tak jak robimy to w Warszawie. Ale cóż... Wacha i utrzymanie kosztują. Nie mamy sponsora, a z robotą jest licho. Bycie w podziemiu ma swój urok, ale wygląda na to, że trzeba je opuścić.
Macie na płycie kawałek „Nie strugaj kozaka". Dobrze charakteryzuje to, co dzieje się w WWA, modę na bycie złym i groźnym.
Cyjan: Takie czasy. Nikt nie chce wyjść na lamusa.
Kolso: Wszyscy brną ku złemu. Jesteś zły, to jesteś w porządku. Jesteś dobry, nie ma cię w motłochu. Ktoś idzie, zrobi złą minę i myśli, że jest kimś. A ja mogę mu podać rękę. I się zaczyna problem, bo ten drugi głupieje.
Cyjana: My też w tym temacie nie byliśmy święci... Nieważne, Dwóch Warszawiaków, spokojni ludzie.
Zagraliście trochę koncertów. Czy potwierdzacie famę panującą nawet wśród społecznych zespołów, że dla warszawiaków nie gra się dobrze?
Kolso: Trudno o publiczność, bo mamy dużo zespołów. W 80% stanowi ją grupa twoich znajomych, a reszta siedzi, bo ma na osiedlu czterech innych wykonawców, którzy coś tam dłubią, a tak w ogóle to lubią Ostrego, Morwę i coś tam. Będą siedzieć i narzekać. „Nieee, to nie Morwa, co to za lamusy". A z drugiej strony: „U nas Mieciu nagrywa, Stefan, Janek, wolałbym do nich pójść na koncert".
Wyszliście jednak poza zwyczajową publiczność, Wasz kawałek pojawił się w filmie deskorolkowym.
Cyjan: Krążyliśmy z drugim nielegalem po mieście i wpadliśmy na Nowogrodzką, do sklepu DSK. A tam zupełna zamuła, jeden typek siedzi na kanapie i ogląda jakiś deskorolkowy film. „- Chcieliśmy płyty zostawić", „- Aha, dobra". Kiedy wyszliśmy, byłem zły. Kurwa, zmarnowaliśmy 20 płyt, kto je tam weźmie. Tego dnia zadzwonił Kuba Perzyna, że chciałby użyć kawałka „Na pamiątkę" do filmu. Zgodziliśmy się, później napisał w INFO recenzję w samych superlatywach. Troszkę przesadził. Ale nieważne, liczy się to, że poznaliśmy kogoś tylko przez muzykę. Spotkaliśmy się później pooglądać stare klipy i wypić piweczko. I o to chodzi.
A sami kiedykolwiek jeździliście?
Kolso: Na roleczkach.
Cyjan: Ja też.
Kolso: Nie mógł odkręcić hamulca (śmiech).
Cyjan: Wszyscy mieli zajebiste Bauery, a ja plastikowe badziewie. Nie mogłem odkręcić hamulca, to go odpiłowałem, bo całe osiedle słyszało, jak jadę (śmiech).
Na koniec nawiążemy do Nowego Jorku. Zawsze trwały tam walki o tytuł króla miasta. Widzicie kogoś, kto zasługiwałby na miano króla Warszawy?
Cyjan: Znalazłbym 5-6 osób wybijających się ponad normę.
Kolso: Łatwiej byłoby wypowiadać się 5-6 lat temu. Miałem wtedy lepszy kontakt z całą kulturą. Dziś robię swoje i się nie zastanawiam. Królami są ci, którzy zachowali równy poziom, a czasem zrobią coś, co go podnosi.

pytał Flint
foto Piotr Ciężkowski / fotosy.org

TOMEK LEŚNIAK
RAFAŁ SKARŻYCKI

Po owcach przyszła kolej na klonowanie jeży, które jeszcze jakoś sobie radzą pod rządami kaczorów. Tak w telegraficznym skrócie można streścić najnowsze doniesienia o działalności kolczastego renegata, Jeża Jerzego, powracającego w komiksowym albumie „In vitro". Jeżeli jednak nie przemawia do was videoclipowa narracja w duchu MTV, zapraszam do przeczytania wywiadu z los autores serii o Jerzym, rysownikiem Tomkiem Leśniakiem i scenarzystą Rafałem Skarżyckim. Po jego lekturze stanie się jasne, kto ma dziś kolegów wśród ministrów i kim jest tajemniczy Jerz Jeży

rozmawiał Sebastian Rerak
rysunki Tomasz Leśniak

Fani komiksu zażarcie spierają się o to, czy Jeż Jerzy jest komiksem undergroundowym, czy też nie. Możecie rozstrzygnąć ten spór?

Tomek Leśniak: Myślę, że coraz bardziej oddalamy się od stylistyki undergroundowej. Kiedy zaczynaliśmy tworzyć serię o Jerzym, ta podziemna estetyka na pewno była obecna choćby w rysunku, znacznie prostszym i bardziej drapieżnym. Teraz skłaniam się raczej ku szerszym środkom wyrazu i bardziej filmowemu opowiadaniu obrazem. A spór, o którym wspomniałeś, najłatwiej chyba rozstrzygnąć patrząc na nakłady, w jakich Jeż się ukazuje. One jednoznacznie mówią, że nie jest to komiks undergroundowy.

Rafał Skarżycki: Korzenie Jerzego faktycznie tkwią w undergroundzie, ale nigdy też nie chcieliśmy robić komiksu ściśle w takim stylu. Dwanaście lat temu, kiedy powstawał Jeż, ukazywało się sporo podziemnych wydawnictw. Można było pojechać do Stodoły na giełdę punkową, gdzie sprzedawano mnóstwo zinów z komiksami. To były bardzo hardkorowe historie rysowane uproszczoną kreską, ale najważniejsze w nich było to, co autor ma do powiedzenia, a nie jakość jego rysunków. Mnie one zawsze bardzo się podobały i chętnie je czytałem. Byłem wielkim fanem Pały, lubiłem „Zakazany owoc" i na pewno jakoś mnie on inspirował. Z tym że nigdy nie działaliśmy na scenie undergroundowej. Robiliśmy coś pokrewnego estetycznie, ale Jeż od początku ukazywał się w oficjalnym obrocie. Nigdy nie wydawaliśmy go własnym sumptem, pojawiał się w komercyjnych pismach i dlatego nie można go uznać za undergroundowy komiks.

Czyli Jerzy stał się profesjonalistą?

Rafał: Mam wrażenie, że my z Tomkiem zbliżyliśmy się z upływem czasu do profesjonalizmu i to pewnie znajduje odzwierciedlenie w komiksie.

Tymczasem ukazał się nowy album Waszego autorstwa, „In vitro". Z jego okładki spogląda Jerz Jeży – kaprawy klon Jeża Jerzego. Skąd wzięła się ta postać? Chcieliście skonfrontować swojego bohatera z jego „złym bliźniakiem"?

Rafał: Kierowała nami nie tyle chęć konfrontacji tych dwóch, co potrzeba zapełnienia pewnej luki na krajowym rynku komiksowym. Taka postać jak ten kaprawy Jerz Jeży ma szansę poważnie na nim zaistnieć i dlatego powołaliśmy go do życia.

Tomek: Raczej opisaliśmy jego powołanie do życia.

Rafał: No tak, ponieważ do życia powołali go inni bohaterowie komiksu.

Czyli szalony naukowiec i jego asystent. Nie wydaje się Wam, że wyglądają oni jak zdegenerowani Tymek i Mistrz, postaci z innej serii, którą tworzycie?

Tomek: To prawda. W pewnym momencie Rafałowi zaczęły się wyczerpywać pomysły i dlatego dopuścił się takiej autoparodii (śmiech).

Rafał: Nie, to nie jest autoparodia, bo za podobieństwo fizyczne tych postaci odpowiada Tomek. W scenariuszu oni nie byli podobni, to wyklarowało się dopiero w trakcie prac. Uznaliśmy, że takie nawiązanie może okazać się fajną zabawą z serią znaną młodszym czytelnikom.

Tomek: Jest to także nasza odpowiedź na pytania czytelników, którzy – znając wersję Jerzego dla dzieci i nie dla dzieci – pytali nas, dlaczego nie tworzymy Tymka i Mistrza dla dorosłych. A zatem w „In vitro" mają próbkę tego, co mogłoby się dziać w takim komiksie.

Na nowy album składają się dwie historie średniego formatu. Lepiej czujecie się tworząc dłuższe fabuły czy krótkie jedno-dwuplanszówki?

Rafał: Ja lubię zarówno krótkie, dwu-trzyplanszowe historyjki, średni format, jak i pełnometrażowe opowieści. Choć nie ukrywam, że ostatnimi czasy najchętniej tworzę na pełnym metrażu.

Tomek: Mnie z kolei taki płodozmian pozwala zachować świeżość w podejściu do rysowania komiksu. Inaczej rysuje się długie historie, a inaczej kilkuplanszówki. Sam fakt, że mogę na przemian poćwiczyć obie te formy, sprawia mi wielką frajdę.

Rafał: Szkoda tylko, że jest niewiele możliwości wydawania pełnych albumów. Album jest formułą, w której można pokazać to wszystko, na co brak miejsca we wszelkich szortach. Wymaga też innego podejścia od twórców, bo zapewnia większe pole do popisu i potrzebuje czegoś więcej niż prostego schematu dowcip plus pointa. Z długometrażową fabułą można już poeksperymentować i zabawić się jakimiś narracyjnymi trickami.

Premierę „In vitro" poprzedziliście zamieszczeniem w Internecie specjalnego animowanego zwiastuna. Skąd pomysł na taki metakomiksowy zabieg?

Rafał: Uznaliśmy, że dobrze będzie zrobić małe zamieszanie marketingowe wokół wydania albumu, a stworzenie takiego zwiastuna to fajna sprawa. Zwłaszcza że na zachodzie podobne trailery do komiksów są czymś powszechnym. Poza tym, mieliśmy możliwość zrealizowania go w bardzo profesjonalny sposób. Głosu użyczył w nim aktor Grzegorz Pawlak, zawodowo czytający teksty w reklamach, muzykę napisał nasz kolega Wojtek Sachowicz, a animacją zajął się Tomek.

Tomek: Też profesjonalnie (śmiech).

Rafał: O takim trailerze myśleliśmy już w związku z innym albumem, „Jeż Jerzy. Człowiek z bliźną", który miał ukazać się jeszcze w tym roku, ale ostatecznie pojawi się w przyszłym. Skoro jednak najpierw ukazało się „In vitro", to postanowiliśmy od razu przymierzyć się do realizacji zwiastuna. Myślę, że wyszło fajnie.

Tomek: Najprawdopodobniej stanie się to tradycją, że premierze każdego nowego komiksu o Jerzym będzie towarzyszyła taka animowana zajawka.

A czy trailer można traktować jako przedsmak filmu animowanego z udziałem kolczastego? Wiele osób oczekuje na powstanie takiego obrazka.

Rafał: Chciałbym, żeby taki film powstał. Jednak póki co nie zapowiada się na rychłą filmową adaptację Jerzego.

Tomek: Do takiego przedsięwzięcia potrzebne są środki przekraczające te, którymi dysponujemy. Nasze moce przerobowe starczają tylko na stworzenie takich małych form jak ten trailer czy filmiki, które można zobaczyć na stronie internetowej Jeża.

We wspomnianym trailerze odgrażacie się głosem lektora, że komiks będzie jeszcze ostrzejszy niż dotychczas. Czyżby Jerzy jeszcze bardziej się zradykalizował?

Tomek: Podeszliśmy do sprawy przewrotnie i w zwiastunie reklamujemy tę odpryskową jego wersję, czyli Jerza Jeżego. Ot, żeby podsycić zainteresowanie i wprowadzić pewien zamęt.

Rafał: Nie ukrywajmy, zaczynamy budować siłę marki Jerza Jeżego. To celowe działanie. Jeży musi zostawić ślad w świadomości odbiorców.

Pomyślałem, że sam kolczasty mógł „wyostrzyć się" wraz ze zmianą nastrojów w kraju, spowodowanych zmianą warty u władz. Jak Jerzy odnajduje się w nowej rzeczywistości, w której jego wielcy wrogowie, Zenek i Stefan, mogliby już być posłami?

Rafał: Oni mogliby być już nawet ministrami i wicepremierami. Można się domyślać, jakimi resortami by kierowali.

Tomek: Ich koledzy z organizacji zasiadają już w rządzie.

Rafał: Jerzy w nowej rzeczywistości na razie ma się dobrze. Zgromadził duże zapasy alkoholu i dzięki nim jest w stanie przetrwać każdy kolejny dzień. Stefan i Zenek to postacie, które faktycznie najlepiej sobie radzą w tej nowej rzeczywistości (śmiech). Oni wręcz kwitną, a ich rozkwit mnie przeraża, co być może znajdzie odzwierciedlenie w kolejnych odcinkach serii. Boję się tylko, że kiedy Jerzemu skończy się alkohol, dosięgnie go wielki mega-kac. To może być trudne do zniesienia.

Może wtedy odda się refleksji?

Rafał: Tak, całkiem możliwe. To będzie dobra pora na filozoficzną dywagację nad sensem tego wszystkiego. Tomek miał kiedyś ochotę stworzyć podobną historię.

Tomek: Obecna rzeczywistość na pewno skłania do głębokich refleksji, więc niewykluczone, że Jerzy się takowej odda.

EURO ENTUZJAŚCI

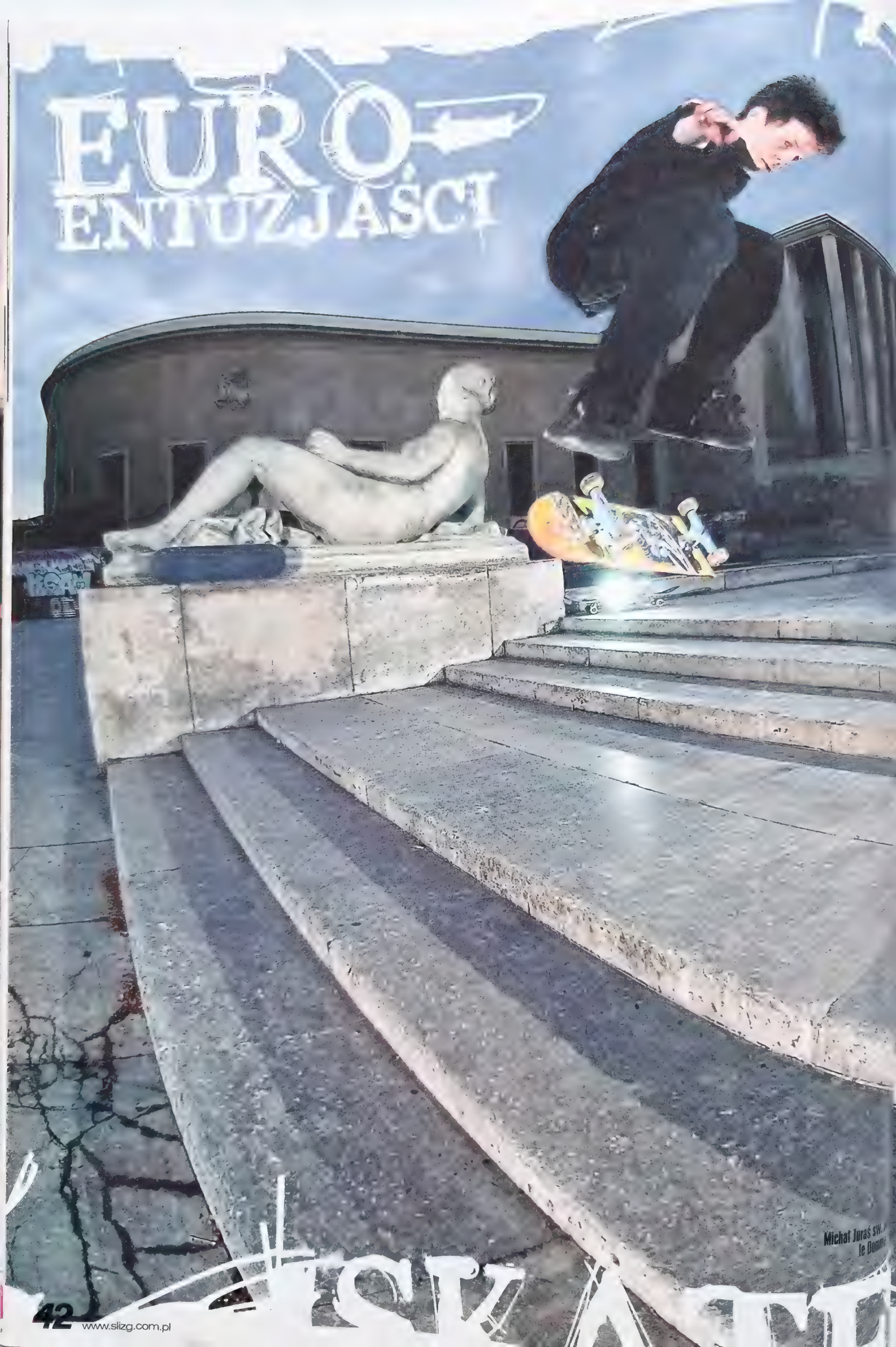

Michał Juraś sw...
Ie Domin...

Łukasz Jędrzejczak 360 flip
Potsdamer Platz Berlin

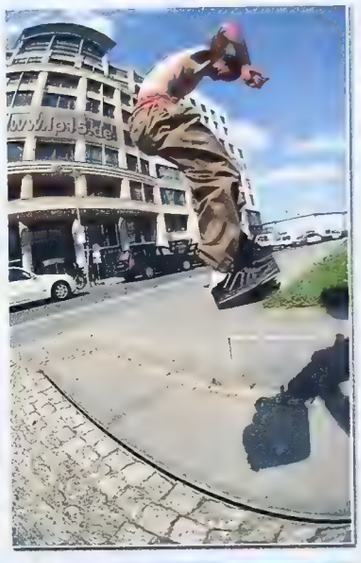

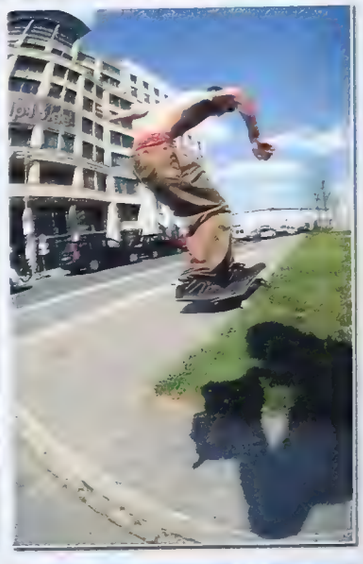

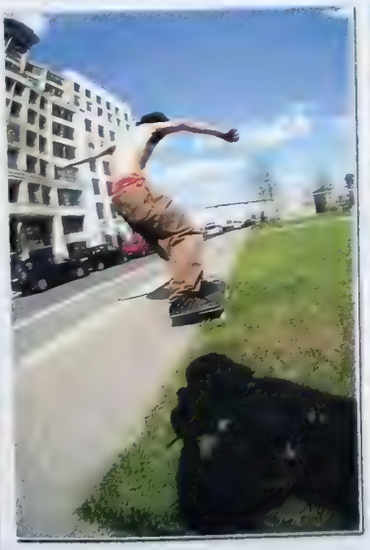

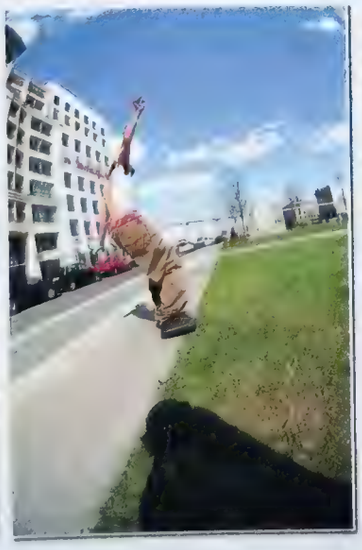

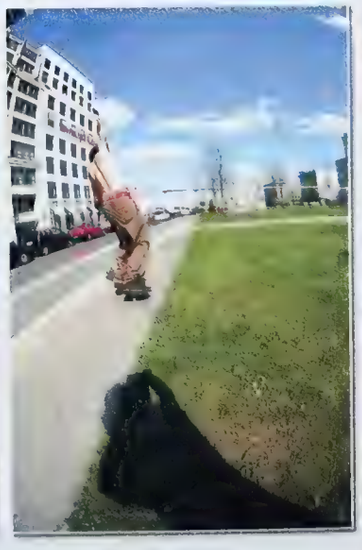

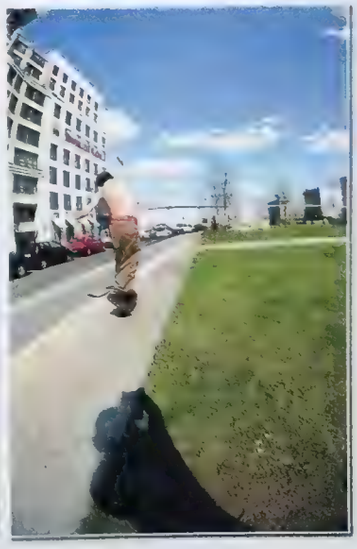

W dobie zmiany rządów, gdy do władzy dochodzą ludzie, którzy nie słyną z umiłowania do związków Polska-Europa Zachodnia, wszelkie próby integracji ze środowiskami zza Odry mogą być niemile widziane. Dlatego takie inicjatywy jak ta, czyli wyjazd sporej grupy deskorolkowców w poszukiwaniu miejscówek w krajach Unii, zasługują na wielki szacunek. Gabor Nagy, ojciec tego przedsięwzięcia, nie liczył się z naszymi dwoma nowymi wicepremierami, tylko zebrał grupę euroentuzjastów, a rezultat ich działań widzicie poniżej...

EURO ENTUZJAŚCI

tekst i foto Gabor Nagy

Warszawa „KC" to miejsce zbiórki przed wycieczką do Paryża. Nietypową, bo nikt z jej uczestników nie pragnie dotknąć tłustym paluchem metrowej szyby, za którą znajduje się kserówka Mona Lisy lub zaliczać pozostałych standardowych punktów turystycznych stolicy Francji. Nie jedziemy też do pracy, naszym powołaniem na tej wyprawie jest chill, pisany przez duże Ch.

Czar i spokój wyprawy pryska jednak już w pierwszych jej sekundach. Gdzie upchnąć te wszystkie wielkie torby na kołach? A uczynić musimy to tak, żeby 18 deskorolkowych tyłków miało także miejsca siedzące. Udaje się to z niemałym trudem, ale autobus nie jest przerdzewiałym ogórkiem, das ist ein Mercedes – z pewnością więc wytrzyma! Bus dał radę, ale Kriwol nie wziął paszportu, zatem trzeba go odszukać. Kilka mostów, skrzyżowań z czerwonymi światłami dalej plus dwa zakręty w prawo i dokument uprawniający do przekroczenia granicy odnalazł się. Jeszcze tylko postój w „Las Vegas", gdzie można kupić najdroższe tanie produkty, i stajemy na całe dwa dni w Berlinie.

Tutaj pierwsze kroki z apartamentu, a raczej pierwsze odepchnięcia po niemieckich chodnikach, robi Michał Juraś, za nim Akin, Dolek... oraz reszta naszej ekipy. W Berlinie odwiedzamy Filharmonię, miejsce niezliczonych manuali oraz najróżniejszych grindów. Potem Kulturforum znane jako „double set spot", gdzie wyżej wspomniany Jurny Juraś na przemian z Kool Kulczyńskim kleją boardslide'y na railu z 8 schodów i gdzie w końcu Pigor zaskakuje wszystkich sw. k-grindem oraz 360 flipem z zejściem w łamany bank! Jedziemy także na trzy schody obok Potsdammer Platz. Tutaj Krzysiek Sereczyński ląduje ładne nollie, Juraś i Jarek Kozak – flipa.

Bilety za 2,20 euro umożliwiają nam również podróż pod Aquarium. Łukasz Kuza aka 50 Cent z Łodzi jest bliski sklejenia rzadko spotykanego tricku, czyli „fs. tailbluntslide to kill photographer," co w wolnym tłumaczeniu znaczy „deska wali fotografa w obiektyw, a później centralnie w głowę". Fajna praca, naprawdę polecam. W Berlinie jeździmy też pod pomnikiem „bohaterskich sowietów", który postawili im Niemcy. My w każdym razie nie jesteśmy im za nic wdzięczni i dlatego nie zwracając uwagi na zakazy jazdy kilku z nas postanowiło sobie poskakać... Piotrek Dudziak na pełnym speedzie wychillował bs. heelflipa z trzech długich schodów, Juras flipa z dużej ósemki, a Jarek fs. flipa.

Niemiecką stolicę pozostawiamy gdzieś za nami, tu zostawiamy także Kriwola (życzymy mu szybkiego powrotu do zdrowia) i po kilku dobrych godzinach jazdy wjeżdżamy do Koln. Dom Platte, czyli po polsku Plac Katedralny, to raj dla deskorolkowców. Sekwy, sekwy, sekwy... Michał Haśko dostaje tu nowe przezwisko „hasko flip", a wszystko za sprawą 360 flipa z sześciu schodków sklejonego na wysokości przeznaczonej jedynie dla ultradźwiękowych odrzutowców. Pigor w niepowtarzalnym charakterystycznym dla siebie stylu klei 360 bigspin flip w kąt. Jest fajnie, tylko że ktoś zepsuł Kulczynkowi jego karabin na kuleczki. Czym się będzie bawił nasz ulubieniec? To okaże się w Paryżu, ale najpierw musimy tam dojechać... Już na miejscu okazuje się, że potrzebna jest nam pomoc kogoś mądrzejszego, najlepiej psychologa. Francuziki bowiem swoją butą i zarozumialstwem połączonym z totalną dezorientacją, nie pomagają nam dotrzeć szybko do naszego hotelu. Nawet francuski w wykonaniu mc Maliny nie pomaga. W końcu na „le farta" docieramy do celu.

Le Dome to pierwszy paryski spot na mapie Dolka, a sw. heelflip to trick Michała Jurasia, który dane mi było tu oglądać. Zaobserwowaliśmy także Pigorowego 360 flipa sklejonego nad długim double setem. Niestety, deck wystrzelił spod jego nóg, a sam bohater powyższej opowieści doznał chwilowego zaniku pamięci i wstrząśnienia mózgu. Stacja metra Troccadero to wielki marmurowy plac ze schodkami, gapami, niskimi mureczkami. Tu chillowaliśmy codziennie. A jednego pięknego dnia postanowiliśmy nawet uwiecznić tutaj Jarka w sekwencji z flipem przez gap. Bardziej zdeterminowani robili tu zakupy napojów chłodzących w cenie 2 euro za puszeczkę, tym razem nikt nie wydał jednak piątala na bagietkę z serem.

Mapa Dolka powoli przestawała być dla nas tajemnicą, a odznaczone na niej spoty uginały się pot wpływem triczków polskiej ekipy. Kolorowy plac zabaw, wybitki czy jakieś pojedyncze miejsca – trochę tego tu jest. Warto wspomnieć, iż jedynie centrum Paryża wygląda normalnie. Jego pozostałe dzielnice są bowiem brudnym, przeludnionym i nieprzyjaznym ghettem. Tu doskonale nauczycie się, co oznacza słowo nienawiść... My jednak pozostańmy przy desce i skierujmy waszą wyobraźnię na La Defence, czyli spot na spocie. Tu Krzysiek skleił flipa na stromym banku, Pigor bigspin flipa i bs. heela, a ja frontside flipa. Pikanterii temu miejscu dodaje fakt, iż na bank nie ma łagodnego podjazdu i trzeba na niego wskoczyć. „Małej" hubby nie skleił natomiast Kulczyn, ale Kosti na pełnym rapie pocisnął k-grinda to fakie po ustawionej pod kątem szynie.

Mieliśmy także okazję grindować i kręcić sekwy pod Bercy, po czym zapakowaliśmy manatki, błąkając się ponad 3 godziny w celu znalezienia wyjazdu z Paryża. W końcu znaleźliśmy się na drodze do Pragi. Niestety, dojechaliśmy zbyt późno i po kilku chwilach Stalin przykryła ciemność praskiej nocy. Ale przecież w Czechach można także dobrze się pobawić, co nastąpiło na ulicy, w klubie, pod busem, dosłownie wszędzie. Potem znów niczym sardynki wcisnęliśmy się do busa. Wracamy do Polski...

PROFESJONALNY
GRIND BOX PODIUM
FIRMY TECHRAMPS
O WARTOŚCI 2800 PLN
MOŻE BYĆ TWÓJ
SZCZEGÓŁY KONKURSU: WWW.PODIUM.PL

PATRONAT MEDIALNY:
skatenews.pl
andegrand.pl
INFO magazine skateboard
ślizg
www.FLIP.pl deskorolka snowboard

Nowa twarz
Jarek Kozak

Siedemnastoletni Jarek Kozak jest warszawiakiem, jednak odważę się powiedzieć, że nie jest on typowym przedstawicielem stołecznego skateboardingu. W czasach, gdy jego rówieśnicy za wszelką cenę próbują się upodobnić do swoich idoli z gazet bądź filmów, Jarek po prostu robi swoje. Jego triki też nie są szablonowe, jak przystało na typowego warszawiaka. Lubi on zrobić np. pressure flipa, nie boi się trochę eksperymentować, ale jego „normalne" triki takie jak 360 flip czy fs. flip budzą powszechny podziw. Jarek rozwija się bardzo szybko, postęp w trikach widać z dnia na dzień. W tym roku odwiedzi kilka polskich i zagranicznych miejscówek. Często można go zobaczyć z warszawskim outsiderem Kulczynem, z którym czasem przyjeżdża pod Witosa. (gn)

frontside flip / foto Gabor Nagy

PJ
the comfort is_the best part

Pool riders

Od czasu ukazania się legendarnego już filmu dokumentalnego „Dogtown and Z-boys" wielką popularnością wśród skateboarderów zaczęła się cieszyć jazda w pustych basenach. Ta dyscyplina, będąca korzeniami skateboardingu, znów święci wielkie triumfy na całym świecie. Powrót popularności pooli rozpoczął się w USA, jednak szybko przeniknął za granicę i w tej chwili jedynym krajem, gdzie nie uprawia się jazdy w basenach, jest Polska

tekst tOi Oi

Skate'owanie w poolach zawsze zarezerwowane było tylko dla największych hardcore'owców. Najprostszy trik na streecie czy rampie, kiedy zostaje przeniesiony do pustego basenu, staje się od razu numerem prawie nie do zrobienia. Wszystko to za sprawą ogromnych kątów i długiego pionu, które często znajdują się w takich konstrukcjach.

Jak wiadomo, baseny w Stanach Zjednoczonych nie były budowane dla skaterów, tylko dla tzw. „średniej klasy", więc profil podgięcia nie jest idealny dla deskorolki. Jednak to właśnie jest najlepsza rzecz w jeździe basenowej, jak twierdzą ci, którzy ją uprawiają. Jeśli ktoś chce, żeby było idealnie, może pojeździć sobie na drewnianej rampie, gdzie wszystko zostało pomyślane tak, aby skater miał jak największy komfort jazdy.

Hardcore'owi poolowcy wolą trudniejsze przeszkody, tylko wtedy ich jazda ma sens. Baseny są dla nich naturalnym środowiskiem, tak jak woda dla ryby. Według nich, puste zbiorniki wodne są miejscem, gdzie czuć całą historię deskorolki i tam chcą się dalej rozwijać.

Jak wspomniałem, jeszcze niedawno pool riding nie był tak popularny. Uprawiała go jedynie garstka fanatyków, wywodząca się w większości z czasów, gdy baseny były główną rozrywką skateboarderów. Te podstarzałe skejciki, podobnie jak dwadzieścia lat temu, dalej przeszukiwali tereny w poszukiwaniu pustych basenów kąpielowych. Tacy ludzie jak np. Steve Alba (Salba), żywa legenda (do tego niezmiennie przez cały czas pozostająca w głębokim undergroundzie), są przykładem, że jeździć można przez całe życie.

Jedynym medium, które przez cały czas pokazywało wyczyny tych ludzi, był „Thrasher Magazine". Pismo to zawsze było wierne korzeniom deskorolki, takim jak punk rock i jazda w poolach. Mimo że świat raczej się tym tematem nie interesował, panowie z „Thrashera" z Jakiem Phelpsem na czele konsekwentnie promowali tę zapomnianą dziedzinę deskorolki. Po wielu latach przypominających walenie głową o mur, wreszcie po pamiętnym i wspomnianym już przeze mnie wcześniej „Dogtown and Z-Boys" świat nagle oszalał na punkcie old schoolu. Nagle wszystko co stare zaczęło być modne, wróciły takie rzeczy jak surfingowy styl jazdy, jazda będąc bardzo nisko na desce (niemalże leżąc), długie włosy i bandany, old schoolowe triki bez flipów, a nawet ollie.

Powróciła też wymyślona przez bohaterów filmu „Dogtown..." (Tony'ego Alvę, Stacy Peraltę i Jaya Adamsa) jazda w pustych basenach. Od razu pojawiło się wielu młodych adeptów tej sztuki, a starzy i niedoceniani nagle stali się najbardziej szanowani i niemalże czczeni. Ci, o których traktował film, wcześniej praktycznie nikomu nieznani (poza kilkoma dziennikarzami), mimo swojego wieku stali się właścicielami promodeli w wielu firmach. Nic dziwnego, że powstał też później fabularny film (już nie tak fajny) opowiadający o losach trójki skaterów z getta Dogtown.

Dzisiejsi kontynuatorzy tej drogi, choć z reguły wyglądem bardzo przypominają swoich mentorów, sztukę tę przesunęli o kilka poziomów do góry. W tej chwili poziom jazdy w poolach jest już tak samo wyśrubowany jak na streecie. Triki, jakie się tam widzi, powalają, wystarczy spojrzeć chociażby na zawody Quiksilvera czy pierwszy lepszy film deskorokowy. Oto kilka nazwisk, które warto pamiętać.

Tony Trujillo aka TNT. Ten młody człowiek jest dla wielu synonimem skatera dwudziestego pierwszego wieku. Ogromny talent i idealnie pasujący do basenów miękki styl jazdy szybko uczynił z niego największą „gwiazdę" poolów. Żeby było śmieszniej, jeździ on dla firmy Anti hero i na tourach dalej śpi w namiocie w środku lasu, za nic mając światową popularność i zdobyte na zawodach trofea.

John Cardiel. Ten pan jest nieco starszy niż Tony i jest on jego „nauczycielem" i starszym kolegą. Cardiel uosabiał zawsze ogromną determinację i wolę walki, nie istniało dla niego żadne niebezpieczeństwo, on po prostu je niszczył na swojej drodze. Piszę o nim w czasie przeszłym, gdyż jakiś czas temu doznał on strasznej kontuzji kręgosłupa, i na razie nie wiadomo, co dalej będzie z jego jazdą. Jednak na pewno pozostanie on na zawsze legendą. Jeździł w basenach cały czas, mimo że nie były wcześniej modne. Pozostawał przy swojej zajawce i dlatego jest jednym z najulubieńszych deskorolkowców „Thrashera".

Chet Childress. Następny człowiek bardzo niedoceniany wcześniej z racji na swój styl jazdy. Kiedy profilowane kąty nie były w modzie, był on kojarzony jako „jeszcze jeden skateparkowiec", teraz jest mistrzem poolowego copingu i posiadaczem niezłego stylu.

Alex Chalmers. Lotnik z Kanady, który całe dnie spędza jeżdżąc w poolu w rodzinnym Vancouver. Jest znany ze swoich nadludzkich wręcz umiejętności fruwania. Pamiętam, jak w jednym z filmów wybijając się z ogromnego basenu przeskoczył wysoki kibel typu „toi toi".

Jak wspomniałem wcześniej, jazda w basenach przeniknęła i do Europy. Na naszym Starym Kontynencie również mamy kilku bardzo dobrych pool riderów. Pierwszym z nich jest Bask Javier Mendizabal, który miał już na swoim koncie okładki amerykańskich magazynów i setki zdemolowanych basenów. Drugim autorytetem w tej dziedzinie jest Hiszpan Alain Goikoetxea, jak niektórzy twierdzą – najwszechstronniejszy rider na świecie.

Miejmy nadzieję, że zjawisko to dotrze również i do naszego kraju. Wielką przeszkodą jest na pewno brak tego typu obiektów do jazdy, ale dla chcącego nic trudnego. Doświadczenie kolegów z Malmo w Szwecji dowodzi, że można coś takiego zbudować samemu, potrzebne są tylko szczere chęci.

alex giraud
ADRESY SKLEPÓW
WWW.PMSPORT.COM.PL
quiksilver
ck out the new
quiksilver.com

Tomek Szymański

Tomek Szymański zwany Popkiem jest przedstawicielem nowej generacji warszawskiego skateboardingu. Najczęściej można go spotkać na ursynowskiej szkole, gdzie wspólnie z osiedlową ekipą całymi dniami katują swój ulubiony spot

tekst Toi Oi

Chłopaki nie ograniczają się tylko do jazdy, a że mają głowy pełne pomysłów i niedaleko znajduje się miejsce, gdzie można znaleźć wiele przydatnych rzeczy, na boisku szkolnym cały czas przybywa nowych konstrukcji. Dzięki temu nie trudno tam o szybki postęp w jeździe, a jeśli dodamy do tego naturalne zdolności otrzymamy właśnie to, co reprezentuje Popek.

Zaznaczmy od razu, że jeżeli nie zna się dobrze Tomka i nie jeździ się z nim często, ciężko jest stwierdzić, na jakim jest poziomie. Większość czasu spędza on bowiem na tzw. „obijaniu się" – jeździ sobie powoli dookoła miejscówki, siedzi na murku, chilluje. Wydawać się może, że tak naprawdę nic mu się chce i najchętniej poszedłby spać. Zmiana nadchodzi, gdy raz na jakiś czas w głowie Popka zaświta pomysł na trik. Wtedy zamienia się on w rippera z filmów. Kiedy znajdzie miejscówkę, która przypadnie mu do gustu, wtedy nic innego się nie liczy poza zrobieniem triku. Kończy wtedy wylegiwanie się i mówi: „dobra, robimy". Byłem już świadkiem sytuacji, gdy na co dzień powolny i flegmatyczny Tomek szybciutko zaliczał dużą hubbę pod Uniwersusem czy duży double set. Czasem zmagania z miejscówką trwają dłużej, ale wtedy nic oprócz złamanej deski nie jest w stanie go odwieść od wyznaczonego celu. Nie istnieje dla niego zmęczenie ani ból po upadkach. Warunkiem jest tylko to, aby miejscówka mu się spodobała.

Popek jest typowym newschoolowym technikiem, który nie ogranicza się do małych murków, choć na nich jeździ najczęściej. Jazdę Tomka dostrzegła firma Syndrom, która wzięła go do swojego teamu Flow. W tym roku nasz bohater będzie dosyć zajęty, nagrywa swój przejazd do Info, wybiera się na wyjazd z teamem po Polsce i ma zamiar dobrze się bawić na deskorolce. Nic dziwnego, że nie ma za bardzo czasu na naukę...

Emerica

"Wild in the street"

Skateboarding jest ulicznym sportem i tylko w takiej scenerii ci, którzy go uprawiają, czują się najlepiej. Przełomo momenty w historii deskorolki mają miejsce właśnie na ulicznych miejscówkach. To właśnie tu, a nie na wielkich arenach, powstają legendy i kształtują się nowe prądy

tekst Pc skate

Niestety, wzorem z innych dyscyplin coraz częściej telewizja kształtuje wizerunek skateboardingu jako kolejnego ekstremalnego sportu. Deskorolkowcy obok „gwiazd" surfingu, wrotkarstwa czy wspinaczki górskiej rywalizują o cenne trofea na rozmaitych imprezach w stylu Extreme Games. Jest to jak najbardziej w porządku, jeśli ich celem jest tylko poszerzenie grona zajawkowiczów, lecz ma to swoją złą stronę. Współczesne dzieciaki otoczone rzeczami typu gry Tony Hawk Pro Skater, zawody Extreme Games czy ESPN albo skoki Danny'ego Waya przez mur chiński mogą mieć nieco wypaczone poglądy na temat deskorolki. Często nie zdają sobie sprawy, że u podstaw skateboardingu nie leżą popisy ku uciesze setek par oczu i złote medale mistrzostw świata, tylko dobra zabawa z kumplami.

Na szczęście istnieje jeszcze na świecie kilka inicjatyw, które podtrzymują wśród deskorolkowców stare, dobre tradycje. Bez nich jazda na desce podzieliłaby los jej podobnych, wypranych już z jakiejkolwiek autentyczności dyscyplin. Jednym z takich pięknych wydarzeń jest seria imprez pod nazwą „Wild in the street". Odbywają się one każdorazowo w innym mieście (do tej pory mieliśmy m.in. „Tortilla jam" w Barcelonie czy „Tzatziki jam" w Atenach). Idea „Wild in the street" jest prosta: skaterzy spotykają się na kilku miejskich spotach, przy czym zawsze towarzyszą im lokalni przewodnicy, którzy dbają o dobry wybór miejscówek. Miejsca te m... bezpieczne dla przechodniów i wazne jest to ... były one na liście często odwiedzanych prze... cję. Imprezy te mają dodatkowy dreszczyk em... są całkowicie nielegalne, tak samo jak jazda ... cy. Skaterzy muszą uważać tak jak podczas ... nych sesji, aby nie skończyło się to manda... wizytą na komisariacie.

„Wild in the street" ma jednoczyć wszyst... skorolkowców i udowodnić im, że to oni two... teboarding, a nie telewizyjne stacje, i tylko ... własnej pomysłowości i inwencji zależec... przebieg imprezy. Nie są to zawody, to po... święto deskorolki w mieście.

BASE SUMMER CAMP
SNOWBOARD / FREE SKI

NAJLEPSZY SUMMER CAMP W EUROPIE
W CENIE WYJAZDU SZKOLENIE FREESTYLE (SNOWBOARD / FREE SKI)
PROFESJONALNI INSTRUKTORZY FREESTYLE
CODZIENNE JAM SESSION W SNOWPARKU Z MEGA NAGRODAMI
ZAWODY „COALITION CONTEST" FREESTYLE
VIDEOFILMOWANIE TRICKÓW I ICH CODZIENNA ANALIZA
TESTY SPRZĘTU FREESTYLE – KOLEKCJE 2006/07
DO DYSPOZYCJI „CHILL OUT ARENA"
MIEJSCE TRENINGU MIĘDZYNARODOWYCH TEAMÓW
SPRAWDZONA MIEJSCÓWKA FREESTYLE'OWA

ZERO GRAVI

CENA
1120 PLN

SÖLDEN
30.06 - 09.07.20

SNOWBOARD W LIPCU!
ZERO GRAVITY | TOUR OPERA
REZERWACJE I ZAPISY ON

WWW.ZEROGRAVIT
INFOLINIA: +48 (22) 648
E-MAIL: TRAVEL@ZEROGRAVIT

PUNKT SPRZED
UL. JANA ROSOŁA
WARSZ

JEFF "OX" KARGOLA

The Chino

OSIRIS SHOES

Dystrybucja ALTEX
tel:(061) 816 34 00
fax:(061) 816 34 08
e-mail: info@altexdist.com

OSIRIS Polish Team: Jacek Pawłowski (SK8) Kamil Piotrowski (SK8) Karol Furmańczyk (SK8) Janusz Pietruczuk (BMX) Wojtek Pająk (SNOW)

GARAŻ tour

Najwięcej materiału do filmów deskorolkowych nagrywa się na wyjazdach. Wtedy to wszyscy jeżdżą jak zaczarowani, codziennie widzi się nowe spoty, które aż proszą się o wykorzystanie. Dlatego właśnie żeby zakończyć nagrywanie trzeciej części „Garażu", cała zainteresowana tym ekipa pojechała do Berlina...

tekst Pc skate
foto Gabor Nagy

Wiosna sprawia, że w naszym pięknym kraju odżywa skateboarding na ulicach. Wtedy to po zimie spędzonej w różnorakich, zamkniętych pomieszczeniach skaterzy wydostają się na powierzchnię, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i z wielką ochotą przystąpić do katowania ulicznych przeszkód. Ochota do jazdy jest tym większa, im więcej jest nowych miejscówek do eksploatowania. Dlatego twórcy filmu „Garaż" wspólnie z D.C. wyszli tym oczekiwaniom naprzeciw i zorganizowali tygodniowy wypad do stolicy naszych zachodnich sąsiadów. Celem wyprawy były oczywiście nagrywki do trzeciej części filmu i świetna zabawa w szampańskich nastrojach. Jeśli chodzi o pierwszy punkt programu, został on spełniony, niestety jednak czasem zapominano o drugim i często nagrywanie przypominało prawdziwą mękę, choć jak się teraz na to patrzy, wywołuje to już tylko uśmiech zadowolenia z nakręconego efektu.

Do wyjazdu zaproszeni zostali skateboarderzy, którzy wystąpią w filmie: Tomek Goławski, Tadeusz Szymański, Krzysiek Jurkowski, Kuba Bączkowski, Tomek Szkiela i gościnnie – wspierający mentalnie i fizycznie swoich kolegów – Tomek Kotrych. Taki skład wyprawy zapewniał jazdę na bardzo wysokim poziomie. Do Berlina jechali na tydzień, nie było więc stresu, że „zaraz musimy wracać do domu", można było wszystko dokładnie sobie zaplanować i później to wykonać. Podróż do stolicy Niemiec upłynęła w sielskiej atmosferze, jaka panowała w wynajętym busie. Na razie nie popsuł jej nawet kierowca, z którym potem toczyły się prawdziwe wojny, kiedy wszyscy byli zajarani i myśleli tylko i wyłącznie o jeździe.

Pierwszego dnia był plan, żeby rozjeździć się na znanych już przez nas miejscówkach, tzw. „podstawowych", takich jak Baustelle, Muzeum czy Filharmonia. Tam niestety spotkaliśmy grupkę niemieckich lokali, którzy choć byli bardzo mili, pozostawili już na cały czas uraz na naszej psychice. Okazało się, że jeżdżą oni jak szatany i na rozgrzewkę robią numery, o jakich Polakom się nie śniło. Na szczęście, następne dni nie miały już żadnych psychologiczno-depresyjnych wątków. Polaczki z dnia na dzień się „rozjeżdżali" i było lepiej. Bardzo w tym pomagały coraz to nowsze spoty wynajdywane przez naszego nieocenionego przewodnika, Gabora, który ma Berlin i jego zabudowę w małym palcu. Nie ma co mówić, Berlin jest idealny na deskorolkę. Po pierwsze, ma równe ulice i prawie

GARAŻ tour

wszędzie można się dostać na desce, a po drugie, jest w ciągłej przebudowie, dlatego każdego dnia powstają nowe miejsca do jazdy. Nie są to tylko typowe miejskie przeszkody, takie jak schody czy proste murki, ale pełno tam jest dziwnych spotów, jak wykręcone rzeźby, murki stojące pod różnymi kątami, naturalne banki, quartery. Nie mogliśmy nie odwiedzić polskiej miejscówki w Berlinie, czyli Polen denkmal. Pomnik ten jest pamiątką po wydarzeniach pokazanych w serialu „Czterej pancerni i pies". Na znajdującym się tam murze widnieje napis: „Za wolność naszą i waszą".

Swojsko brzmiące napisy zdopingowały naszych riderów, bo tego dnia spot ten był miejscem triumfu Polaków. Na przypominającej trochę Witosa miejscówce Krzysiek Jurkowski i Kuba Bączkowski zaprezentowali się z jak najlepszej strony. Krzysiek oczywiście skakał ze schodów, a Kuba robił manuale. Z wartych wspomnienia spotów były jeszcze tzw. „lustra", czyli dwa lśniące banki złączone ze sobą pod kątem tworząc razem róg piramidy idealny do różnego rodzaju flipów. Tam Polaczki również wykazali się umiejętnością jazdy, w czym nie przeszkodziła im nawet interwencja policji i prośby niemieckiego zwolennika ciszy i spokoju.

W Berlinie mieliśmy też dzień skakania ze schodów. Rzadko to się zdarza na wyjazdach z polskimi skaterami, jednak to co wydarzyło się w Berlinie, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Był to zdaje się przedostatni dzień pobytu i wtedy nagle padł pomysł, żeby pójść na wielkie trzy kloce, które znaleźliśmy kilka dni wcześniej. Miejscówce trudności dodawał szeroki pas kostki brukowej znajdujący się za schodami, który też trzeba było przeskoczyć. Trudu skoczenia z tych kolosów podjęli się Guczek i Krzysiek Jurkowski. Obaj zrobili po swoim triku, obyło się bez żadnych dziwnych historii i dlatego z zadowolonymi minami pojechaliśmy dalej. A za chwilę natknęliśmy się na bardzo przyjemne gapy o wielkości przypominającej „witosową siódemkę". Tam rozpętał się prawdziwy festiwal trików – każdy chciał coś sobie nagrać, bo spot był wręcz perfekcyjny – odjazd i dojazd były bez zarzutu. Wszystko to obejrzycie sobie w trzeciej części „Garażu".

Jak wszystko co dobre i ten tour musiał się kiedyś skończyć, choć akurat ten zakończył się świetną sesją pod Filharmonią i zajebistymi trikami Kuby Bączkowskiego i Gutka. Żeby jednak nie było za dobrze, zaraz po tym doszło do wielkiej, wiszącej przez cały wyjazd w powietrzu wojny z kierowcą. Cała powrotna droga upłynęła nam na kłótniach z nim, w trakcie których padało wiele słów i gróźb, z oddaniem nas na policję włącznie. Na szczęście wszystko skończyło się polubownie a cała wyprawa szczęśliwie dotarła do domu. To był bardzo męczący ale i owocny wyjazd.

STEP TO GAME!

PODIUM.PL

PODIUM
Footwear and apparel

MTB superliga

rowerowe szaleństwo

Jak wyglądają imprezy rowerowe w Polsce? Pytając o to poważną instytucję, jaką jest Polski Związek Kolarski, usłyszymy mnóstwo ofert dla golonogów. Na szarym końcu znajdą się mistrzostwa Polski w downhillu (DH) i four crossie (4X). Pytając znajomych, dowiemy się o całej masie bardzo fajnych imprez rozproszonych po całej Polsce. Nie mają one żadnej rangi poza mistrzostwem własnego podwórka, ale są bardzo klimatyczne. Do tego gromadzą więcej chętnych niż Mistrzostwa czy Puchar Polski. Z myślą o takich imprezach powstała Superliga.

tekst Rudy
foto Michał „Szufla" Zdybel

Superliga zjednoczyła pod swym szyldem kilka najfajniejszych imprez z północy kraju. Po roku istnienia stała się już całkiem poważnym cyklem. Od razu skierowana była do amatorów i to oni przede wszystkim byli brani pod uwagę w ostatecznym rozliczeniu. W zeszłym roku, drugim działania cyklu, nie odbył się Puchar Polski w DH i 4X. Wobec braku tak poważnych imprez zawodnikom pozostała jedynie Superliga. Zrozumieli to też sponsorzy, którzy hojną ręką rzucili nagrody. Kalendarz 2005 był już mocno rozrośnięty, było w nim aż 7 lokalizacji, a tam aż 8 edycji! Tradycyjnym miejscem początku był Nocny Toruń, jedyny w Polsce wyścig i konkurs skoków przy sztucznym świetle. Tu też pobito rekord frekwencji, było 150 osób, a gdyby starczyło numerów, zapisałoby się jeszcze więcej. Wtedy też zadebiutował zrobiony specjalnie na potrzeby cyklu sprzęt startowy. Jeden z toruńskich zawodników, Łukasz Łuczywek, zrobił własnej konstrukcji fotokomórkę oraz pneumatyczną bramkę startową z sygnalizacją świetlną i głosową. Jest to jak do tej pory jedyny taki zestaw w Polsce.

Kolejny był „Weekend Extremalny" w Gdyni. Pierwszego dnia rozegrano 4X na najładniej chyba położonym u nas torze „Lodowiec". Tylko tu można zrobić zdjęcie czterem lecącym w powietrzu zawodnikom na tle stojących na redzie tankowców. Drugi dzień to downhill po gdyńskich wzgórzach morenowych. Całość zakończyło pamiętne afterparty, gdzie podczas losowania nagrodę dostał chyba każdy zawodnik. I tu należy się wyjaśnienie. Nagrody (kasa!) dawane są za 4 pierwsze miejsca. Potem nagrody rzeczowe do 10-12 miejsca. Resztę demokratycznie rozlosowuje się pośród wszystkich uczestników. Dodatkowo obowiązują „głupie kategorie". Są to nagrody za „najbardziej złomiarski sprzęt", „gleba zawodów", „najgorszy czas". Duży prestiż ma też „koszulka frajera". Ta nagroda, w formie fajnego t-shirtu, przyznawana jest za sprowokowanie jakiejś śmiesznej sytuacji na trasie czy np. najgorszy czas połączony z dyskwalifikacją. A były takie przypadki! Zawsze do rozdania jest rama rowerowa. Dostaje ją zawodnik na najgorszym rowerze, któremu ewidentnie jest ona potrzebna. Często rama jest nagrodą w „złomiarskim sprzęcie". Rozdania następują wieczorem po zawodach w lokalu gastronomicznym. Ma to sprzyjać integracji i likwidować postawy typu „biorę nagrody i do domu". After musi być!

Kolejna edycja DH odbyła się w Bydgoszczy, następny był DH Elbląg. Te lokalizacje wzbudzały od początku uśmiechy sceptyków. Downhill nad morzem? Downhill w Bydgoszczy? Bzdura! Okazuję się, że można stworzyć krótką a treściwą trasę DH nawet w nizinnym mieście. Należy zebrać ekipę i mieć dobre chęci. Trasy te mają wiele sztucznych przeszkód. Są dużo łatwiejsze od górskich i można je spokojnie przejechać na rowerze z przednim tylko amortyzatorem. W ostatni weekend wakacji w Białymstoku Superliga była przedsmakiem do Mistrzostw Polski, które miały się odbyć następnego dnia. Okazało się, że obie te imprezy gromadzą zupełnie różne grono zawodników. Cykl zakończył się w olsztyńskim Wąwozie. Wydawałoby się, że tam też gór brak, a jednak można. To właśnie na afterku po pierwszych

olsztyńskich zawodach powstała idea Superligi. Wymyślita je grupa zawodników i organizatorów, a nie agencja reklamowa. To właśnie okazało się kluczem do sukcesu!

Na uwagę zasługuje szczególnie podsumowanie cyklu i koncert Kangaros. Nagradzano tam wszystkich na koniec cyklu. Wtedy to pierwszy z amatorów, a zarazem zwycięzca Superligi, Tomek Kućkowski dostał ramę. Oświadczył, że jest sponsorowany i oddał ją drugiemu w klasyfikacji generalnej. Obrazuje to dobitnie, że zawodnicy ścigają się tu dla zabawy, a nie by wygrać kolejną ramę czy inny gadżet. Jeżdżący stale na Superligę stanowią już bardzo zżytą ekipę. Świadczy o tym fakt z ostatniej imprezy w Elblągu. Tam po udanej balandze zepsuło się kilka krzeseł. Wszyscy zgodnie zrzucali się „na szkodę", nawet ci, którzy w tym czasie spali.

W tym roku Superliga stała się jedynym poważnym cyklem dla kolarzy grawitacyjnych. Przybyło sponsorów i poważnych patronów medialnych. Zawodnicy Superligi startują obecnie w Pucharze Świata, a także Mistrzostwach Świata i Europy. W miastach, gdzie odbywają się eliminacje, lawinowo wzrasta ilość jeżdżących dzieciaków, z których kiedyś wyrosną zawodnicy. Co ciekawe, znane z Superligi „głupawe kategorie" zaczęły już żyć własnym życiem na innych zawodach. W tym roku przewidziano 10 edycji, z których 3 już się odbyły. Zaczęło się od praktycznie nierozgrywanego współcześnie Snow 4X na Górze Kamieńsk. Edycje w tym roku są tak ułożone, by każda była w innym województwie. Ciekawie zapowiada się np. 4X w Rybniku. Na tym torze pierwsze zadanie to przeskoczenie imprezowni. Przelatuje się nad dachem bunkra, w którym następnie odbywa się after party i rozdanie nagród. Inna edycja, w Szczawnie-Zdroju, odbędzie się na torze z Mistrzostw Europy. Ale tak naprawdę nie o tory tu chodzi, ani o punkty, ani o nagrody. Chodzi o to, żeby się spotkać, razem pojeździć i wymienić poglądy. Powszechnie wiadomo, że niektórzy zawodnicy startują dla afterków. Jest też grupa kibiców kochających „pościganiowe" balangi. Jeśli ktoś chciałby zobaczyć zawody rowerowe, powinien zacząć od Superligi. Tylko potem ciężko mu będzie przełknąć te oficjalne imprezy...

...JEŻ NAJ-
CZĘŚCIEJ POLUJE
NOCĄ. JEGO KUPEM
BYWAJĄ DROBNE OWA
DY, NIE GARDZI TAKŻE
TŁUSTYMI DŻDŻOW-
NICAMI...
JA
DI ROLĘ
I
JEŻ JERZY
tkt: Rafał Skarżycki
gfx: Tomasz Lew Leśniak
WTEM!
DRRRRING
HALO
JERZY? MUSISZ MI POMÓC
ALE KTO MÓWI?
TU JUNGERZA
MAM KŁOPOTY
TYLKO TY MO-
ŻESZ MI PO-
MÓC!
PROFE-
SOR? CO SIĘ
STAŁO?
TELEFON
TELEFON
ZDARZYŁ SIĘ TRAGICZNY W SKUTKACH BŁĄD LEKARSKI I MAM TERAZ NA GŁO-
WIE.
IZBĘ LEKARSKĄ ?
GORZEJ, MAFIĘ.
JAK TO?
BO WIDZISZ, PODJĄŁEM SIĘ PEWNEJ OPE-
RACJI I...

...TO BYŁ POCZĄTEK MOICH KŁOPOTÓW...
I PO OPERACJI MA BYĆ NIE DO POZNANIA - ROZUMIEMY SIĘ, DOKTORKU ?
KAINE PROBLEM
...SAM ZABIEG PRZEBIEGŁ ZASADNICZO DOBRZE...
DOKTORKU, TO NORMALNIE, ŻE TO SIĘ ZROBIŁO PŁASKIE?
SCHAISE!
..BYŁEM PRZEKONANY, ŻE WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE
ZA DWA TYGODNIE MOŻNA ZDJĄĆ BANDAŻE
NO I GIT! A W RAZIE CZEGO SIĘ NIE ZNAMY, JASNE DOKTORKU ?
..NIESTETY, OKAZAŁO SIĘ DOKŁADNIE NA ODWRÓT...
JESTEŚ JUŻ TRUPEM, JUNGEFRAU!!!
TO PAN? ALE CO SIĘ STAŁO? COŚ POSZŁO NIE TAK?
NIE TAK?!
KURWA, JAJA SOBIE ROBISZ, DOKTORKU?! ZROBIŁEŚ Z NIEGO BABĘ!!! I NIBY JAK ROMAN MA TERAZ ZARZĄDZAĆ FILIĄ RODZINY W RUMUNII, CO, KURWA!?!
SAM WIĘC ROZUMIESZ, ŻE MOCNO WDEPNĄŁEM... NIE WIEM CO ROBIĆ... ONI MNIE ZABIJĄ.
NIECH PAN NATYCHMIAST DO MNIE PRZYJEDZIE! COŚ WYMYŚLIMY!

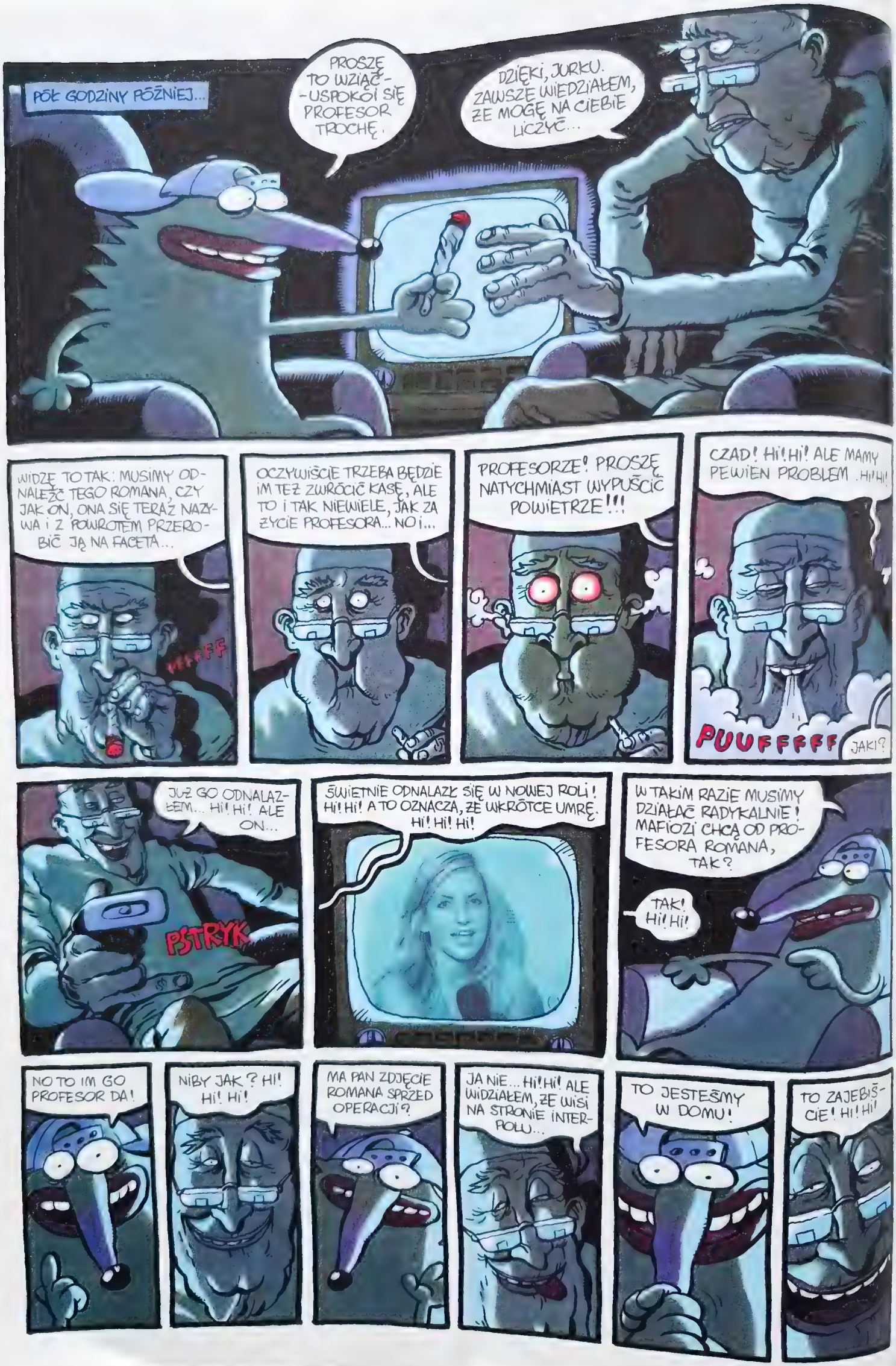
PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ...
PROSZĘ TO WZIĄĆ--USPOKÓI SIĘ PROFESOR TROCHĘ.
DZIĘKI, JURKU. ZAWSZE WIEDZIAŁEM, ŻE MOGĘ NA CIEBIE LICZYĆ...
WIDZĘ TO TAK: MUSIMY ODNALEŹĆ TEGO ROMANA, CZY JAK ON, ONA SIĘ TERAZ NAZYWA i Z POWROTEM PRZEROBIĆ JĄ NA FACETA...
PFFFFF
OCZYWIŚCIE TRZEBA BĘDZIE IM TEŻ ZWRÓCIĆ KASĘ, ALE TO I TAK NIEWIELE, JAK ZA ŻYCIE PROFESORA... NO i...
PROFESORZE! PROSZĘ NATYCHMIAST WYPUŚCIĆ POWIETRZE!!!
CZAD! Hi! Hi! ALE MAMY PEWIEN PROBLEM. Hi! Hi!
PUUFFFFF
JAKI?
JUŻ GO ODNALAZŁEM... Hi! Hi! ALE ON...
PSTRYK
ŚWIETNIE ODNALAZŁ SIĘ W NOWEJ ROLI! Hi! Hi! A TO OZNACZA, ŻE WKRÓTCE UMRĘ. Hi! Hi! Hi!
W TAKIM RAZIE MUSIMY DZIAŁAĆ RADYKALNIE! MAFIOZI CHCĄ OD PROFESORA ROMANA, TAK?
TAK! Hi! Hi!
NO TO IM GO PROFESOR DA!
NIBY JAK? Hi! Hi! Hi!
MA PAN ZDJĘCIE ROMANA SPRZED OPERACJI?
JA NIE... Hi! Hi! ALE WIDZIAŁEM, ŻE WISI NA STRONIE INTERPOLU...
TO JESTEŚMY W DOMU!
TO ZAJEBIŚCIE! Hi! Hi!

WYBÓR ODPOWIEDNIEGO KANDYDATA BYŁ TRUDNY, ALE KONIEC KOŃCÓW UDAŁO SIĘ WYTYPOWAĆ KOGOŚ O ODPOWIEDNIM ILORAZIE INTELIGENCJI (IQ OK. 56). NIEOCZEKIWANIE NOWY ROMAN OKAZAŁ SIĘ NAWET LEPSZY OD ORYGINAŁU, KTÓRY TYMCZASEM ROBIŁ OSZAŁAMIAJĄCĄ KARIERĘ W MEDIACH (ŁĄCZNIE Z PICTORIALEM W PIŚMIE DLA MĘŻCZYZN), DZIĘKI CZEMU VON JUNGEFRAU ZACHOWAŁ ŻYCIE, JERZY ZYSKAŁ DOZGONNĄ WDZIĘCZNOŚĆ PROFESORA, A FILIA RODZINY W RUMUNII GODNEGO SZEFA...

ETNIES
STEPPIN' IT UP IN EUROPE

Zgodnie z kilkumiesięczną już tradycją w nowym numerze „Kingpina" znalazłem nowe europejskie video. Niestety, tym razem zamiast pełnometrażowego filmu znalazłem ledwie kilkuminutowy montaż streetowych tricków. Jak dla mnie, te kilkanaście sekund poświęconych na jednego ridera to stanowczo za mało, można to było zrobić o wiele lepiej. Nie pomogła nawet kompletna relacja ze wszystkich edycji Etnies European Open z ubiegłego roku (pewnie zdziwi was fakt, że są to dokładnie te same filmiki, co kilka miesięcy temu w „Ślizgu"). Cóż, widać nie zawsze w Kingpinie będą rzeczy pokroju filmu Cliche czy Alis. Raz na jakiś czas trafi się szajs, a mam nieodparte wrażenie, że taki właśnie szajs kupiłem niedawno w Empiku... tOi Oi

FAITH SKATE SUPPLY
REASON TO BELIEVE

Nazwa sugeruje, że jest to jakaś broszurka świadków Jehowy bądź coś podobnego. Tymczasem jest to nic innego, jak film deskorolkowy przedstawiający najbardziej znanych skateboarderów z południa Stanów Zjednoczonych. Film otwiera przejazd Jamesa Hardy'ego, małolata, który albo za nic ma swoje ciało, albo po prostu lubi je okaleczać w różny sposób. Przy okazji robi największe poręcze i gapy, zwróćcie uwagę na ogromny bs smith na kamiennej ścianie... Justin Holmes kontynuuje drogę obraną przez jego poprzednika, jednak dodaje do tego trochę jazdy na bankach i wybiciach. Jest to porcja przyzwoitej deskorolki. Zaraz po nim w podobnym stylu niszczy miejscówki Peter Karvonen. Później następuje sekcja przyjaciół, w której zobaczyć można m.in.: Reynoldsa, Ellingtona, Cole'a (36 inward heelflip!!!) czy Erniego Torresa. Do końca filmu pozostała jeszcze tylko trójka – rozpoczyna ją Pat Rakestraw, jeżdżący dla Black Label bardzo wszechstronny ripper. Nie spodziewajcie się jednak po nim nollie heelflipów z 16 schodów, tylko dziwnych i przyjemnych dla oka tricków na niecodziennych spotach. Chief, czyli Jamie Thomas, ma następny przejazd. Każdy jego dłuższy występ w filmie zasługuje na uwagę i tym razem też nie ma wyjątku. Jamie z typowego railowca stał się skaterem jeżdżącym także na bankach i wybiciach, co tylko dodało kolorytu jego części. Ostatni przejazd należy do króla ciemności Bena Gilleya, którego triki rozłożyły na łopatki wiele hardcore'owych poręczy. Jeździ on przy dźwiękach Dolly Parton, co może wydawać się dość odważnym krokiem, ale brzmi całkiem nieźle. Film polecam przede wszystkim fanom jazdy z dużą dawką adrenaliny... Pc skate

KAYO
IT'S OFFICIAL

Dystrybucja KAYO, zrzeszająca takie brandy jak Expedition, Organika czy DGK, jest obecnie tym dla skejtów „na rapie", czym Zero dla hardcore'owców. Tak jak nie wiem, co by się działo, każda produkcja Zero będzie kultowa dla wielbicieli raili i gapów, tak na pewno film KAYO jest wielkim wydarzeniem dla fanów Steviego i ekipy. Czy jednak rzeczywiście „It's official" zasługuje na miano wielkiego filcial" zasługuje na miano wielkiego filmu? W moim mniemaniu niestety nie, jednak przyznać muszę, że nigdy nie byłem fanem tego typu filmów i osąd mój jest bardzo nieobiektywny. Poziom jazdy na desce jest tu bardzo wysoki, wszystkie teamy występujące w filmie pokazały, że są bardzo mocne. Rządzą małolaci: Kenny Hoyle, Jack Curtuin, Kelly Hart, zawodzi za to na całej linii główny gracz DGK – Stevie Williams. Pan ex-„Lil' Stevie", dziś zarobiony playa, nie ma chyba już czasu na jazdę, co niestety widać. Przerwy na jazdę między kolejnymi reklamami Reeboka nie wystarczą, aby zachować stary progres. Nic nowego, ziom, nic nowego od Steviego...

Jego żbiczek Lenny Rivas, choć jeździ całkiem, całkiem, to widać, że bardzo wzoruje się na swoim holla mentorze. Większość trików komentuje jakimś raperskim powiedzonkiem, co w moim mniemaniu jest lepsze od całej serii „Scary Movie". Zostawmy więc lepiej tę gangsterską dwójkę i zajmijmy się teamami Expedition i Organika, bo one zasługują na większą uwagę. Chany i reszta nie próżnowali podczas nagrywania, to widać. Wyjątek to Kelly Hart, jednak jest usprawiedliwiony z powodu kontuzji. Ich część jest spoko nawet dla takiego malkontenta jak ja. Najlepiej, według mnie, wypadła sekcja Organiki. Jest tam najwięcej chillu i najmniej ciśnień. Chłopaki jeżdżą na totalnym luzie (niektórzy twierdzą nawet, że np. Quim Cardona zanadto się wyluzował), co dla mnie w jeździe jest bardzo istotne. Moim zdaniem, największym minusem filmu jest kompletny brak klimatu, mamy tam do czynienia wyłącznie z jazdą na desce, praktycznie nie ma ani chwili oddechu, co mnie bardzo znużyło. tOi Oi

KONTRAST 2

Pierwsza część filmu Kontrast podobała mi się bardzo, było to coś nowego na polskiej scenie deskorolkowej. Film był przygotowywany dość długo, materiału było pod dostatkiem i – co najważniejsze – miał on swój klimat. Jego następca, według mnie, został trochę zbyt szybko wydany, nie ma tam tyle materiału, co w jego poprzedniku. Widać za to progres, który poczynili panowie z Częstochowy i okolic (m.in. Paweł Sobić, Marcin Lara, Krzysiek Klamka czy Marcin Szymczyk) w stosunku do części pierwszej. Nie zdradzę wam trików, bo to musicie oceniać sami. Film mi się oglądało całkiem, całkiem, a to pewnie za sprawą tego, że miejscówek z tamtych rejonów Polski nie widać zbyt często na filmach. To, że warto to robić, pokazuje film Kontrast 2. Mam nadzieję, że następna produkcja gości z Częstochowy będzie jeszcze lepsza... Skate ziom

THRASHER
KING OF THE ROAD

Jak wiecie, „Thrasher" co roku organizuje przypominający grę komputerową wielki tour, na który jadą cztery drużyny (są to teamy amerykańskich firm). W roku 2005 były to Habitat, Flip, Element i triumfator z zeszłego roku Zero. Jak zwykle mieli oni do zaliczenia mnóstwo typowo deskorolkowych zadań, jak i śmiesznych, często bardzo wymyślnych celów. Nie będę ich przytaczał, gdyż zepsułbym wam skutecznie oglądanie. Powiem tylko, że filmik ten bardzo dobrze się ogląda, jest zrobiony z ogromnym jajem i jest świetną odskocznią od „poważnych superprodukcji" z samymi hammerami. Tutaj thrasherowcy postawili na dobrą zabawę i humor, choć oczywiście – jak to w Ameryce – nie obyło się bez mrożących krew w żyłach zadań. Warto też sprawdzić ten film, aby dowiedzieć się, ile wart jest Chris Cole dla Zero i ile zadań zaliczył. Powiem tylko, że czasem miałem wrażenie, że równie dobrze mógłby być on jednoosobowym teamem Zero. tOi Oi

WOODCAMP 2006
MIEJSCE: GOŁDAP (Mazury)
TERMINY: 01.07-14.07.2006 15.07-28.07.2006
29.07-11.08.2006 12.08-25.08.2006
SWIADCZENIA:
-ZAKWATEROWANIE w ośrodku turyst. (pokoje 3-, 4-, 5-, 6-os.)
-WYŻYWIENIE 3 x dziennie
-TRANSPORT autokarem
-UBEZPIECZENIE NW
-OPIEKA wychowawców-instruktorów
-PROGRAM m.in.: nauka/doskonalenie jazdy na deskorolce z instruktorem zawody deskorolkowe z nagrodami, seanse filmowe, muzyka w skateparku
CENA: od 1199 zł RABAT dla STAŁYCH KLIENTÓW!!
KONTAKT: Biuro Podróży "MOJE WAKACJE" tel. +48 22 826 61 26
tel./fax +48 22 826 37 68 e.mail:biuro@mojewakacje.pl
WOOD CAMP
OBÓZ DESKOROLKOWO-BMXOWY

adio
5
mentor
session
23-25
czerwiec/june
toruń
poland
najlepsi riderzy ze świata
best riders from all over the world
amsession.pl
Kingpin
WWW.MAYER.PL
SKATE & SNOWBOARD
gazeta
skateshop.pl
crème
EXTREME
INFO

recenzje gier

COMMANDOS STRIKE FORCE

EIDOS / CENEGA

Ta gra może przyprawić wielu o przyspieszone bicie serca, i niekoniecznie dlatego, że jest dobra (a jest), ale dlatego, że kolejna prawie kultowa gra strategiczna zamieniła się w skradankowego fps-a. Jak wiadomo, seria Commandos toczy się na frontach II wojny światowej. W Strike Force dostajemy (tylko) trzech bohaterów: szpiega, snajpera i ulubieńca wszystkich, czyli twardziela w zielonym berecie. I w zależności od typu misji wcielamy się w odpowiednią postać. Gra spodoba się wszystkim, którzy lubią odrobinę pokombinować, a nie tylko strzelać, choć bez wątpienia zwolennicy Komandosów jako strategii z widokiem z góry mogą się czuć lekko zawiedzeni. Ale i niech oni spróbują, to naprawdę całkiem udana... zmiana konwencji.

THE ELDER SCROLLS IV: OBLIVION

BETHESDA / CENEGA

No, co tu dużo mówić... Ta gra powala dosłownie wszystkim, począwszy od wymagań sprzętowych – choć to chyba jedyna rzecz na minus, ale skoro gra była robiona na Xboksa 360, to i wymagania ma wysokie. Gra jest prawie idealna, fabuła – jak to w erpegach – rozbudowana, ciekawy system rozwoju postaci, dobre zachowanie NPC-ów, choć trochę szwankuje system walki. Wszystko to pozwala (po wstępnym zapoznaniu się) na naprawdę wiele godzin gry. Świat gry – jak to w tej serii – jest ogromny (ktoś pamięta może drugą część serii Daggerfall? I nie chodzi mi o ilość niedorobek, a właśnie o ogrom świata...). Wielkim plusem jest tu też oczywiście grafika (stąd te wysokie wymagania, między innymi) – to już nawet nie jest najładniejszy rpg, ale jedna z lepszych pod tym względem gier fpp! Jeśli graliście w poprzednią część cyklu, Morrowinda, i podobał się wam, to tu jest znacznie lepiej. Jeśli nie graliście – to zgrajcie w Oblivion. Dość szybko zapomnicie o innych tytułach! Nie pozostaje więc nic innego, jak kupić grę i... upgrade'ować kompa.

OJCIEC CHRZESTNY: GRA

EA GAMES / EA POLSKA

O tej grze mówiło się dużo, zanim się pojawiła. Wiadomo: Coppola, film, Marlon Brando, włoska mafia – wszyscy wiemy, o co chodzi. Firma EA – nie ukrywajmy – porwała się na przeniesienie legendy na twardy dysk komputera. I jak jej wyszło? Prawdę mówiąc, nie najgorzej, ale rewelacji nie oczekujmy. Fabuła oczywiście nawiązuje do filmu, zaś gracz wciela się w szeregowego mafiosa, który powoli wspina się po szczebelkach „kariery". Jeśli ktoś lubi gry utrzymane w klimacie czeskiej Mafii czy nawet GTA, w Ojcu Chrzestnym się odnajdzie. Graficznie gra pozostawia jednak wiele do życzenia (dla posiadaczy słabszych kompów to raczej plus). Skoro już padł tytuł innej gry, mianowicie Mafii... Cóż, mimo iż Ojciec Chrzestny zdecydowanie złą grą nie jest – jest nawet całkiem dobrą – to mam jakieś takie dziwne wrażenie, że tamten tytuł, choć ma już kilka lat, może być i dziś bardziej atrakcyjny (i fabularnie, i graficznie!) od Ojca Chrzestnego. Ale wszystko sprowadza się do gustów. Jeśli macie na zbyciu 160 PLN (gra tania nie jest), to świat włoskiej mafii stoi przed wami otworem.

gad

newsy

Diablo III?

Choć od ukazania się drugiej części Diablo minęło... trochę czasu, to nadal ta gra ma wielu oddanych fanów. Fanów, którzy cały czas czekają, że być może Blizzard (twórca m.in. Diablo i World of Warcraft) zdecyduje się na stworzenie trzeciej części jednego z najpopularniejszych pecetowych erpegów. I być może jest coś na rzeczy, gdyż chodzą słuchy, jakoby na tegorocznych targach E3 w Los Angeles coś miało zostać ujawnione. Póki co, nic nie wiemy, ale za to wszyscy czekamy na jakieś konkrety.

WoW w kinach?

Czy World of Warcraft trafi na duży ekran? Być może taką niespodziankę szykuje wszystkim wspomniana już firma Blizzard. Wiadomość jest jeszcze niepotwierdzona, ale dziwne by było, gdyby Blizzard nie zdecydował się na sfilmowanie swego ogromnego hitu online'owego. Podobno realizacją miałaby się zająć wytwórnia Warner Bros. A wracając do WoW, to być może i posiadacze Xboksa 360 będą mogli się cieszyć z posiadania w swym pudełeczku tego zacnego MMORPG.

PS 3 nadchodzi...

...i to wielkimi krokami. Jak podała firma Sony, premiera jej najnowszej konsoli Playstation 3 nastąpi 11 listopada tego roku, oczywiście w Japonii. 17 listopada konsola ma trafić na rynek USA. PS 3 pojawi się w dwóch wersjach: z dyskiem o pojemności 20 GB oraz 60 GB (podobnie jak Xbox 360). Nas, graczy (nawet tych pecetowych), interesuje oczywiście najbardziej cena tego cacka. Otóż wersja z dyskiem 20 GB ma kosztować 449 dolarów, zaś w Europie 449 euro, wersja z dyskiem 60 GB – 549$ lub 599 euro. Co prawda nie jestem specjalnie mocny, jeśli chodzi o liczby, ale nijak nie wychodzi mi przeliczenie 449 dolarów na 449 eurasów, a już tym bardziej 549$ na 599 euro. Cóż, wiadomo, że Sony walczy z amerykańskim Xboksem, a nie europejskim... nie, w Europie nikt nie robi konsol. Nie ma więc co się dziwić dziwnym przelicznikom, tym bardziej, że podobnie było z pierwszym Xboksem na Starym Kontynencie.

360 też w Polsce

Do roku 2008 Microsoft chce zdobyć m.in. rynek Europy Wschodniej, a co za tym idzie w końcu sztandarowy produkt dla graczy firmy z Redmond trafi do rąk Polaków (najważniejszymi państwami na wschodzie mają być: Czechy, Polska, Rosja i Węgry). Jest to oczywiście związane z walką o pierwsze miejsce wśród konsol. Xbox oraz Xbox 360 sprzedają się świetnie w USA, natomiast w reszcie świata – nie mówiąc o Japonii – są sporo w tyle za swym największym rywalem, Playstation. Oprócz samego Xpudła oczekiwać możemy także usługi Xbox Live w ojczystym języku. Ciekawe tylko, jak Microsoft da sobie radę z wysokimi cenami (relatywnie) swych produktów. Raczej powszechnie wiadomo, że ani społeczeństwo polskie, ani rosyjskie do specjalnie bogatych nie należą.

Problemy Starforce'a

Mieliście okazję grać w grę z zabezpieczeniami antypirackimi firmy Starforce? I nie mieliście żadnych problemów ze swą legalną grą? Ostatnio Ubisoft zapowiedział, że zrezygnuje ze Starforce'a w najnowszej odsłonie Heroes of Might and Magic V. Nie ma się czemu dziwić, bo gry z tym zabezpieczeniem często nie działają poprawnie, zaś obejście blokad wcale nie jest takie trudne. Żadna to tajemnica, że istnieje w sieci dużo stron poświęconych temu, jak pozbyć się Starforce'a krok po kroku. Czyżby więc i firmy zaczynały z niego rezygnować... krok po kroku?

książki

Nazbierało się trochę nowości, więc w osobnej ramce krótki przegląd wartych uwagi książek – głównie fantasy, z jednym wyjątkiem.

Z ostatnich premier zwraca uwagę nowa powieść mistrzyni fantastyki Ursuli K. LeGuin. Wiekowa to już Dama, ale formę pisarską ma taką, że niejeden młody autor mógłby jej tylko pozazdrościć. „Dary" to utrzymana w poetyckim klimacie fantasy o świecie, w którym ludzie obdarzeni są niezwykłymi mocami (przypisanymi do rodów, a nie poszczególnych jednostek). Blisko klimatem „Ziemiomorza" i podobnie jak w tym legendarnym już cyklu ogromną rolę w kształtowaniu rzeczywistości odgrywa Słowo. Świetna książka, czekam na zapowiadany na ten rok sequel „Voices".

Kanadyjczyk Guy Gavriel Kay zachwycił niegdyś czytelników trylogią „Fionawarski Gobelin", a teraz możemy przeczytać jedną z jego późniejszych książek, „Lwy Al-Rassanu". To militarno-polityczno-miłosna fantasy mocno inspirowana realiami średniowiecznej Hiszpanii i legendą o Cydzie, utrzymana w dobrym tempie, ale nie dorównująca poziomem powieściom o Fionawarze. No, ale gdy ktoś postawił sobie poprzeczkę tak wysoko, to nic dziwnego.

Teraz szybki rzut oka na polskie premiery. „Zły brzeg", debiut Piotra Patykiewicza, to zastrzyk świeżości w polskiej literaturze popularnej. Udane połączenie przygodowej fantasy, słowiańskiej mitologii i horroru powinno się spodobać nawet wybrednym czytelnikom. I choc powieść od wad nie jest wolna, to daje przynajmniej nadzieję, że autor będzie rozwijać swoją twórczość w jak najlepszym kierunku (w stronę „dobrego brzegu"?).

„Ani słowa prawdy" Jacka Piekary to dla odmiany fantasy utrzymana w komediowej tonacji. Główny bohater, Arivald, to samozwańczy mag, który jednak nie dokształca się w sztuce czarodziejskiej jedynie dla własnych korzyści, ale stara się również pomagać w miarę możliwości ludziom. Co prawda przeszłość go prześladuje, a i zapamiętanie nawet prostych zaklęć sprawia mu czasem trudności, ale dzięki własnemu sprytowi wychodzi cało z wszelakich opresji. Fajna, bezpretensjonalna książka, przypominająca nieco powieści o Kedrigernie autorstwa Johna Morressy'ego.

Nie samą fantasy jednak człowiek żyje, więc oto na zakończenie książka autora, o którym wspominaliśmy kilka miesięcy temu. Chuck Palahniuk jest twórcą literackiego pierwowzoru filmu „Podziemny krąg". Książka ukazała się i u nas, ale nie cieszyła się zbyt wielką popularnością, także ze względu na słabe tłumaczenie. „Rozbitek" na szczęście trafił w ręce jednego z najlepszych tłumaczy w Polsce, Lecha Jęczmyka, a dzięki temu nie stracił nic ze swojej literackiej siły. Dziwaczna to powieść, momentami obrazoburcza, chwilami nieźle narkotyczna, ciężka, ale i zabawna. Odważna i oryginalna satyra na współczesne społeczeństwo. Mam nadzieję, że również kolejne tytuły Palahniuka (ten w oryginale ukazał się w 1999 roku) trafią wkrótce do Polski. **(jd)**

recenzje filmów

BRUDNE SPRAWY

reż. Chris Fisher

IMPERIAL

Krótki wycinek z życia dwóch gliniarzy z Los Angeles. Jeden z nich był kiedyś członkiem latynoskiego gangu, drugi jest czarnym rasistą co krok poniżającym innych ludzi. Obaj są uwikłani w ciemne interesy, a motto amerykańskiej policji „To protect and to serve" zamienili najwyraźniej na slogan „Get rich or die tryin'". Jednak próba przejęcia sporej partii narkotyków skończy się eskalacją konfliktu z lokalnymi gangami. Podobnych filmów były już dziesiątki, a jednak „Brudne sprawy" ogląda się z zapartym tchem. Po części to zasługa znakomitych aktorów (Cuba Gooding Jr. i Clifton Collins grają na naprawdę wysokim poziomie, a fani Fugees wypatrzą epizod Wyclefa Jeana), ale przede wszystkim klimatu. Przesycony ponurym fatalizmem film przynosi raczej gorzką wizję rzeczywistości, budowaną nie tylko przez główną akcję, ale i drobiazgi w tle (np. dzieciaki handlujące bronią). Może to wszystko ograne klisze, ale Chris Fisher ułożył z nich naprawdę interesującą opowieść. **(jd)**

SKY HIGH

reż. Mike Mitchell

IMPERIAL

„Iniemamocni" w wersji aktorskiej – tak można by najkrócej opisać „Sky High". Żywi aktorzy w miejsce animków znaczy bardziej poważnie? Właśnie niekoniecznie. O ile animacja Pixara przeznaczona była przede wszystkim dla dorosłego miłośnika komiksów, tak film ze studia Walta Disneya celuje głównie w fana nastoletniego, który jednocześnie marzy o byciu superherosem i zmaga się z pierwszymi pryszczami. „Sky High" poprzez ukazanie problemów młodzieży obciążonej genetycznie superbohaterstwem, a jednocześnie stającej przed dylematami właściwymi wiekowi dojrzewania, niesie wcale niegłupi przekaz, że niekiedy zagadanie do panny bywa trudniejsze od zbawiania świata. Podane jest to w formie dalekiej od ideału – dialogi nierzadko trącą infantylizmem, patos niektórych scen aż bije po oczach, zaś efekty specjalne, przez większość czasu bardzo przyzwoite, w końcówce niebezpiecznie skręcają w stronę „Power Rangers". Niemniej muszę przyznać, że po Disneyu spodziewałem się czegoś dużo gorszego. Akcja wartko rwie do przodu, młodzi aktorzy są sympatyczni, Kurt Russell w roli ojca głównego bohatera cudownie zdystansowany, Bruce Campbell dostarcza sporo uciechy rolą nauczyciela WF-u, a dodatkowego smaczku przydaje obsadzenie w roli dyrektorki szkoły Lyndy Carter, czyli niegdysiejszej Wonder Woman z campowego serialu z lat 70. Dodatki bez rewelacji. Alternatywny początek słusznie wycięto z filmu, gdyż jego jedyną zaletą jest złośliwy komentarz Russella pod adresem Supermana i Batmana. Z materiału z planu nie dowiemy się niczego ciekawego – młodzież się wygłupia, a reżyser i producent dostosowują się do ich poziomu, udając młodzieżowców. Chociaż może – mając na względzie film, jaki spłodzili – wcale nie udają? **Piotr Dobry**

OTO SPINAL TAP

reż. Rob Reiner

VISION

Pamiętacie „CB4" i „Po co raperom czapki"? Ten film jest dla hard rocka tym, czym tamte dwa dla gangsta rapu: satyrą na środowisko nakręconą w konwencji dokumentu. Jak CB4 i N.W.H., tak i Spinal Tap to zespół fikcyjny, wymyślony przez komików, którzy wcielili się w jego członków. Prowadzona z ręki kamera podgląda ich na koncertach, studiach nagraniowych, za kulisami, podczas wywiadów, imprez promocyjnych. Prezentuje reakcje fanów, filozoficzne przemyślenia poszczególnych muzyków i wewnętrzne konflikty. Wszystko to zostało spreparowane przez Roba Reinera (późniejszego twórcę „Kiedy Harry poznał Sally" i „Misery", dziś odcinającego kupony w mizernych komediach romantycznych) tak realistycznie, że po pokazach premierowych filmu w 1984 r. jedni widzowie kręcili nosami, że reżyser mógł wziąć na tapetę jakąś sławniejszą kapelę, a drudzy pytali, gdzie mogą kupić płytę. I wtedy nastąpiło wydarzenie bez precedensu – krążki faktycznie za jakiś czas pojawiły się w sprzedaży. Na długo przed Gorillaz Spinal Tap zapisali się w historii jako pierwsza wirtualna kapela z dorobkiem płytowym („This Is Spinal Tap" i „Break Like The Wind", promowana kontrowersyjnym ówcześnie singlem „Bitch School"). Lwią część utworów z tych albumów znajdziecie w filmie w wersjach live – są wśród nich takie kapitalne tytuły jak „Christmas With The Devil", „Big Bottom", „Sex Farm", „(Listen To The) Flower People" czy „Tonight I'm Gonna Rock You Tonight" (inspiracja dla Koterskiego?). W dodatkach teledyski i prawdziwy rarytas: 20-minutowy „Spinal Tap: The Final Tour" z 1998 r., czyli spotkanie z członkami zespołu po latach. Szczerze polecam wyłowić tę perełkę z zalewu śmiecia wydawanego przez Vision w serii QDVD: jako jeden z nielicznych filmów naprawdę zasługuje na ten znaczek jakości, a do tego jest w bardzo przystępnej cenie. **Piotr Dobry**

REFUSED ARE FUCKING DEAD

reż. Kristofer Steen

BURNING HEART

Niebawem minie osiem lat od zakończenia działalności przez Refused, najważniejszy zespół sceny hardcore lat 90. Szwedzka grupa (to w niej należy szukać korzeni The International Noise Conspiracy) zapłodniła swoją wizją „punka XXI wieku" setki młodych bandów rządzących dziś w muzycznym podziemiu. Tym bardziej należy się jej takie epitafium. „Refused Are Fucking Dead" to film dokumentalny autorstwa ex-gitarzysty Refused, Kristofera Steena, poświęcony historii hardcore'owego komanda spod koła podbiegunowego. Dokument koncentruje się zwłaszcza na końcowym etapie istnienia grupy – okresie po wydaniu kanonicznej płyty „The Shape of Punk to Come" i burzliwej trasie po USA. Dodatkowe materiały to zapis scenicznego występu Szwedów i dwa videoclipy (w tym kapitalny „New Noise"). Refused nie był zwyczajnym zespołem i nawet „kurewsko martwy" potrafi wywrzeć piorunujące wrażenie. To DVD daje dobre pojęcie o fenomenie zespołu, jego oryginalnej muzyce i filozofii. Obejrzeć warto, a nawet trzeba! **/Sebastian Rerak/**

recenzje komiksowe

SPAWN / BATMAN
scenariusz: Frank Miller
rysunki: Todd McFarlane
MANDRAGORA

Jeśli chcecie jakoś tę historyjkę umiejscowić w czasie, to musicie się cofnąć do odcinków „Spawna" wydawanych jeszcze przez TM Semic (mniej więcej do numeru 4/1998). Nie jest to jednak konieczne do zrozumienia wydanego właśnie zeszytu. W ogóle niewiele potrzeba do jego zrozumienia, bowiem fabuła jest po prostu głupia: Spawn i Batman, mimo wzajemnej niechęci, muszą stawić czoła dysponującej bronią nuklearną psychopatce (która dodatkowo przekształca nowojorskich bezdomnych w cyborgi). Nie wiem, czy Frank Miller przed napisaniem scenariusza miał jakieś wytyczne z wydawnictwa Image, ale ewidentnie zdawał sobie sprawę z tego, że chałturzy. Do banalnej historii dorzucił proste pomysły rodem z taniej sf (teleportacja, telepatia, cudowne uzdrowienia) i wcisnął maksymalnie dużo humoru. Spawn z Batmanem walcząc przekomarzają się niczym dzieciaki w piaskownicy i generalnie gadają straszne głupoty. Mi najbardziej spodobał się złośliwy podjazd w stronę Supermana (którego Miller zasadniczo chyba nie lubi): w pewnym momencie Mroczny Rycerz mówi do Spawna: „Wszystko wskazuje na to, że jesteś głupszy niż Clark". I to właśnie dystans Millera do opowiadanej historii sprawia, że warto na ten komiks zwrócić uwagę. **(jd)**

ASTERIX. GALIJSKIE POCZĄTKI
scenariusz: Rene Goscinny
rysunki: Albert Uderzo
EGMONT

„Galijskie początki" to zbiór krótkich historyjek tworzonych na potrzeby rozmaitych instytucji – od komiksowego magazynu „Pilote" po Francuski Komitet Olimpijski (Asterix z Obelixem wspierali starania Paryża o organizację olimpiady). Dla fanów walecznych Galów to prawdziwy rarytas – komiksy są w znakomitej większości bardzo zabawne, celne, stanowią esencję „asteriksowatości". Zabawnie jest zwłaszcza, gdy autorzy kpią z samych siebie, np. w opowieści o tym, jak spotykają współcześnie żyjącego potomka Obelixa. Na dodatek wszystko opatrzone dowcipnymi komentarzami, wyjaśniającymi okoliczności powstania poszczególnych epizodów. Fantastyczna niespodzianka, tym bardziej, że kilka ostatnich albumów (tworzonych przez samego Uderzo po śmierci Goscinnego) było zdecydowanie słabych. Ten polecam bez wahania. **(jd)**

JEŻ JERZY. IN VITRO
scenariusz: Rafał Skarżycki
rysunki: Tomasz Leśniak
EGMONT

Ilu jest w Polsce artystów komiksowych, na których albumy czeka się niecierpliwie? Na pewno można do nich zaliczyć braci Minkiewiczów i ich „Wilqa". Z pewnością Krzysztofa Gawronkiewicza. I na sto procent nasz redakcyjny tandem od Jeża. „In Vitro" to już siódmy (ósmy, jeśli policzymy opatrzony numerem 0 „Dokument") album o Jerzym wydany przez Egmont i choć stali czytelnicy „Ślizgu" większość zawartego w nim materiału znają dobrze, to i tak warto się w ten komiks zaopatrzyć. I to z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, jak zwykle album został wzbogacony o dodatkowe plansze, których na łamach naszego magazynu nie drukowaliśmy (w tym przygody nowego bohatera, Jerza Jeżego). Po drugie, opublikowane w nim dwie historie (o producencie filmowym w więzieniu i „Potwór z samego DNA piekła") lepiej sprawdzają się w całości niż podzielone na krótsze odcinki. Po trzecie wreszcie, i to nie powinno być dla nikogo żadnym zaskoczeniem, „Jeż Jerzy" to po prostu zajebisty komiks. Gdybyśmy komiksom wystawiali w „Ślizgu" oceny, byłoby przynajmniej pięć „esiek". **(jd)**

the Simpsons

Z rodziną Simpsonów możemy spotykać się już od blisko siedemnastu lat. Zrodzony w głowie satyryka Matta Groeninga najdłuższy amerykański serial animowany (i jednocześnie najdłuższy sitcom) liczy już prawie czterysta odcinków i nic nie zapowiada, by jego kariera miała dobiec końca...

„The Simpsons" pojawili się jako animowana wstawka w serialu komediowym „The Tracey Ullman Show". Szybko jednak zadebiutowali własnym programem – pierwszy odcinek regularnej serii pojawił się w telewizji Fox 17 grudnia 1989 roku i od tej pory serial nie zszedł z ekranów. Czterechsetny odcinek będzie miał premierę w maju przyszłego roku, zaś na czerwiec planowana jest premiera pierwszego pełnometrażowego filmu kinowego.

Simpsonowie to typowa amerykańska rodzina mieszkająca na przedmieściach Springfield. Rodzice – Homer (pracujący w elektrowni nuklearnej) i Marge – wychowują trójkę dzieci: Barta (który jest główną postacią serii), Maggie i Lisę. Jak przystało na porządną rodzinę z „wyższej niższej klasy średniej" (według słów Homera), w otoczeniu nie może zabraknąć zwierząt, w związku z czym często ważną rolę w serialu odgrywają kot Snowball i pies Santa's Little Helper. Oprócz Simpsonów, wokół których skupia się cała akcja serialu, mamy też rzeszę barwnych postaci drugoplanowych: od dalszych członków rodziny, poprzez mieszkańców Springfield, po takie indywidua jak klown Krusty czy sąsiad Homera, Ned Flanders. I nawet przy założeniu, że „The Simpsons" to po prostu animowany sitcom, liczni scenarzyści stworzyli z tych wszystkich postaci bohaterów z krwi i kości, obdarzonych skomplikowanymi charakterami i zapadającymi w pamięć na długo.

W serialu pojawia się bardzo szerokie spektrum tematów: życie codzienne amerykańskiej rodziny, problemy ze szkołą, pracą, wychowaniem dzieci, ale również podnoszone są kwestie rasizmu, nietolerancji, wpływu polityki i mediów na codzienność... Co ciekawe, „Simpsonowie" chętnie są przywoływani w Stanach przez polityków różnych opcji. Demokraci widzą w nich pochwałę tolerancji, republikanie – pochwałę konserwatywnych amerykańskich wartości...

Serial szybko doczekał się charakterystycznych elementów, chętnie wypatrywanych przez fanów. Zaczynają się już w czołówce, w której pojawia się Bart Simpson piszący za karę na tablicy różnego rodzaju zdania (np. „The Pledge of Allegiance does not end with Hail Satan"), a także cała rodzina siadająca na kanapie, co zawsze kończy się jakimś wypadkiem, często absurdalnym (jak przybycie potwora z piekła rodem). Wielu widzów wypatruje kolejnych odcinków animowanego serialu, który ogląda Bart, czyli „The Itchy and Scratchy Show" (Zdrapek i Poharatka), przedstawiającego przygody kota i myszy wzajemnie się masakrujących. Ogromną popularnością cieszą się też specjalne epizody halloweenowe, zatytułowane zawsze „Treehouse of Horror". Część z tych pomysłów zainspirowała później twórców „South Parku" (np. specjalne odcinki bożonarodzeniowe). Osobną sprawą są gościnne występy wielu osobistości życia publicznego. W „Simpsonach" pojawili się między innymi Cypress Hill, Red Hot Chili Peppers, Stephen Hawking oraz pisarz Thomas Pynchon. Ten ostatni to przypadek szczególnie ciekawy, bowiem unika publikowania jakichkolwiek swoich wizerunków w mediach. W serialu użyczył więc swojego głosu, ale jego postać ma cały czas zasłoniętą twarz.

„The Simpsons" cieszą się popularnością na całym świecie. Niektóre odcinki były prezetowane także u nas, jednak jak dotąd nikt nie zdecydował się na puszczenie całości. Warto chyba nadrobić zaległości, bo serial trafił ostatnio nawet do krajów arabskich. Co prawda, został mocno ocenzurowany (wycięto między innymi wszystkie sceny dotyczące alkoholu, wieprzowiny oraz religii innych niż islam), ale to nie przeszkodziło, by „Al-Shamshoon" (taki jest arabski tytuł serialu) zdobył popularność m.in. w Egipcie. Nam w tej chwili pozostaje próba zakupienia płyt DVD. Oczywiście, dostępnych jedynie za granicą...

recenzje komiksowe

KAZNODZIEJA WOJNA W SŁOŃCU

scenariusz: Garth Ennis
rysunki: Steve Dillon, Peter Snejbjerg
EGMONT

Dzieje Jesse'ego Custera, Tulip i Cassidy'ego przekroczyły już półmetek, a bezlitosny Garth Ennis szykuje coraz to nowe niespodzianki. „Wojna w słońcu" przyniesie znaczącą odmianę losów bohaterów, co oczywiście nie oznacza, że będzie to zmiana na lepsze. Nie chcę nic zdradzać, wystarczy jedynie, że powiem, iż zarówno ten tom, jak i kolejne, każą nam zupełnie inaczej spojrzeć na główne postaci, a zwłaszcza na Cassidy'ego... Pojawi się także jedna z najzabawniejszych w serii postaci drugoplanowych – niedoszły astronauta, który szykuje dla „kolegów" z NASA niemałą niespodziankę. Poza tym, „Wojna w słońcu" przynosi mroczną opowieść o początkach kariery złowieszczego Herr Starra. Co więcej można dodać – jak zwykle, lektura obowiązkowa. **(jd)**

SAIYUKI TOM 2

scenariusz i rysunki:
Kazuya Minekura
WANEKO

„Saiyuki" opowiada o przygodach nietypowej kompanii złożonej z trzech demonów (o ludzkiej powierzchowności) i mnicha, który owych nadprzyrodzonych typów stara się utrzymać w ryzach. Cała czwórka przebywa na specjalnej misji powierzonej im przez buddyjskie bóstwa. Na swojej drodze przyjdzie im napotkać zastępy dziwnych wrogów do pobicia i hektolitry alkoholu do wypicia. A w podróży jak w życiu – raz zabawnie, raz strasznie, ale zawsze ciekawie. Godne uwagi. **/SBTN/**

PERSEPOLIS. HISTORIA DZIECIŃSTWA

scenariusz i rysunki:
Marjane Satrapi
POST

Marjane Satrapi to artystka pochodząca z Iranu, ale mieszkająca obecnie w Paryżu. Pierwszy tom „Persepolis" to komiksowy pamiętnik z jej dzieciństwa w Teheranie czasów rewolucji, okresu, w którym został obalony Szach Reza Pahlavi, a rządy objęli islamscy fundamentaliści. Stan ciągłego zagrożenia i niepewności kładzie się cieniem na opowieści, ale jest to historia opowiadana przez dziesięcioletnią dziewczynkę, więc nie brakuje w niej humoru, ale także prostych i mądrych obserwacji dotyczących życia i polityki. „Persepolis" przypomina w tym niezwykłe połączenie prozy Amelie Nothomb, komiksów Frederika Peetersa i perskiej egzotyki. Zaś ogromna wrażliwość i talent autorki sprawiają, że to opowieść wyjątkowa, w prostej formie przekazująca więcej życiowej prawdy niż niejedna „poważna" książka. To z pewnością jeden z najlepszych i najbardziej oryginalnych komiksów, jakie ukazały się ostatnio w naszym kraju. **(jd)**

URSYNOWSKA SPECGRUPA OD ROZWAŁKI. METAMETAL

scenariusz i rysunki:
Łukasz Mieszkowski, Marek Oleksicki
SPITFIRE

„Specgrupa" powstała jako komiks, który umieszczony był na stronie internetowej firmy Syndrom. I początki były słabe: w prologu scenariusz jest taki sobie, kreska Mieszkowskiego niechlujna, w sumie nic ciekawego. Na szczęście im dalej, tym lepiej. Fabuła się poprawia, podobnie jak ilustracje, komiks nabiera tempa. A jeszcze później do roboty zabrał się do spółki z twórcą komiksu Marek Oleksicki i w sumie wyszedł bardzo fajny album. Historia walki Ursynowskiej Specgrupy z wcielonym diabłem (przyzwanym na ziemię przez zawiedzionego w miłości satanistę!) to komiks dynamiczny, bardzo zabawny, ale trzymający w napięciu. Obserwacje warszawskiej rzeczywistości są celne (album jest mocno osadzony w stołecznych realiach), a dialogi dobre. Rysunkom (tym późniejszym) Mieszkowskiego niewiele mogę zarzucić, natomiast plansze wykonane przez Oleksickiego to prawdziwe mistrzostwo świata! Czekam na ciąg dalszy. **(jd)**

CAT SHIT ONE tom 1

scenariusz i rysunki:
Motofumi Kobayashi
WANEKO

„Cat Shit One" wprowadził mnie w konsternację. Założenie bowiem jest podobne, co w komiksie „Maus": pokażemy ludziom kawałek historii, przedstawiając bohaterów pod postaciami zwierząt. Na tym podobieństwa się kończą, a wyciąganie dalszych analogii byłoby obrazą dla dzieła Arta Spiegelmana. Komiks Kobayashiego ukazuje epizody z wojny wietnamskiej. Amerykanie są tu pokazani jako króliki, Wietnamczycy jako koty, Chińczycy jako pandy, Rosjanie jako niedźwiedzie a Francuzi jako świnie. Pytanie tylko po co? Odpowiedź może być jedna: autor nie do końca radzi sobie z rysowaniem postaci ludzkich (czego dowodem jest krótki komiks również umieszczony w tym tomie), a na dodatek nietypową formą chciał zachęcić czytelników do lektury. To trudne zadanie, bo i fabularnie „Cat Shit One" nie zachwyca. Najciekawsze wydały mi się w nim krótkie artykuły przybliżające historię konfliktu wietnamskiego. A to za mało, by polecić Wam album bez wahania. **(jd)**

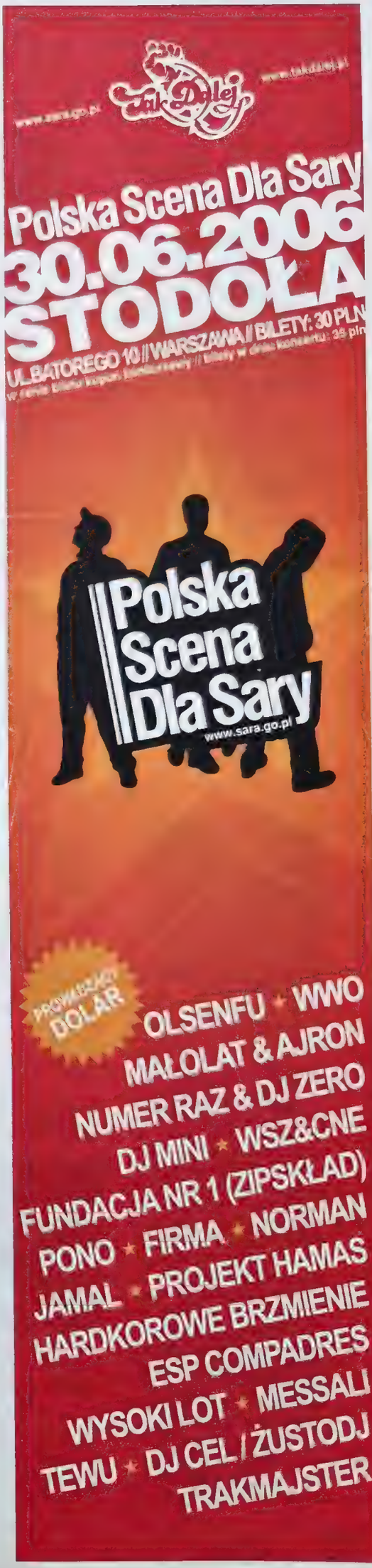

recenzje muzyczne

PŁYTA MIESIĄCA

ELDO/BITNIX
CZŁOWIEK, KTÓRY CHCIAŁ UKRAŚĆ ALFABET
FRONTLINE RECORDS

Najstabilniejszy jak dotąd pomost między hip-hopem a sztuką. Tradycyjnie rozumiana – a więc pozbawiona brudu, eksperymentu i nieokrzesanego buntu – poezja wtłoczona w konwencję rapową i zilustrowana muzyką zdolną zaspokoić najbardziej wysublimowane gusta. Eldoka jest jak trzymane na uboczu dziecko, wpuszczone do wielopoziomowego sklepu z zabawkami. Dziwi się, odkrywa, głodny jest nowych doznań, a słuchacz dzieli z nim te uczucia, bo jego inteligencja nie jest szantażowana dziesiątkami nazwisk i tytułów. Wsączanie wiedzy wreszcie jest naturalne, ma formę nasyconej smaczkami zabawy konwencją, za którą fani komiksu tak cenią sobie „Sandmana" czy „Ligę Niezwykłych Dżentelmenów". Wszystko idealnie współgra. Oschły, surowy styl na pograniczu gadania zyskał ostateczny szlif i ma sens: czyni nauki strawnymi, historie czytelnymi, stawia do pionu formę z pokorą patrzącą na treść. Jeżeli chodzi o klimat, wyobraźnię i nowoczesność muzyki, to właśnie wyłonili się godni spadkobiercy Emade, z tym że więcej w tym gwałtowności, niepokoju. Bitnix tworzą nieprzewidywalną mieszankę jazzu, chillout, breakbeatów z perfekcjonistycznym zacięciem. Daniel Drumz jako DJ idealnie ją czyta i uzupełnia nastrojowe, wspaniałe 70 minut czystego magnetyzmu. Jedna z najlepszych płyt w historii? To też. Przede wszystkim lekarstwo na miernotę i ignorancję. **(flint)**

PONO
TAK TO WIDZĘ
PROSTO

Pono chciał, żeby płyta „Tak to widzę" brzmiała jak zagrana, nie jak wyprodukowana. Trio Fred-Waco-Korzeń – udana mieszanka świeżości z profesjonalizmem – zapewniło ten efekt. Brzmienie jest jasne, trochę matowe, harmonijne, wejścia żywych instrumentów doskonale to podkreślają. Waco wyrobił się jako wokalista i umiejętnie wpasował ze śpiewem. Otrzymaliśmy więc spójną, równą płytę z urozmaiceniami, za to bez udziwnień (nie pasuje jedynie przekombinowany pod względem perkusji „Sposób na życie" Jędkera), niemal zaprzeczenie pomysłu na poprzedni „Hołd". Nie jest mniej hardcore'owo, tyle że konsekwencja wyparła bałagan, Pono popracował nad dykcją i zawalczył z monotonią flow. Obecnie dynamicznie akcentuje i bardziej bawi się swoją charakterystyczną, szybką, gęstą nawijką. Lubicie uliczny rap czy nie – ten w jego wykonaniu ma finezję, w ogóle nie męczy, jest obiektywnie dobry. Kojarzy się z Kool G Rapem, a to duży komplement. Cała płyta to jak najbardziej właściwy zakup, a szczególnie „Policyjne miasto" i przebojowa jak cholera krzyżówka styli (gościnnie Wilku i Ero) w „Instynkcie" stanowią pozycje obowiązkowe. Szkoda tylko, że Pono nie zaprosił Sokoła i nie opowiada historii, co na wyszło mu przecież kozacko na pierwszym „Kodeksie". Może kiedyś... **(flint)**

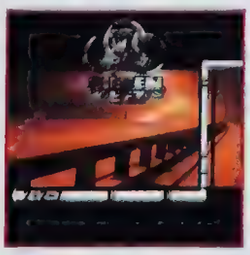

SIEDEM ŁEZ
2+2=7
CAMEY STUDIO

Siedem Łez to zespół traktowany niepoważnie i notorycznie pomijany przy dzieleniu warszawskiego tortu. Głupie to i niesprawiedliwe. Mamy tu dobre, silne, pozbawione niepewności, spięcia i zająknięć flow pozwalające swobodnie żeglować po werblach i z miejsca rozpoznać raperów. Przynajmniej Stopę i Tektywa, bo Senn gubi się nieco pomiędzy ich stylami. Mamy konkretne pomysły na kawałki (od opowieści palacza na gwałt poszukującego ognia, przez historię głupich wpadek kończącą się utratą zegarków, po kwestię magistrów bez pracy, głupich pism i euroniepewności) i konkretną ich realizację – wiadomo co, wiadomo dlaczego, rozsądnie, trzeźwo, bez pierdolenia poza nawiasem. Tu nie ma porównań na siłę, są za to takie w rodzaju – „To jest jak bieżnia / myślisz, że rap zwiększa tempo / a tylko stoi w miejscu i wszyscy się męczą". Mamy zróżnicowanych gości – Mesa, Żółfia z Fenomenu, Procenta, Juchasa i Sferę. Mamy wreszcie beaty Rzensy – nie jest to jeszcze mistrzowski i szczególnie frapujący vibe, ale sample i elektronika składają się na brzmienie czyste i staranne, a aranże są podopieszczane. Ocena całości waha się między 3,5 i 4, ale zważywszy na niefart chłopaków, uniwersalność krążka (taki lajtowo-uliczny mix powinien wszystkim pasować) i to, że „outro" po tylu miesiącach wciąż jest zabawne, zostaniemy przy czwóreczce. **(flint)**

TRZECI WYMIAR
INNI NIŻ WSZYSCY
CAMEY RECORDS

Rzadko zdarza się raper, który ma mocny głos, świetny flow i tendencje do gięcia go we wszystkie strony, poradzi sobie w konwencji bragga, ale również w każdej innej i w dodatku jeszcze umie sobie dobrać beaty. Ale żeby trzech takich raperów na scenie, na której równy duet jest problemem? Słychać po tej płycie, że jej twórcy umieją słuchać i wyciągać wnioski. Słychać też talent. Pracę. Jeszcze raz pracę. I jeszcze raz. Podczas gdy Nullo i Pork wyśrubowali technikę i z lekkością bawią się nawijkami stanowiąc siłę ognia 3W, Szad jest jej sumieniem, specem od emocji i storytellingów. „Miasto, które było kiedyś

newsy

Szalom. No i doczekaliśmy się. Panowie Lepper i Giertych zostali wicepremierami. Do tego pierwszy z nich dzierży tekę ministra rolnictwa (co nie jest szczególnie szokujące), zaś drugi – edukacji (co już wpływa na system każdego trzeźwo myślącego człowieka). Kiedy dowiedziałbym się o takich roszadach w naszych „elitach" (buahahahaa...) będąc kilka lat młodszym, to pewnie podjąłbym spontaniczną i nieodwołalną decyzję o zabraniu dupy w troki i dołączeniu do rzeszy naszych rodaków kładących cegły w Niemczech albo kelnerujących w Anglii, tudzież pielęgnujących tulipany w Holandii. Teraz już patrzę na to wszystko z większym dystansem, uodporniłem się, mój chitynowy pancerzyk stał się bardzo twardy i zamiast stresować się tym, co wyprawiają rządzący nami kretyni, wolę zajmować się chociażby... newsami. Nara.

Po wysypie informacji z kraju w poprzednich miesiącach, teraz znów mamy ciszę. Co prawda jednak, wydanie kilku płyt opóźnia się w stosunku do wcześniejszych zapowiedzi (co, swoją drogą, jest bardzo irytującą tradycją, jeśli chodzi o większość rodzimych wydawców płyt hip-hopowych) i jeszcze są one przed nami (choćby Pono czy składanka Rap-In). Na pewno niebawem możemy się spodziewać nowych materiałów od zdobiącego (no co, tak się zazwyczaj pisze...) naszą czerwcową okładkę **Tedego** (na zdjęciu, płyta „Esende Mylffon" w sprzedaży jeszcze pod koniec czerwca) oraz od Ciszy i Spokoju. Szczegóły wkrótce. Warto jeszcze do tego dodać, że wspomniany label Rap-In Records będzie również wydawcą debiutanckiego materiału solowego Kalego z Szybkiego Szmalu, nie ma jeszcze oficjalnie podanej daty premiery, ale krążek powinien pojawić się jeszcze w czerwcu (recenzja już w tym miesiącu w SLG).

Nowa twarz pojawiła się w składzie nowego Wielkiego Joł. Do dotychczasowych członków labela: Tedego, Kołcza, Rufina MC, Mateo, Młodego Grzecha oraz DJ'ów: Kostka i Macu dołączył teraz **DJ Noz**, znany z serii mixtape'ów Mixtyfikacja. Po tym, jak do WJ dołączył trzeci DJ, wytwórnia zapowiada daleko idące plany związane z wypuszczaniem mixtape'ów.

Zespół pod nazwą **Bakflip**, łączący stylistykę hip-hopową i harcore'ową, to projekt znanych z wydanej w Asfalcie płyty członków grupy Afront (Janek, Kasina i DJ Funksion) oraz Marka Dulewicza, muzyka, producenta i realizatora nagrań. Premiera debiutanckiego materiału planowana jest na czerwiec.

Wiadomość z UMC Records. Czytelnicy „Ślizgu" już raczej to wiedzą po naszym poznańskim reportażu sprzed dwóch miesięcy, ale warto potwierdzić, że drugą pozycją w katalogu tego labela odkąd za repertuar odpowiada Hans, będzie krążek duetu **Deep/Bobik**. Płyta ukazać się powinna 12 czerwca i będzie nosić tytuł „Refleksje".

No i jeszcze jedno info z naszego kraju. Od kilku dni w sprzedaży powinna być płyta promująca **„RBK Hip-Hop Tour 2006"**, a na niej trzy premierowe kawałki od Molesty, O.S.T.R.'a (na zdjęciu) i WWO oraz ich remiksy, a także dodatkowa płyta DVD, na której z kolei mamy ponad 60 minut materiałów filmowych z poprzednich edycji touru

Drodzy koledzy, ważne ogłoszenie! Jeśli chcecie mieć ciało wyrzeźbione jak sam **LL Cool J**, wasze marzenia mogą niebawem stać się rzeczywistością. Na początku przyszłego roku bowiem ukazuje się na rynku książka zawierająca program treningowy aplikowany raperowi przez jego osobistego trenera. „LL Cool J's Platinum Body" to tytuł tego wydawnictwa, a sam artysta mówi: „Program treningowy zmienił moje życie". Flintstone już się nie może doczekać, by zmienić swoje życie dzięki temu programowi.

Przykra rzecz spotkała **Lupe Fiasco**, rapera będącego potencjalnie jedną ze wschodzących gwiazd amerykańskiej sceny. Jego kariera może ulec zahamowaniu po tym, jak niezmiksowana wersja jego płyty „Food & Liquor" trafiła do sieci. Owszem, zdarza się to często innym wykonawcom, ale w tym przypadku było nawet zagrożenie, że w pełni dopracowanej wersji albumu moglibyśmy nigdy nie usłyszeć, choć jego premiera była i jest oficjalnie planowana na koniec czerwca. Raper poczuł się rozgoryczony, gdyż pracował nad albumem pięć (!) lat. Na płycie gościnnie pojawiają się m in. Jill Scott i Mike Shinoda.

Guru zapowiedział na 2007 rok wydanie czwartej części „Jazzmatazz". Aż trudno uwierzyć, że od ukazania się pierwszego projektu pod tym tytułem upłynęło już trzynaście lat! Raper i producent zapowiada, że „Jazzmatazz vol. 4" będzie składał się z dwóch płyt i zawrze najlepszy jak dotąd materiał spod szyldu serii. Gościnnie pojawić się mają Common czy Raheem DeVaughn oraz muzycy David Sanborn i Ronnie Laws. Za produkcję obok Guru odpowiedzialny będzie znany z jego ostatniej solówki Solar, a krążek ukaże się nakładem należącego do tych dwóch panów 7 Grand Records.

Teraz co nieco ze świata nauki. Otóż, Amerykanie przeprowadzili badanie, z którego wyniknęło, że słuchacze rapu są bardziej narażeni na uzależnienie od alkoholu i narkotyków oraz bardziej skłonni do wpadania w agresję niż słuchacze innych gatunków muzycznych. Wydaje się, że wszystko przez 50 Centów, którzy – delikatnie to ujmując – mają nikłe poczucie odpowiedzialności za słowo. Ale przecież można też słuchać choćby takich Blackalicious, nieprawdaż?

„Can't Sell Dope Forever" to tytuł albumu, który nagrają razem członkowie **Dead Prez** i The Outlawz. Płyta ma być wymierzona przeciwko gloryfiko-

recenzje muzyczne

barwnym niebem / dziś jest dla wielu martwym stepem pokrytym czarnym śniegiem / tu wielu chce być tylko zwyczajnym człowiekiem / zwyczajnie witać dzień białym mlekiem i czarnym chlebem". Takie wersy łapią za gardło. Choć tekstowo mocni są wszyscy – nie jest to płyta głupia czy o niczym. Właściwie beatowo też mocni są wszyscy – DJ SPH (dobry również na adapterach), Creon i White House. Z basów, perkusji i sampli najwyższej jakości robią dokładnie to, co trzeba. Raperzy mocno różnią się głosami, ale mogliby mocniej stylami. Punchlines są OK, jednak nie na tyle celne, żeby wyłapywać je z numerów i powtarzać ziomkom. Nie zmienia to faktu, że mamy wzór, jeśli chodzi o klasyczny, czysty hip-hop na światowym poziomie. **(flint)**

VA
HIPHOPSTACJA VOL. 3
EMBARGO NAGRANIA

Parfrazując klasyczny wers – niepotrzebne składanki, kurwa, ile was jeszcze? Wiadomo, jest ciężko, hity są hitami przez chwilę, którą trzeba spożytkować na wyciśnięcie z nich maksimum hajsu i sprzedanie, gdzie się da. Tutaj zachowano pozory przyzwoitości – są dwa nowe kawałki. No dobra, półtora. Kawałek Bez Cenzury jest ekskluzywny, ale Mes wzbogacił jedynie kawałek „Zdrada" i pchnął go na lżejszy beat – nie ma się co oszukiwać, obie pozycje zajarają tylko fanów danych wykonawców i nie są przełomowe. Oprócz tego, dominuje katalog Prosto (dwa super-znane single WWO, Juras/Wigor, Małolat/Ajron) oraz WJ (Gural, G.T.W., WSZ & CNE), między tym mieszają się rodzynki od majorsów (Vienio & Pele, Włodi, zupełnie niepasujące Sistars) i rzeczy niezależne (Płomień 81, 210). Jeżeli pytacie, czy tworzy to zgraną całość – odpowiadamy „nie". Dla ludzi z dziurami w dyskografii i letnich lanserów w kółko tłukących głośne tytuły. Choć nie wszystko jest tu głośne... **/nrg/**

KALI
2002-2004
RAP-IN RECORDS

Najbardziej barwna płyta w polskim hip-hopie od czasu albumu Sinego. Dzika, wariacka, wciągająca, nieprzewidywalna – tylko na takiej Lerek może spotkać się z KNT i WSP. Mrukliwy i sarkastyczny Kali skleja słowa w szalonym, rwanym tempie, by sporadycznie się uspakajać, przechodzić do śpiewu, a nawet melodeklamacji. Jest bezczelny, obcesowy, choć stać go czasem i na liryzm, i na socjopolityczny komentarz. Prędkość nawijek zagraża ich czytelności, śpiew jest straszny, ale mamy do czynienia z osobowością pełną gębą. Typem, którego chce się poznać po wysłuchaniu płyty. „2002-2004" dobrze pokazuje, że lepiej nagrać dużo materiału, przeselekcjonować go i skompilować. Przebojowy trzon wyjęty z pierwszego nielegala podkręca i tak ekstremalnie bogatą w hity pozycję. Pomagają też beaty Szoguna, Cameya oraz Scoopa (dwa kozaki – jeden „kanyewestowy", drugi a la Arrested Development). Dobrze, że są. Całość wyprodukowana przez Kalego mogłaby być niestrawna. Nie do przecenienia jest mikrofonowe wsparcie członków Sz Sz i Płomienia 81. Powinienem odjąć pół eśki za koniunkturalizm, bo słychać tu sporo gonienia za trendami (choćby outkastowe „Hej! Tańcz" i sporo zupełnie nieobecnego wcześniej dancehallu), ale nie mam sumienia. Petarda na lato dla głodnych ekstremalnych wrażeń. **(flint)**

MUZYKOTERAPIA
MUZYKOTERAPIA
ASFALT RECORDS

Gdybym chciał być banalny, napisałbym, że Muzykoterapia odniosła w moim przypadku skutek. Gdybym chciał być nudny, rozpłynąłbym się w zachwytach nad spójnością i klimatem płyty (i to pomimo jej eklektyczności), nad świetnymi aranżacjami i godną podziwu dbałością o szczegóły. Gdybym chciał zgrywać wybitnego znawcę i przy okazji wyjść na ignoranta, wymieniłbym kilkanaście znanych projektów w rodzaju Bonobo czy Cinematic Orchestra, wyszukał ich podobieństw do Muzykoterapii i zaapelował do Ninja Tune o jak najrychlejsze zainteresowanie się polskim fenomenem. Gdybym chciał się podlizać, napisałbym o świetnym guście wydawcy i muzyków, o talencie wokalnym Izy Kowalewskiej i o posiadaniu przez trio szansy na pójście w ślady Skalpela, że już o pewnej kandydaturze do Paszportu „Polityki" nie wspomnę. Wreszcie, gdybym nie kombinował i miał wygłosić własną opinię na temat krążka, powiedziałbym – idźcie po niego do sklepu, bo warto. Dla takich perełek jak „Woda", „Ryby", „Winobranie" czy „Love Haunting", dla kontrabasu Traczyka, dla głosu Kowalewskiej, dla produkcji i trąbki Trębskiego, ale przede wszystkim – dla własnej przyjemności. Co prawda, nie da się tego albumu słuchać, nie skupiając na nim całej uwagi, co może niektórych męczyć, zdarzają się ponadto słabsze momenty, ale koniec końców trudno Muzykoterapii nie polecić. **GRB**

BUBBA SPARXXX
THE CHARM
VIRGIN RECORDS

Po komercyjnej porażce bardzo dobrego poprzedniego albumu „Deliverance" Bubba zmienił nieco front. Na „The Charm" mamy więcej przebojowości, jest bardziej nowocześnie i w ogóle prościej. Co nie znaczy, że prostacko. Za brzmienie odpowiadają bowiem w znacznej mierze Organized Noize, od których zawsze należy oczekiwać najwyższej jakości materiału, i to oni dali najlepsze tracki: „As The Rim Spins", „Wonderful" i „The Other Side". Do tego elektroniczny banger

od Timbalanda, nastrojowy bit od Big Boia i dwa syntetyki od Mr. Colliparka. Producencko zatem jest nieźle, gdyby zaś nie tragiczny przesłodziutki numer Koko i Sted-Fasta (na dokładkę z Frankiem J na featuringu) i kawałek na patencie z „Gangsta's Paradise" Mr. DJ'a i Slimm Jima – byłoby bardzo dobrze. Sam Sparxxx wyszlifował swoją i tak już wypracowaną technikę, a tematyka jego tekstów stała się zdecydowanie lżejsza, choć od poważniejszych, retrospektywnych tematów raper też nie ucieka („Ain't Life Grand"). Ogólnie, mimo zmniejszonych ambicji Bubby, wciąż jest to bardzo przyzwoity album. **GRB**

THE GAME
G.A.M.E.
FAST LIFE MUSIC

Niby wydany w 2006 roku, ale album ten (krótki, bo tylko 40-minutowy) zawiera stary materiał rapera, wydany zresztą bez jego zgody. Swoją drogą, który to już krążek z jego numerami sprzed „The Documentary"? Pierwsze wrażenie – czy to naprawdę jest The Game? MC brzmi tu inaczej niż obecnie, ma inne, bardziej agresywne i spontaniczne flow (co nie znaczy, że lepsze, raper potrafi na przykład rozkosznie wypaść z bitu, ale i tak ciekawie jest posłuchać, co można zrobić w ciągu kilku lat pracując nad swoimi skillsami). Możemy się także przekonać, jak The Game brzmi bez pomocy Dr. Dre, Timbalanda czy Just Blaze'a. Wychodzi, że nie jest bynajmniej złym raperem. Ma jedną podstawową wadę. Potrafi co prawda zaskoczyć ciekawym wersem, ale zastrzeżenie do wąskiego zakresu tematycznego wciąż pozostaje aktualne. Produkcją na „G.A.M.E." zajmują się głównie „średnio" znani DJ B-Roc oraz Ill Will. I nie jest najgorzej. Trudno oczekiwać konsekwencji, wszak nie jest to planowany, zamknięty i kompletny album, ale dominują bity z silnie akcentowaną stopą, typowe dla westcoastowego gangsta rapu, których nawet dziś nie powstydziłby się niejeden z rodzimych producentów. **GRB**

DUDLEY PERKINS
EXPRESSIONS (2012 A.U.)
STONES THROW

„Co on zrobił z tymi bitami?!" To pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy po przesłuchaniu tego albumu. Dudleya w tak słabej formie wokalnej jeszcze nie słyszałem, a forma liryczna ma się niewiele lepiej. Kiedy kretyńsko podnosi głos, człowiek zaczyna rwać włosy z głowy, kiedy próbuje zrobić fajny spoken word w stylu Gil Scott Herona – ma się ochotę płakać. Co najgorsze, robi to na najlepszych od bardzo dawna bitach Madliba. Naprawdę, producent całości tej płyty wypada bardzo korzystnie, a takie bity jak „Testin Me", „Come Here My Dear" czy „Get On Up" pozwoliły mi na nowo uwierzyć w tego kota. To dobrze wróży przed nadchodzącym „Madvillainy 2" z MF Doomem, tymczasem serdecznie polecam zamówienie instrumentalnej wersji tego albumu, bo Dudley jest mdły, niewyraźny, sprawia wrażenie nieumiejącego śpiewać i pokazuje, że w przeciągu pół roku można zrobić dwie płyty – jedną naprawdę niezłą (trudno dostępny projekt z J. Rawlsem) i jedną zaskakująco słabą. **Med**

GEORGIA ANNE MULDROW
WORTHNOTHINGS EP
STONES THROW

Głowiliście się kiedyś, co by było, gdyby Madlib był kobietą? Oto odpowiedź – byłby siostrą bliźniaczką Georgii Anne. Pierwsza dama Stones Throw po tym jak zabłysnęła na płycie Platinum Pied Pipers, miała do wyboru bez liku propozycji kontraktu. Wybrała ST i był to strzał w dziesiątkę. Pierwszy efekt tej pracy to niewiele ponad dwudziestominutowa epka, którą już teraz można postawić na tej samej półce co „Return Of The B-Girl" T-Love z 1998 roku. Wyprodukowane przez samą wokalistkę bity łączą w sobie eklektyzm produkcji Madliba czy Jaya Dee z energią bitmeakerów D.I.T.C. z lat 90., gdy na nowo odkrywali skarby soul-jazzu sprzed lat. Fenomenalny głos, bezboleśnie balansujący pomiędzy śpiewaniem a rapem, brudne brzmienie, świetne teksty czynią z tego materiału przykładową lekcję, jak nagrać materiał po prostu wgniatający w ziemię. Gdyby to było LP, byłaby maksymalna ocena, a tak – trochę z poczucia niedosytu i z rosnącym apetytem – pewna piątka. **Andrzej Cała / „Machina"**

JUELZ SANTANA
WHAT THE GAME'S BEEN MISSING
DEF JAM

W zalewie badziewnego mainstreamu Dipset są jedną z niewielu naprawdę wartościowych ekip. O ile ostatni album Cam'rona nie był może szczególnie udany, o tyle najnowsza propozycja Juelza „mam kozackie bandany" Santany to materiał naprawdę wysokich lotów. Przede wszystkim za sprawą mega-udanych singli, łączących w sobie przebojowość, dobre przewijki i wpadające w ucho motywy. „Oh Yes" na bicie Heatmakerz powala lekkością i fajnym samplem wokalnym. „Clockwork" to hardkorowy syntetyk trochę przypominający to, co w swoich najlepszych latach produkował Swizz Beatz. No i peretka, czyli „There It Go (The Whistle Song)", opierająca się na rytmicznym, melodyjnym... gwizdaniu. Może i jest to ewidentne nawiązanie do szeptającego motywu Ying Yang Twins, za to wykonane pierwszorzędnie! Zwróćcie też uwagę na „Good Times" – refleksyjny, retrospektywny numer na klasycznym bicie, którego nie powstydziłby się Premo (gdyby miał nie-skreczowane/cutowane nagrania). Reszta utrzymana jest w klasycznym hustlersko-bawidamkowym klimacie, z jakiego słyną Diplomats. Czy tego właśnie brakowało w rap grze?! Jestem na tak. **Andrzej Cała / „Machina"**

waniu narkotyków w rapie i będzie pierwszym wydawnictwem nowego labelu o nazwie Affluent Records. Ciekawostką jest planowany gościnny udział w jednym kawałku matki stic.mana z Dead Prez.

Info spoza mainstreamu. 27 czerwca ukazać się powinien nowy krążek duetu 7L & Esoteric. Materiał wydany zostanie przez Babygrande i ponoć stanowić ma, według słów samych artystów, przełom w twórczości projektu. Z kolei najnowszym nabytkiem odrodzonego Rawkus Records stał się skład **The Procussions**, którego płyta „5 Sparrows For 2 Cents" wyjdzie nakładem tego labela już 30 maja.

Żeby nie było, że lekceważę tradycję – mam dla Was kolejne wieści o **Lil' Kim**. Mianowicie, oddział filadelfijskiego więzienia, w którym przebywa obecnie raperka, został objęty szczególną ochroną i zamknięty dla odwiedzających po tym, jak ktoś próbował przemycić tam telefon komórkowy. Niepotwierdzona plotka głosi, że adresatką przesyłki była sama Kimberly. Ciekawostką jest fakt, że każda osadzona ma prawo do wykorzystania, uwaga, 300 darmowych minut miesięcznie. Ja mam na wolności cztery razy mniej. Lipa...

Oprócz Lil' Kim zawsze mogę liczyć również na **Snoop Dogga** jako dostarczyciela materiału do newsów. Tym razem wdał się on na londyńskim lotnisku Heathrow w bójkę, po której linie lotnicze British Airways uznały go za persona non grata na pokładach swoich samolotów. Poszło o to, że raper chciał wejść do loży przeznaczonej dla pasażerów z biletami na pierwszą klasę razem z całą swoją obstawą, która jednak – w przeciwieństwie do gwiazdora – tego typu biletów nie posiadała. Doszło do szamotaniny z ochroną i policją, w wyniku której kilku stróżów prawa zostało poobijanych, zaś raper z kolegami trafili do aresztu. Dzięki, Snoop.

Przykład Snoop Dogga nie jest jedynym, który wskazuje na wielce prawdopodobne przypuszczenie, że policja na lotnisku Heathrow może mieć dość sławnych raperów. Nie minęły dwa tygodnie od wyżej opisywanego zajścia, a już podpadł im **DMX**, który w czasie lotu do Wielkiej Brytanii obraził obsługę samolotu, kiedy ta poleciła mu zapiąć pasy przy podchodzeniu do lądowania. A tak przy okazji DMX'a, to warto wspomnieć, że lada dzień nakładem Ruff

Ryders/Sony Music ukaże się jego szósta już płyta, „Year Of The Dog, Again" (wcześniej zapowiadana jako „Here We Go, Again", którą wydać miał Def Jam).

Pora przejść do kolejnego „pewnego strzału" ślizgowych newsów, czyli do **50 Centa**. Tym razem skoncentrujemy się na jego kwitnącej karierze filmowej. Ostatnio Fiddy pojawił się w obsadzie wojennego filmu „Home Of The Brave" u boku Samuela L. Jacksona i Evy Mendes. Natomiast plany zakładają jego rolę w filmach „The Dance" (obok Nicholasa Cage'a; obraz traktujący o więziennym trenerze boksu, gdzie sam raper będzie oczywiście bokserem) oraz „Live Bet" (o zakładach w nielegalnych wyścigach samochodowych).

Szykuje się nam trzecia oficjalna płyta **DJ'a Shadowa**. Artysta właśnie podpisał kontrakt z Universalem, który wyda jego krążek jeszcze tego lata. Tym razem Shadow wystąpi pod swoim prawdziwym nazwiskiem, czyli jako Josh Davis, i zaprosi na album raperów. Obok uznanych tuzów w stylu Davida Bannera czy Q-Tipa, pojawią się na płycie również mniej znani emce, jak Keak Da Sneak czy Turf Talk.

Po miesiącach oczekiwania otrzymaliśmy ostateczne (miejmy nadzieję) szczegóły dotyczące krążka „The Big Bang" **Busty Rhymesa**. Otóż ma on ujrzeć światło dzienne 13 czerwca (przynajmniej za oceanem...), oczywiście nakładem Aftermath. Warto wymienić zapowiadanych gości. Będą to: Kelis, Stevie Wonder, Rick James (który nagrał wokal niedługo przed swoją śmiercią), Missy Elliott, Rakewon, Q-Tip i Marsha z Floetry. Do tego produkcje Swizz Beatsa, will.i.am'a, Timbalanda, Sha Money XL, Jelly Rolla, Green Lanterna, Jay Dilli oraz oczywiście Dr. Dre. I weź tu człowieku nie bądź zniecierpliwiony...

Mimo tragicznej śmierci Prooła **D-12** bynajmniej nie zawieszają działalności. Wracają do studia w czerwcu, kiedy to z więzienia wyjdzie Swift (trafił tam za naruszenie zasad zawieszenia poprzedniego wyroku związanego z jazdą samochodem pod wpływem). Na pewno wśród materiału znajdą się zwrotki, które Proof nagrał przed śmiercią. Ponadto, zgodnie z niepisaną tradycją, jeszcze w tym roku ukaże się pośmiertny album zastrzelonego niedawno członka D-12. Zatytułowany on będzie „Time Will Tell" i został ponoć nagrany w ciągu 24 godzin, co akurat zbyt dobrze nie wróży.

przygotował Grabiszczy

recenzje muzyczne

DEAD PREZ PRESENTS M-1
CONFIDENTIAL
KOCH RECORDS

Po dwóch płytach nagranych wspólnie ze stic.manem M-1 postanowił spróbować swoich sił solo i trzeba przyznać, że wyszło mu to na dobre. „Confidential" to przede wszystkim krążek różnorodny. Nie znajdziecie tu zbyt wielu hardcore'owych kawałków w stylu Dead Prez, chociaż i takie się tu pojawiają. Dużo za to żywego grania i jazzowych inspiracji. Wszystko za sprawą Fabrizio Scottiego, producenta i gitarzysty Cassandry Wilson, który zrobił tu najwięcej muzyki. Królują zdecydowanie chilloutowe numery, choć nie brakuje tu soczystych bangerów („Early", „The Beat"). Co zaskakuje, to jeden g-funkowy bit, na którym spokojnie mógłby zarymować jakiś kalifornijski wyjadacz. Co zaś do rymowania, to trzeba przyznać, że członek DP nigdy nie zaskakiwał techniką. Jego głównym atutem zawsze był przekaz. Nadal nawołuje do rewolucji, ale już nie w tak radykalny sposób (tytułowe „Confidential"). Może do niektórych tematów białemu słuchaczowi trudno się odnieść („Til We Get There"), ale w pełni rekompensują to takie numery jak „Elements" czy „Love You Can't Borrow". Prawie wszystkie kawałki mają w sobie to coś, co sprawia, że chce się do nich wracać. Wyrzuciłbym może dwa, a reszta jest jak najbardziej godna polecenia. **dill-o**

MARTIN LUTHER
REBEL SOUL MUSIC
REBEL SOUL RECORDS

Druga płyta tego gitarzysty i wokalisty, która co prawda w USA ukazała się już prawie dwa lata temu, ale w Polsce dopiero teraz wchodzi do dystrybucji. Jeśli nie z jego pierwszego krążka „The Calling", to Martina Luthera powinniście znać z jego współpracy z The Roots (jest obecnie ich koncertowym gitarzystą, brał także udział w nagraniu „The Tipping Point"). Swój styl opisuje on jako „funk rock soul". I słusznie. Łagodny, delikatny głos artysty w połączeniu z muzyką, w której dominuje jego gitara – elektryczna lub akustyczna – przywołuje skojarzenia z Lennym Kravitzem, a nawet z Prince'em. Dodajmy do tego inteligentne teksty oraz specyficzną wyczuwalną pulsację, która przewija się przez cały, ponadgodzinny materiał i otrzymujemy nowego ulubieńca żeńskiej części publiczności. Moim subiektywnym zastrzeżeniem jest zbyt wolne tempo niektórych fragmentów płyty w porównaniu do reszty. Ale w takiej konwencji nie da się wszak uniknąć sentymentalnych kawałków. Poza tym – warto sprawdzić. **GRB**

MR. NOGATCO (AKA KOOL KEITH)
NOGATCO RD.
INSOMNIAC

Ten album to jeden wielki follow up do starych filmów o obcych. Kool Keith żongluje psychodelicznym flow, czasami aż wkurza swoim „dalekim" off-beatem, jedzie mniej ekspresywnie, ale zarazem bardziej przerażająco. Bity są zimne, mroczne, odstraszające... Szkopuł jednak tkwi w tym, jak te wszystkie elementy się łączą. Jestem pewien, że żaden film o przybyszach z innej galaktyki nie powstydziłby się takiej ścieżki dźwiękowej. Takie utwory, jak „Celestial", „Night Flyer" czy „Dark Space" należą do gatunku tych, które malują przed oczami obrazy. Mówiąc szczerze, nie czerpię żadnej przyjemności ze słuchania tej płyty, ja się jej zwyczajnie boję, a czy nie o to właśnie chodzi? Zamysł twórców w budowaniu klimatu niepokoju naprawdę imponuje, a kilka kawałków („Alpha Omega", „Big Adventure") jest naprawdę dobrych nawet po „wyrwaniu z kontekstu" tego koncept-albumu. Cholernie klimatycznego koncept-albumu. Tylko Kool Keith mógł to zrobić... **Med**

J. RAWLS
THE ESSENCE OF SOUL
POLAR ENTERTAINMENT

Ktoś kiedyś powiedział, że działalność J. Rawlsa w ramach Lone Catalysts mocno go ogranicza. „The Essence Of Soul" jest tego świetnym przykładem. „Good Music" było nudne i niczym specjalnym się nie wyróżniało. Z nową solową produkcją jest zupełnie inaczej. Ten album porywa od pierwszej do ostatniej sekundy. Ciepłe soulowe bity sprawiły, że słuchacz cały czas buja głową. Niektóre z nich, jak na przykład „Smile", idealnie nadają się do snu, ponieważ wspaniale relaksują. Na płycie nie ma ani jednego słabego numeru, wszystkie sprawiają, że chce się do nich wracać i słuchać na okrągło. J. Rawls wywiązał się więc ze swojego zadania idealnie. Goście też nie pozostawiają nic do życzenia. Świetnie ubarwiają każdy kawałek, zamieniając go w małe arcydzieło. Szczególnie wart uwagi jest „Inhale Exhale" z gościnnym udziałem Venus Malone. Sprawdźcie, co ona potrafi zrobić z tak oszczędnym bitem. Jak zwykle na medal spisał się Eric Roberson, o którym niestety cały czas cicho. Klasę pokazał stary dobry znajomy J. Rawlsa, Tavaris. O każdym z wokalistów mógłbym się tu rozpisywać, ale to nie ma sensu. Tego trzeba posłuchać. **dill-o**

STEVE SPACEK
SPACE SHIFT
SOUND IN COLOR / EBLOK

Po dwóch płytach nagranych w ramach kapeli, której był liderem (a nazywała się ona... Spacek), niesamowicie utalentowany muzyk, producent i wokalista z Londynu postanowił wydać

w pełni autonomiczny krążek. No, może w 90%, ale w niczym to nie zmienia faktu, że na „Space Shift" to Steve jest panem i basta. Inspirujący się Marvinem Gayem i Curtisem Mayfieldem, zawieszony pomiędzy organicznym soulem, r&b, brzmieniami hip-soulowymi z Detroit i okolic oraz broken beatowymi wygrzewami z rodzimego miasta artysta absolutnie nic sobie nie robi ze stylistycznych szufladek. Jego miękki, bardzo przyjemny, zmysłowy głos tworzy niezwykłą aurę, w której spokój, pozytywne emocje, szczerość i czilaut idą ze sobą w parze. I nieważne, czy Spacek śpiewa do utrzymanego w klimacie Detroit bangera „Dollar" (mistrzowski bit nieodżałowanego Dilli czerpiącego garściami tym razem z „Let The Dollar Circulate" Billy'ego Paula), dynamicznych „Rapid Rate" i „Hills", czy też przeważających na drugiej połowie laidbacków – mistrzowski klimat mamy tu od początku do końca. Większość podkładów to oszczędny, dopieszczony perfekcyjnie, brudnawy minimal soul. Steve Spacek postanowił na solówce przedstawić nam w całości swój autonomiczny punkt widzenia na soul XXI w. Bez dwóch zdań wygrał w pierwszej rundzie. **Andrzej Cała / „Machina"**

DJ SPINNA
INTERGALACTIC SOUL
COLUMBIA JAPAN

W Spinnie zawsze podziwiałem to, że będąc jednym z najbardziej utalentowanych i rozchwytywanych producentów z rapowego overgroundu, nigdy nie zamykał się na inne gatunki, balansując pomiędzy deep-housem, neo-soulem i nu-jazzem. Ostateczny efekt tych muzycznych poszukiwań możemy odnaleźć na tym albumie. Żywe dogrywki zaprzyjaźnionych muzyków, mnóstwo tradycyjnych dla Spinny kosmiczno-futurystycznych dźwięków, dużo drobnych, nadających groove smaczków, a przede wszystkim bogactwo aranżacyjne i wielopoziomowość kompozycji tworzą z tego materiału gratkę dla wszystkich fanów dobrej, nowoczesnej muzyki. Goście na płycie to m.in. N'Dea Davenport (była wokalistka Brand New Heavies), Lizz Fields, mały brat Phonte, Eric Roberson czy Stephenie McKay. Wszyscy obdarzeni doskonałymi głosami i wyczuciem rytmu, fantastycznie płynący na bitach Spinny. Płyta dzieli się na 2 części. Pierwsza to 9 numerów, z kończącym instrumentalem „Computer Love" (ukłon w stronę Kraftwerku), zdecydowanie bliższych neo-soulowi. Od 10 zaczyna się już jazda zdecydowanie w deep-housowo, future funkowych klimatach. Są tu nawiązania do czarnego disco przełomu lat 70. i 80., echa wczesnych nagrań Prince'a czy Michaela Jacksona, ale przede wszystkim mnóstwo dobrej zabawy i rewelacyjnej muzyki. Brać w ciemno. **Andrzej Cała / „Machina"**

PRINCE
3121
UNIVERSAL MUSIC

To, że Prince jest geniuszem i jak nikt inny umie łączyć w kapitalną całość soul, r&b, funk, rocka i pop, wie każdy fan dobrej muzyki. Nie inaczej jest na nowej płycie. Tyle że kiedyś to Książę wyznaczał drogi, przecierał szlaki i wymykał się wszelkim konwencjom. Teraz zdecydowanie im uległ, o czym świadczą chociażby numery „Lolita" i „Black Sweat". Bardziej to Prince Timbo albo Prince Pharrell niż po prostu Prince. Jasne – czepiam się. Czepiam się dlatego, że otwierające album „3121" (funk, energia, groove, dynamit!) czy single „Te Amo Corazón" i „Beautiful, Blessed and Love" z jego uroczą podopieczną Tamar, zapowiadały rzecz wielką. Przebojową, wysmakowaną i dopieszczoną. Dostaliśmy po prostu kolejny świetny album Księcia. Niespełna godzinę pięknej czarnej muzyki, która brzmi dobrze, której słucha się z przyjemnością, ale która – już teraz mogę to stwierdzić z pełną odpowiedzialnością – wpisze się jedynie do dyskografii Prince'a, a nie jego historii. Subtelna, ale jednak różnica. **Andrzej Cała / „Machina"**

MATISYAHU
YOUTH
SONY

Kilka miesięcy temu pisaliśmy krótko o żydowskim reggaeowcu Matisyahu i teraz warto jeszcze raz zwrócić uwagę na tego muzyka, bowiem ukazał się właśnie jego trzeci (a drugi studyjny) album. „Youth" to wciąż zaskakujące połączenie reaggae z chasydzką filozofią, wzbogacone o ciekawe muzyczne rozwiązania. Matisyahu potrafi dorzucić do swoich utworów trochę dźwięków z zupełnie innych gatunków (gitary w świetnym kawałku tytułowym), wpleść cytat z The Police, niemal imitować styl Boba Marleya, by później przeskoczyć do wręcz rozrywkowego połączenia raggi i hip-hopu. Prawdopodobnie ta płyta nie uczyni z Matisyahu gwiazdy światowego formatu. Ale czy on w ogóle tego potrzebuje? **(jd)**

FINK
BISCUITS FOR BREAKFEST
NINJA TUNE

No i o kant dupy obić kolejne kryterium wybierania ciekawych płyt. Ninja Tune jak mało który label zapewnia nam stałe ciekawą dawkę alternatywnych, eksperymentalnych albumów łączących instrumentalny hip-hop, jazz i elektronikę. Od każdej reguły są jednak wyjątki i z takim właśnie mamy do czynienia. „Biscuits For Breakfest" brytyjskiego wokalisty, gitarzysty, producenta i dj'a w jednej osobie – Finka – trwa niecałe 40 minut. To i tak dużo za dużo, bo materiał przynudza przestrasznie. Nie jest łatwo odróżnić poszczególne numery, utrzymane w bluesowo-indie rockowym klimacie. Brzmią tak samo smętnie, nie ma w nich nic zaskakującego, czegokolwiek, co sprawiłoby, że słuchając ich choć na moment przestaje się ziewać. Fink ma całkiem niezły głos, którym wyśpiewuje szczere, może i ciekawe historie. Tylko co z tego? Czyżby szefowie wytwórni przyjmując ten materiał mieli depresję albo byli totalnie pijani?! Nie wiem. Wiem jedynie, że to najgorszy herbatnik, jaki od dawna dane mi było zjeść. Szczęśliwie obyło się bez zwrotu. **Andrzej Cała / „Machina"**

VA
KLUBOWE GRANIE: NUJAZZ & CHILLOUT
LUNA MUSIC

Nie rozumiem zachwytów nad tą płytą, które pojawiają się w niektórych naszych mediach. Jest to składanka mało znanych (a raczej wcale nieznanych) kawałków w wykonaniu niemal anonimowych wykonawców. Ups, przepraszam, mamy dwa kawałki z repertuaru Jamiroquaia i Air, które są jednak wręcz doskonale spieprzone w porównaniu z oryginałami (i które są szczególnie w opisie płyty polecane...). A anonimowość twórców z czegoś się wzięła... Nie ma tu właściwie ani jednego numeru, który zapadłby w pamięć, niczego wyjątkowego, co mogłoby przyciągnąć uwagę kogoś innego niż przypadkowego słuchacza zachęconego do kupna podwójnej płyty reklamą i dobrymi recenzjami opartymi na zasadzie: „Fajna płyta, dobrze się słucha, nic tylko włączać i się relaksować". Niski budżet na wykonawców widać jak na dłoni. Taki apel na koniec: ludzie, naprawdę istnieje na świecie lepsza muzyka nujazzowa czy chilloutowa niż na „Klubowym graniu", wystarczy poszukać dalej niż w najbliższym Empiku... **/nrg/**

VA
MONSIEUR GAINSBOURG REVISITED
BARCLAY

Serge Gainsbourg był z pewnością jedną z najbardziej wpływowych postaci w historii francuskiej muzyki rozrywkowej. Kontrowersyjny, ale uwielbiany przez miliony, eksplorował rozmaite gatunki: od rocka, przez pop, po reggae. Nic więc dziwnego, że na płycie „Monsieur Gainsbourg Revisited", będącej hołdem brytyjskich (wszystkie utwory nagrane zostały po angielsku) muzyków dla Francuza, znaleźli się wykonawcy z niemal skrajnych muzycznych biegunów. Prawdziwych gwiazd tu nie brakuje: rockowe zespoły (Franz Ferdinand, The Kills, Placebo) obok megagwiazd trip-hopu (Portishead, Tricky). Każdy z wykonawców stara się – zazwyczaj z bardzo dobrym skutkiem – dostosować piosenki Gainsbourga do swojej stylistyki, co dowodzi zarówno talentu zaproszonych na płytę gości, jak i kompozytorskiego geniuszu Francuza. Na pierwszy plan wysuwają się z pewnością wspomniany Franz Ferdinand, a także nagranie wokalisty Placebo, Briana Molko z Faultline'em („Requiem for a Jerk") i Marc Almond (znakomity „Boy Toy"). Jednak z pewnością warto posłuchać całej płyty, bo miłych niespodzianek na niej nie brakuje. A poza tym to dobra zachęta, by zapoznać się z oryginalną twórczością Serge'a Gainsbourga. **(jd)**

recenzje muzyczne

RED HOT CHILI PEPPERS
STADIUM ARCADIUM
WARNER

Nowy album RHCP to solidna dawka: dwie płyty („Jupiter" i „Mars"), 28 kawałków, blisko dwie godziny muzyki utrzymanej – co w przypadku tego zespołu dziwić nie powinno – na wysokim poziomie. Funkrockowa pulsacja ustąpiła w znacznej mierze utworom łagodniejszym, często balladom, ale nie brakuje tu i nieco bardziej energetycznych i ostrzejszych brzmień. Swego rodzaju nowością są pojawiające się w niektórych piosenkach dźwięki instrumentów dętych, jednak rewolucji w muzyce Red Hotów spodziewać się nie należy. I wszystko byłoby super (a ocena za płytę przynajmniej o stopień wyższa), gdyby nie pewna przesada. „Stadium Arcadium" to – głównie przez swoją objętość – płyta nieco przynudzająca i zbyt monotonna, by porwać słuchaczy. OK, dowodzi wciąż ogromnego potencjału zespołu, ale również sprawia wrażenie, jakby RHCP nie umieli zrezygnować z niczego, co stworzyli podczas sesji nagraniowej. Podobno pierwotny plan zakładał wypuszczenie albumu w postaci trzech mini LP. I to chyba byłoby lepsze rozwiązanie. **(jd)**

ROB ZOMBIE
EDUCATED HORSES
GEFFEN

Trzecia solowa płyta Roba Zombie zaskakuje od samego początku. Stonowana wkładka nie przypomina – jak we wcześniejszych albumach – reklamy objazdowego „freak show" połączonej z komiksami grozy z lat 60. To wbrew pozorom istotna zmiana, bo ma swoje odzwierciedlenie również w zawartej na płycie muzyce. Niby Zombie nie rezygnuje z tego, co charakterystyczne dla jego twórczości: na „Educated Horses" przeważają ciężkie, rockowo-industrialno-metalowe brzmienia, także w warstwie tekstowej artysta pozostaje w „strefie mroku". A jednak to płyta dojrzalsza, jakby bardziej przemyślana od swoich poprzedniczek. Mniej na niej szaleństwa, zwariowanych nawiązań do horrorowej tandety i – co za tym idzie – mniej przebojowych utworów. Jednak jeśli poprzednie płyty Zombiego były niczym tanie powieści i komiksy grozy, to „Educated Horses" jest już porządną „ghost story". To dzieło muzyka, który swoje fascynacje przekuwa na sztukę, konsekwentnie podążającego raz obraną drogą, ale nie obawiającego się dorzucić do tego, co robi, wielu świeżych elementów. **(jd)**

MORRISSEY
RINGLEADER OF THE TORMENTORS
ATTACK / SANCTUARY

Jakieś dwa lata temu zachwycałem się poprzednim studyjnym albumem Morrisseya, a kilkanaście miesięcy później komplementowałem jego koncertowego długograja. Popularny Moz uaktywnił się chyba na starość (piszę to bez cynizmu, wszak nikt z nas nie młodnieje) i coraz hojniej dostarcza swym fanom wzruszeń i ekscytacji. Jako fan zdeklarowany, dziękuję uprzejmie. „Ringleader of the Tormentors" to Morrissey, jakiego wszyscy znają – rewelacyjny wokalista, błyskotliwy autor tekstów i mistrz ceremonii w jednym. Wśród dwunastu piosenek, którymi tym razem nas raczy, nie zabrakło przyszłych klasyków, bo za takie uważam „You Have Killed Me", „The Youngest Was The Most Loved", „Father Who Must Be Killed" (swoją drogą, to zakrawa już na jakąś obsesję śmierci), jak i urozmaicających niespodzianek w rodzaju orientalno-bliskowschodnich dźwięków w „I Will See You In Far Off Places" czy pojawiającego się tu i ówdzie dziecięcego chórku. Nie spodziewałem się wystawić jakiejś płycie celującej noty, a jednak... Moz jest wielki! **/Sebastian Rerak/**

IGNITE
OUR DARKEST DAYS
CENTURY MEDIA

Jeżeli tytułowe mroczne dni wyzwalają w muzykach Ignite takie moce, jak te ujawnione na nowej płycie, to z perspektywy słuchacza wręcz nie wypada życzyć im poprawy nastroju. Żarty żartami, ale nowa produkcja Kalifornijczyków zasłużyła na słowa uznania jako bodaj najlepszy krążek w ich dorobku. Melodie dosłownie rwą się do lotu, a obdarzony niesamowitym głosem wokalista Zoli Tegas daje popis nieprzeciętnych możliwości. Kiedy w przebojowym „Poverty For All" przywołuje pamięć węgierskiej jesieni '56, to ciarki zaczynają wędrować po plecach. Zresztą i pozostałe piosenki nie pozostawiają słuchacza obojętnym, porywając swoją budującą energią. A jako specjalne bonusy mamy cover „Sunday Bloody Sunday" U2 i „Live For Better Days", adaptację węgierskiej melodii ludowej. Na wysokości zadania stanął nie tylko zespół, ale i producent Cameron Webb, który przydał muzyce Ignite odpowiedniego, hiciarskiego szlifu. Zresztą starczy już tego pisania, bo tej płyty trzeba wysłuchać, miast czytać o niej. **/Sebastian Rerak/**

SHING RECORDS i ŚLIZG ZAPRASZAJĄ NA TRASĘ KONCERTOWĄ:

l'Esprit du Clan
www.espritduclan.com
wybuchowa mikstura metalcore i hip-hop prosto z Francji.

polski support:
SCHIZMA
(weterani hardcore - www.schizma.com)
Face of Reality
(hardcore - www.faceofreality.com)

5.06 Warszawa "Max-Im"
6.06 Bydgoszcz "Kuźnia"
7.06 Gdynia "Ucho"
8.06 Wrocław "Strefa Zero"
9.06 Kraków "Rotunda"

www.edc-poland.shing.pl

patronat medialny: ŚLIZG INDEPENDENT andegrand.pl hard|core.pl

PEEPING TOM
PEEPING TOM
IPECAC

Kolejny projekt Mike'a Pattona, który swoimi pomysłami mógłby natchnąć dziesiątki ludzi, a jeszcze by coś dla niego zostało. Założeniem tej akurat płyty było nagrywanie utworów z różnymi artystami, ale nie spotykając się z nimi w studio. Ryzykowne? No pewnie, ale Patton nie takich wyczynów już dokonywał, więc rezultat jest znakomity. Wśród zaproszonych gości nie zabrakło gwiazd (Massive Attack, Norah Jones), a także – co dla czytelników „Ślizgu" może byc istotne – przedstawicieli hip-hopu: Kool Keith, Kid Koala i wreszcie Rahzel i Dan The Automator w „Mojo", najlepszym, moim zdaniem, kawałku na płycie. Patton znów wykonał kawał dobrej roboty. Czekam na więcej (ciekawe, czy projekt „Peeping Tom" to pomysł na więcej niż jedną płytę), a tymczasem zasłużona piątka. **(jd)**

GODSMACK
IV
UNIVERSAL

Tak się złożyło, że na kilka dni przed premierą „IV" nabyłem drogą kupna pierwszy album Bostończyków, zatytułowany po prostu „Godsmack". To dobra, mocna płyta, ze znakomitym singlem „Voodoo". Natomiast „IV" to, hmm... dobra, mocna płyta, ze znakomitym kawałkiem „Voodoo Too". Cały trik polega na tym, że właściwie można by wymieszać utwory z obu albumów i niewiele osób zauważyłoby różnicę. A skoro mowa o płytach, które dzieli cała dekada, to chyba brzmi to nie najlepiej. Zwłaszcza że na poprzednich albumach (zwłaszcza „Awake") Godsmack poszerzał muzyczne horyzonty. „IV" to mimo wszystko udane połączenie dźwięków industrialnych i pseudogotyckich z – najsilniejszym – wpływem brzmień post-grunge'owych. Zespół wyrobił sobie rozpoznawalny styl i zdobył grono wiernych fanów. I to głównie dla nich płyta i ocena na cztery. Ci, którzy po kolejnych metalowych płytach oczekują świeżych rozwiązań i pomysłów, nie mają raczej czego tu szukać. **(jd)**

DRESDEN DOLLS
YES, VIRGINIA...
ROADRUNNER

O Dresden Dolls zwykło się mówić „punkowo-brechtowski kabaret". Jego punkowość przejawia się w żywiołowości piosenek, które wykonywane jedynie na pianinie i perkusji elektryzują bardziej niż kompozycje niejednego regularnego rockowego składu. Skąd zaś Brecht i kabaret? Ano, atmosfera tej muzyki przypomina czasem jako żywo występną aurę kabaretów z czasów Niemiec Weimarskich i prostolinijność ludowego teatru Bertolta Brechta. Punkowy kabaret Dresden Dolls ma zresztą bardzo kobiecą twarz, bo charyzmatyczna wokalistka i pianistka Amanda Palmer ujawnia w swych utworach pełną gamę dziewczyńskich oblicz. Na zmianę jest więc liryczna i melancholijna, to znów drapieżnie zmysłowa, by po chwili pokazać się jako wyszczekane ucieleśnienie girl power. Wygląda na to, że PJ Harvey doczekała się godnej następczyni, a muzyczna alternatywa dostała otrzeźwiającego kopa w tyłek nogą odzianą w but Martensa i kabaretki. **/Sebastian Rerak/**

ALEC EMPIRE
FUTURIST
DIGITAL HARDCORE

Niemiecki muzyk Alec Empire to wyjątkowo płodny twórca. Ma na swoim koncie ponad dwadzieścia płyt, z których największą popularność zdobyły te nagrane z zespołem Atari Teenage Riot, łączące techno z metalem i punkiem. „Futurist", kolejna (bodaj dwunasta) płyta solowa Empire'a, to nawiązanie do tej stylistyki. Mamy więc dynamiczne, agresywne bity, wściekłe i brudne dźwięki gitar, elektronicznie przetworzony głos Empire'a, a wszystko tworzy intrygującą i wciągającą całość. Chwilami wydaje się, że ta płyta to ściana dźwięku, zbyt monotonna, by wyróżnić z niej poszczególne kawałki. Ale zyskuje – i to bardzo – z każdym kolejnym przesłuchaniem. Empire zadedykował album nieżyjącym już artystom: liderowi The Clash, Joe Strummerowi i wybitnemu producentowi Johnowi Peelowi. I choć sam nigdy ich poziomu nie osiągnie i na współczesną muzykę takiego wpływu mieć nie będzie, to nie ulega wątpliwości, że jest twórcą odważnym i bezkompromisowym. **(jd)**

RAISED FIST
SOUNDS OF THE REPUBLIC
BURNING HEART

Wzniesiona Pięść z uporem wygraża złemu światu od trzynastu pracowitych lat, których plonem jest siedem płyt. Najnowsza, „Sound Of The Republic", przynosi solidny kawałek typowo szwedzkiego hardcore'u, zagranego z rasowym kopem, ale i nie pozbawionego melodii. Od pierwszego uderzenia w werbel Raised Fist narzuca wyścigowe tempo (tylko pozazdrościć kondycji perkusiście). Szwedzi zdejmują nogę z gazu tylko przy podniosłych, hymnowych wręcz refrenach. Niestety, trzeba odnotować także kilka grzeszków, wśród których najcięższe to pewna bezduszność ich perfekcyjnego wykonawstwa oraz zamiłowanie do ocierających się o lekki kicz szlagwortów. W końcu, jeśli chce się zaprezentować innym rytm, w jaki biją serca prawdziwych hardcore'owców, można by to robić z większą finezją. **/Sebastian Rerak/**

VA
KERRANG! PRESENTS: MASTER OF PUPPETS REVISITED
KERRANG!

Brytyjski magazyn „Kerrang" poważył się na pomysł odważny i bezczelny zarazem: zaprosił osiem zespołów ze ścisłej metalowej czołówki, by nagrały na nowo klasyczną (i jedną z najlepszych w historii thrashu) płytę – „Master Of Puppets" Metalliki. Swoje wersje utworów z tego albumu nagrali m.in. Machine Head, Bullet For My Valentine i Chimaira. Rzecz jasna, oryginału podrobić się nie da, ale biorące udział w tym eksperymencie kapele poradziły sobie z materiałem wyjątkowo dobrze. Niektóre nagrały wersje bliskie oryginałowi (Machine Head, Trivium), inne starały się nadać utworom nieco własnego charakteru (choćby Funeral For A Friend w niemal deathowej wersji „Damage Inc."). I choć pomysł „Kerranga" był mocno ryzykowny, to wyszło całkiem nieźle. Jednak w tym rozdaniu i tak największym zwycięzcą jest Metallica. Po pierwsze dlatego, że ta płyta doskonale uświadamia, ile biorące w jej nagraniu udział zespoły zawdzięczają królom thrashu. Po drugie, to dowód na to, jak genialną płytą jest „Master Of Puppets". Mimo ponad dwudziestu lat, jakie minęły od jej wydania, zawarty na niej materiał ani trochę się nie zestarzał. **(jd)**

TOOL
10000 DAYS
VOLCANO II

Płyty Toola nigdy nie należały do łatwych w odbiorze: progresywna, metalowa psychodelia, która potrafiła skutecznie zdołować mniej odpornych słuchaczy. „10000 Days" nie jest wyjątkiem, co więcej, pewnie jest najpoważniejszym i najbardziej ponurym albumem zespołu. Nie może być inaczej, skoro nawet tytuł płyty odnosi się do cierpienia (matka lidera zespołu, Maynarda Jamesa Keenana, spędziła sparalizowana na wózku inwalidzkim 27 lat, czyli właśnie około 10000 dni). Dokonań Toola raczej nie można zakwalifikować jako „piosenek", ale na tym albumie znikają nawet tradycyjne podziały na zwrotkę i refren. „10000 Days" to trudna i ciężka podróż przez mroczne zakamarki ludzkiej psychiki. Gitarowe riffy tworzące zaporę dźwięku, głos Keenana potraktowany jak dodatkowy instrument, smutne i gorzkie teksty – to wszystko tworzy całość, która za pierwszym razem jest trudna do przełknięcia. No właśnie, za pierwszym przesłuchaniem. Bo każde kolejne przynosi coraz więcej satysfakcji, pozwala odkryć następne warstwy tej niezwykłej muzycznej układanki. Ta płyta jest świadectwem wyjątkowej dojrzałości i wrażliwości tworzących ją artystów. Może trzeba odwagi, by się z tym albumem zmierzyć, za to naprawdę warto. **/nrg/**

errorcthz.com
nfo: 0426373740
0603199388
ax: 0426371972
Gamey studio
TEKA
PŁYTA TALENT WKRÓTCE

ZAGREB
MEETING OF STYLES ZAGREB

W tym miesiącu jedna z najstarszych ekip z Zagrzebia - czyli terenów byłej Jugosławii. YCP (Yo Clan Posse) powstała na początku lat 90. Spiritus movens całego przedsięwzięcia był LUNAR (ZOKE) - legendarna postać i jeden z pionierów chorwackiej sceny graffiti. Razem z kumplem od ściany 2FASTem uznali, że warto skupić pojedynczych writerów (pamiętajcie, że dopiero co zakończyła się wojna w Chorwacji) i zaatakować chorwackie yardy.

I'm A Fuck Duck
AVIO KART

LUNAR: „System kolei w Zagrzebiu jest zbyt mały i ilość składów jest ograniczona. To główny powód niewielkiej ilości paneli, jakie moglibyśmy robić. Szukamy innych, nowych miejsc lub wyczekujemy dobrego momentu. Czasami jeździmy do innych miast. Ale obecnie scena jest do bani. Wielu małolatów to przypałowcy. Palą yardy i zostawiają dużo śladów. A glin jest więcej niż kiedykolwiek."

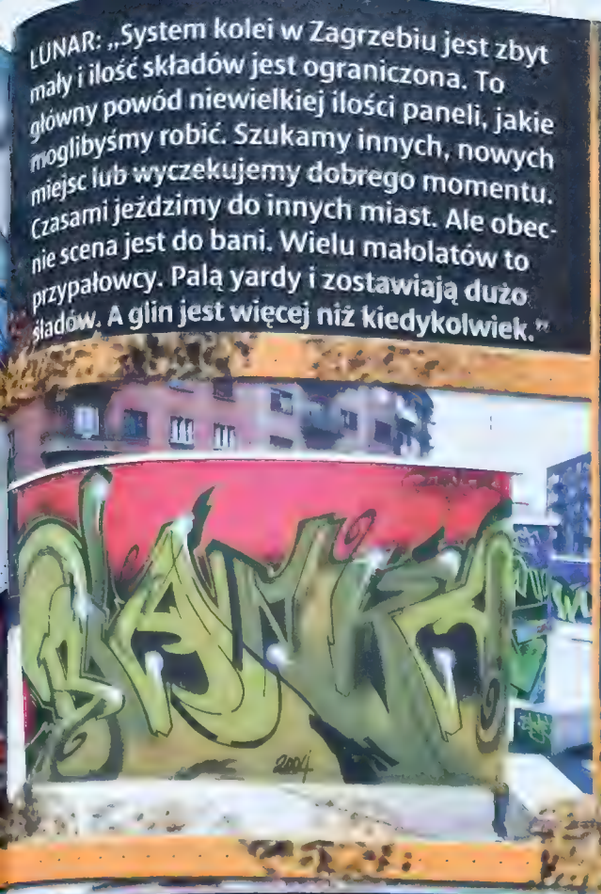

ZAGREB

I właśnie dlatego ściany są głównym obiektem ataków. Kiedyś zdarzyła się zabawna rzecz. Zrobiliśmy YCP rooftop na głównym placu miasta, co zostało opisane w głównym dzienniku następnego dnia. Burmistrz przyrzekł, że zrobi wszystko żeby nas wykurzyć. I rzeczywiście – następnego dnia 2FAST dostał zaproszenie do wzięcia udziału w wielkiej wystawie, które podpisał... burmistrz! Opinia publiczna naprawdę nas lubi, ale tak jak wszędzie, są też dewocyjni idioci, którzy razem z glinami i konserwatywnymi matołami próbują nas zniszczyć. Jeżeli zostaniesz złapany, kara zależy od okoliczności – raz zabiorą ci puszki i dostaniesz kopa, ale możesz też zostać zatrzymany i zmuszony do pokrycia szkód, jakie wyrządziłeś. Ostatnio przepisy zaostrzają się – jak w całej Europie, więc trzeba uważać.

Prezentowane prace pochodzą z lat 2002-2004 i reprezentują stary (główny) skład YCP, czyli: LUNAR, DOCK, SAINT, BASE i BRUNO, ale jest już nowa krew w YCP, więc teraz stare wampiry odchodzą na rzecz nowej generacji.

REBEL CODZIENNIE O 16.00, 20.00 I 24.00

"Czyńmy Dobro"

Wszystkie prawa zastrzeżone / www.4fun.tv / 2005

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Wydanym kilka tygodni temu DVD „Live In Atlanta" Destiny's Child postanowiły pożegnać się ze swoimi fanami. Na jak długo? Ponoć już na zawsze. Oczywiście jako grupa, bo tego, że Beyonce czy Kelly jeszcze przez wiele lat będą regularnie pokazywały się na ekranach naszych telewizorów atakując przebojowymi singlami, możemy chyba być pewni. Nie zmienia to jednak faktu, że kończy się pewna ważna historia we współczesnej czarnej muzyce. Przyjrzymy się zatem trochę losom i dziejom grupy. Działo się naprawdę sporo

Zespół założył w 1990 r. w Houston Matthew Knowles, ojciec zdecydowanie najważniejszej wokalistki w DC – Beyonce Knowles. Miała ona wtedy 9 lat u boku zaś przyjaciółkę LaTavię Roberson. Dziewczynki na początku chciały łączyć śpiewanie z rapowaniem. 2 lata później dołączyła do nich kuzynka Beyonce – Kelendria „Kelly" Rowland. Jako trio Destiny's wystartowały w konkursie „Star Search", gdzie ich rapowany utwór spotkał się z uznaniem jury. Kolejnym krokiem było ukształtowanie na okres kilku lat składu grupy, gdy w 1993 r. doszła do niej LeToya Luckett. Dziewczyny pokonywały stopniowo kolejne szczeble muzycznego wtajemniczenia. Zdobyły lokalną sławę, otwierając koncerty takich sław jak SWV czy Dru Hill. W końcu – w 1997 r. – do Matthew Knowlesa, który od początku pilotował i nadzorował karierę dziewczyn, zgłosiła się wytwórnia Columbia proponując kontrakt. Jeszcze w tym samym roku Destiny's Child zadebiutowały na soundtracku (świetnie zresztą obsadzonym Nas, Snoop Dogg, A Tribe Called Quest i De La Soul) do filmu „Men In Black". Piękna ballada „Killing Time" ani trochę nie odstawała od reszty materiału, co nakazywało zwrócić bacznie uwagę na dalsze poczynania kwartetu. Ciekawostka – na tej samej ścieżce dźwiękowej debiutowała Alicia Keys. Interesujący zbieg okoliczności.

Do produkcji nad ich debiutanckim krążkiem zabrała się gwiazdorska grupa – m.in. Dwayne Wiggins, Wyclef Jean i Jermaine Dupri. Wydane 17 lutego 1998 „Destiny's Child" było promowane wielkim hitem „No, No, No" w dwóch odsłonach – balladowej i dynamicznej, o którą zadbał Wyclef. Kawałek stał się jednym z największych przebojów roku, ale płyta nie odniosła aż tak wielkiego sukcesu, jak można się było spodziewać. Prawdziwy szał na punkcie DC nastąpił trochę później. Ciekawe w tym wszystkim jest to, że debiutancki krążek zespołu wielu fachowców uważa za najlepszy w dyskografii. Dziewczyny były wtedy na pograniczu r&b i mainstreamowego soulu, od którego zaczęły szybko odchodzić w stronę popu. Włodarze Columbii zacierali ręce, bo jasnym się stawało, że trafili na kurę znoszącą złote jaja i trzeba już naprawdę niedużo czasu, by nastąpił boom...

Latem 1999 r. Destiny's Child zaatakowały swym drugim krążkiem. Tym razem za muzykę odpowiedzialny był w głównej mierze Kevin „She'kspere" Biggs (ocenany często niechlubnie jako największy „złodziej" melodycznych patentów Timbalanda). Wspomogli go m.in. złotoręki Rodney Jerkins i fanka talentu grupy, Missy Elliott. „The Writing's On The Wall" przez kilkadziesiąt tygodni nie opuszczało czołowej dziesiątki Billboardu, a każdy kolejny singiel („Bills Bills Bills", „Bug A Boo", „Jumpin' Jumpin'" i „Say My Name") tylko podbijał sprzedaż całego albumu. Łącznie sprzedał się on tylko w samych Stanach w nakładzie ponad ośmiu milionów sztuk. Wielki sukces okazał się początkiem piekiełka w grupie. W grudniu 1999 r. LeToya Luckett i LaTavia Roberson oskarżyły menedżera grupy, Matthew Knowlesa, o to, że niesprawiedliwie dzieli on zyski grupy i faworyzuje przy tym swoją córkę Beyonce oraz jej kuzynkę Kelly Rowland. Nie obeszło się bez wielu ciężkich zdań na łamach prasy, tez z każdej strony, a najbardziej cieszyło to ojca Beyonce (ważne, żeby o grupie mówili, a każdy skandal dobrze się sprzedaje). Bardzo szybko dokooptował on na miejsce LaTavii i LeToyi dwie inne wokalistki – Michelle Williams i Farrah Franklin. Najśmieśniejsze było w tym to, iż tak naprawdę

nie pożegnał jakkolwiek oficjalnie pań Roberson i Luckett! Żeby dodać trochę pikanterii… Już w maju 2000 r., całe 4 miesiące po dołączeniu do grupy, pożegnała się z nią Farrah Franklin. W oświadczeniu prasowym jako powód podano jej brak subordynacji, opuszczanie koncertów i konferencji prasowych. Sama wokalistka nieśmiało wspominała przede wszystkim o braku możliwości jakiegokolwiek wpływu na muzykę Destiny's Child i niechęć Beyonce oraz Kelly do jej osoby. Michelle została i w ten sposób skład skurczył się (na stałe) do tria.

Już wtedy można było zauważyć, że tak naprawdę grupa powinna zmienić nazwę na Beyonce Knowles Trio. Uważana przez wielu za najseksowniejszą wokalistkę świata dama zaczęła produkować utwory, coraz bardziej zdominowywała partie wokalne w nagraniach zespołu. To niestety nie wpłynęło pozytywnie na muzykę Destiny's. Stać je było na wielkie hity („Independent Woman, Pt. 1", „Bootylicious", „Nasty Girl" czy „Survivor"), ale trzeci w dorobku grupy krążek „Survivor" wydany wiosną 2001 r. spotkał się ze sporą krytyką recenzentów. Album zdecydowanie ukazał odejście dziewczyn od ciekawego r&b na rzecz czarnego popu. Oczywiście sprzedaż „Survivor" była imponująca – szybko sięgnęła ponad 4 miliony sztuk. Jednak wielu fanów Destiny's Child z początków kariery nie kryło zawodu. Częściej niż o wartości utworów D.C. wspominano odważne klipy, eksponowanie przez członkinie zespołu swych figur, a nie umiejętności wokalnych. Szkoda. Talentu żadnej dziewczynie odmówić nie sposób, a ich potencjał jest naprawdę ogromny. Szczególnie tyczy się to Beyonce, która już po wydaniu „Survivor" zaczęła oznajmiać, iż powoli chciałaby skupić się na karierze solowej i flircie z aktorstwem. Siłą rozpędu grupa wydała jeszcze dwa bardzo średnie albumy – „8 Days Of Christmas" (późna jesień 2001) i „This Is The Remix" (wiosna 2002). Przyszedł czas na próbę zdyskontowania sukcesu zespołu poprzez indywidualne projekty.

O Michelle Williams było w zasadzie cicho – wydała dwie płyty utrzymane całkowicie w stylistyce gospel, które z wiadomych powodów nie mogły pretendować do komercyjnego sukcesu. Kelly Rowland dała się zapamiętać przede wszystkim z przesłodziutkiego singla z Nellym „Dilemma", którego popularność była niemal tak ogromna jak najlepszych singli Destiny's Child. Album jej autorstwa „Simply Deep" (luty 2003, Columbia) okazał się jednak zawodem. Wokalistka sama nie wiedziała do końca, w jaką stronę chce iść i połączyła na płycie r&b z rockiem oraz popem, co nie było najlepszym pomysłem. Krążka słuchało się z przyjemnością, ale nie posiadał takiego blasku, który sprawiłby, iż słuchacze wracaliby do niego regularnie. W efekcie w zasadzie przepadł z kretesem.

Beyonce zaś… Cóż, zdobyła wszystko, co chciała. Szczęśliwie zakochana w Jayu-Z najpierw spróbowała swych sił w aktorstwie (z umiarkowanym powodzeniem), by w wakacje 2003 r. podbić świat solowym albumem „Dangerously In Love". Ciekawe jest to, że w doskonałej sprzedaży płyty i jej ogromnej popularności nie przeszkodziły oszczędne w pochwały recenzje. Większość z nich była utrzymana w podobnym tonie – album jako całość prezentuje się bardzo w porządku, ale na pewno nie oddaje w 100% potencjału Knowles. Bardzo dobra warstwa tekstowa w połączeniu z chwytliwą muzyką, zaowocowały krążkiem dobrym, jednak jeszcze nie do końca takim, na jaki Beyonce po prostu stać.

Wydany pod koniec 2004 r. kolejny album Destiny's Child „Destiny Fullfiled" można potraktować jako jej solo. Zdania krytyków były jednoznaczne i oceniały album jako najsłabszy w karierze grupy. Poza hitami „Soldier", „Girl" i „Lose My Breath" można o nim zapomnieć. O wydanym pod koniec 2005 r. „#1's" w zasadzie też nie ma co pisać, to po prostu składanka największych hitów dziewczyn i parę nowych tracków. No i to w zasadzie by było na tyle. Trudno powiedzieć, co zadecydowało o podjęciu decyzji zawieszającej działalność grupy, której kariera to w zasadzie jedno wielkie pasmo sukcesów. Coś mi się jednak widzi, że najwięcej do powiedzenia miał w tym temacie pan Mathew Knowles. Pożyjemy, zobaczymy…

tu kupisz Slizg

Jeśli chcesz zamieścić
na tej stronie logo
swojego sklepu,
skontaktuj się z nami
pod numerem
022 635 84 10 wew. 131
lub na mail
monika@slizg.com.pl

HIPHOPSHOP.PL
hhs
Lublin
ul. Krakowskie Przedmieście 41
Lubartów
ul. Lubelska 45
BLUZY SPODNIE T-SHIRTS KOSZULE KURTKI
TORBY PASKI SMYCZE
BUTY CZAPKI PLECAKI
NOWY SKLEP W MIEŚCIE

Rap Center
www.rapcenter.pl
CIUCHY
CD i DVD
Winyle (r'n'b, hip-hop, funk)
Muza - USA, Francja, Niemcy, Polska
Biżuteria hip-hopowa
Wszystko co niedostępne w Polsce!!!

SYSTEM
SKATE SNOW
DISTRIBUTION
DYSTRYBUCJA I SPRZEDAŻ HURTOWA
AMERYKAŃSKICH PRODUKTÓW:
DESKOROLKI, BUTY, ODZIEŻ, SNOWBOARDY, AKCESORIA
firmy: CIRCA, FALLEN, ZERO, ELEMENT, WORLD
BLIND, SANTA CRUZ, REAL, SPITFIRE, GIRL i inne
TEL/FAX: (42) 637 6885 WWW.SYSTEMSKATE.PL

HRom
HIP HOPsklep
GDAŃSK ul. Wajdeloty10 ul. Rajska12 GDYNIA ul. Swietojanska112
ELBLĄG ul. Hetmanska 11/14 WARSZAWA metro ratusz box4 i box12
WARSZAWA Rondo jazdy polskiej box19 KATOWICE ul. Stawowa 3 i 7
KRAKÓW ul. Sławkowska20 CHRZANÓW ul. 29 listopada 8

24h
Cans.pl
e-mail:sklep@cans.pl
tel: +48 0602 888 646
tel: +48 0694 451 456

www.skateshop.lublin.pl
HS

CALIFORNIA
SKATEBOARD DISTRIBUTION

MUSIC PLANET
NAJWIĘKSZY SKLEP MUZYCZNY
CD - DVD - VIDEO
1 718 383-2051

MONUMENT
SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmieście 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37

SKATESHOP
ŁÓDŹ PIOTRKOWSKA 81

BLANT
skate & hip-hop center
SZCZYTNO
ul. 1-go Maja 15a

ANAGRAM
STREET CLOTHING
13

skateshop
SKATECITY
Opole, ul. Ozimska 14-16
DH RZEMIEŚLNIK II p

TRIBAL
WWW.TRIBALGEAR.PL
Sklep firmowy
Włocławek, ul Wrocia 4
dystrybucja - 508-248-575

konkret
HIPHOPSHOP
Otwock ul. Karczewska
minibazarek: pawilon 10

andegrand.pl
NAJWIĘKSZY I NAJLEPSZY
W EUROPIE SKATSHOP W SIECI.
Wszystko.

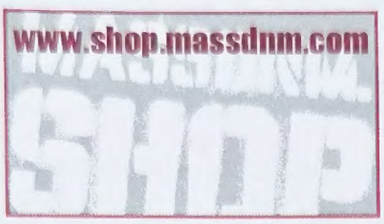

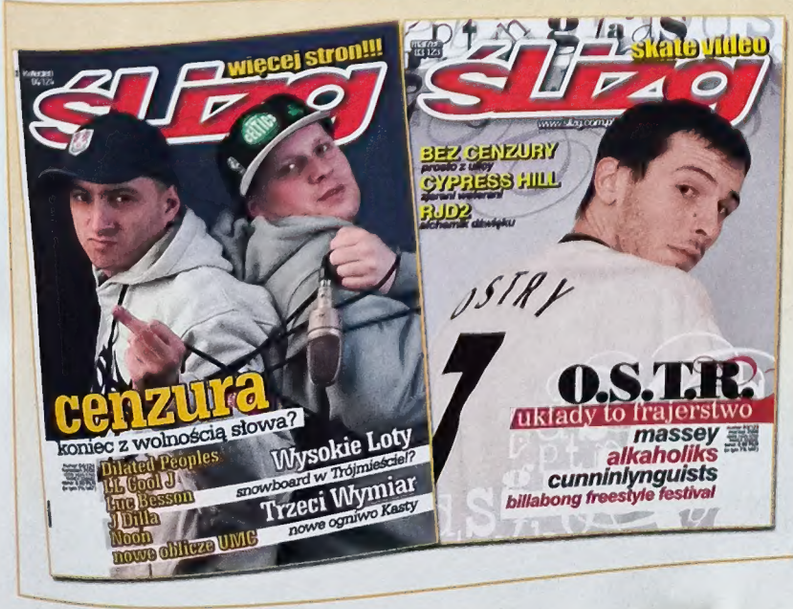

PRENUMERATA

Prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić na dowolny okres, wpłacając na konto odpowiednią kwotę 6,90 x liczba egzemplarzy. Dane potrzebne do przelewu (adres wydawnictwa i numer konta) znajdziecie w stopce redakcyjnej na stronie 6.

Nie zapomnijcie na przelewie podać swoich danych (jeszcze raz przypominamy o dokładnym adresie!!!) i numeru, od którego chcielibyście rozpocząć prenumeratę.

Prenumeratę zagraniczną można zamówić w Ruchu. Szczegóły znajdziecie pod tym adresem internetowym:
http://www.ruch.noria.pl/s/sklep.swp

W redakcji możecie również zamówić archiwalne numery „Ślizgu", w tym „Ślizg Limited Edition" z płytą DVD „Adio Rock". W tym celu skontaktujcie się z redakcją pod numerem telefonu

022 635 84 10, wew. 131.

abradab

druga strona

AbradAb będzie wspominany we wszystkich publikacjach podsumowujących polski hip-hop, a to dzięki barwnej muzycznej drodze, jaką przeszedł, oryginalności i inteligencji. Muzyka, jaką tworzy ostatnio, często zasługuje na określenie „organicznej". „Organiczna" jest również architektura Friedensreicha Hundertwassera – czerpie ze źródeł, blisko jej do natury. Z tym że dla odmiany fachowe książki rzadko ją wspominają – towarzyszy jej zbyt duża dawka awangardy i szaleństwa. Austriacki artysta zmarł sześć lat temu, ale ożył na chwilę w jednej z metafor na płycie „Emisja spalin". Czas powiedzieć coś więcej

rozmawiał Marcin Flint

Mam nadzieję, że nie obrażę zbytnio Twojej inteligencji, zaczynając od pytania retorycznego. Czy w wypadku architektury, czyli dziedziny, gdzie trzeba się wkomponować w określoną przestrzeń, dostosować do otoczenia, a priorytet stanowi wygoda użytkowników, jest miejsce na sztukę?

Oczywiście, że tak! Przede wszystkim, sztukę da się zrobić absolutnie ze wszystkiego. Są ludzie, którzy robią ją z pozostałości zwierząt i prezentowania ludzkich szczątków. To już kwestia smaku, dobrego tonu, a przede wszystkim tego, czy sztuka powinna myśleć o czymś takim, jak dobry ton czy smak. Wracając do tematu. Jak najbardziej jest miejsce na sztukę w architekturze. Większość kamienic w miastach takich jak Kraków, Toruń czy Wrocław, to przecież dzieła sztuki. Może tylko mniej krzykliwe niż co poniektóre

Cofnijmy się trochę w czasie, do momentu, w którym chodziłeś po dość napuszonym i wyniosłym Wiedniu i trafiłeś na zupełnie krzykliwe, odmienne budynki Hundertwassera. Jakie było pierwsze wrażenie?

Wiesz co? Niesamowite. Przede wszystkim zastanawiałem się, co on jadł bądź palił i czy też mogę trochę tego dostać (śmiech). Akurat Hundertwasser nie był kimś, na kogo twórczość trafiłem dawno temu, i nie było to takie szokujące, jak mogłoby być, gdybym był małym chłopcem. Wcześniej, jako młody człowiek, trafiłem na Gaudiego w Barcelonie. Niesamowitość powyginanych łuków, krzywych budynków, wrażenie związane z bardzo znaną Sagradą Familią (budowana od dziesiątek lat i wciąż nieskończona świątynia Świętej Rodziny w Barcelonie – przyp. red.). Już to jest czymś bardzo pojechanym, czymś, co mi się bardzo podoba. Brakuje mi w Polsce takich spektakularnych budowli. A Hundertwasser idzie w jeszcze inną stronę. Wystarczy spojrzeć na wykonaną przez niego oczyszczalnię ścieków – kolorową na wszystkie możliwe sposoby, wyglądającą jak wyjęta z bajki dla dzieci. To zaskakuje, jednak o wiele lepiej patrzeć na oczyszczalnię ścieków w ten sposób niż jak na zwykły, szary budynek. Brudny, odrapany, przerdzewiały. Na odbiorcy zostawia to znacznie większe wrażenie.

Mówiłeś o wyglądzie z bajek dla dzieci – i dokładnie to zauważa Giancey w „Historii Architektury". Pisze, że owe „szalone bloki mieszkalne" są „jakby przeniesione" z ich ilustrowanych książeczek. Ilustracja jest tu istotnym pojęciem, bo Hundertwasser nie był architektem, a malarzem, projekty przenosił z płótna przy pomocy innych ludzi. Może więc więcej rzeczy powinniśmy zlecać artystom, a rzemieślnikom zostawić najwyżej wykonanie?

To prawda. Nieraz zadaję sobie podobne pytanie, patrząc jak pomalowano bloki w Bogucicach i zastanawiając się, czy postanowiono wykorzystać całą farbę, jaka została. To jakaś bzdura. O budowaniu budynków lepiej nie mówmy... Stary Skarbek na rynku w Katowicach powinien zostać dawno zburzony, tymczasem dołożono do niego windę zewnętrzną. Zewnętrzna winda widokowa na postkomunistycznym obrzydlistwie! Zupełnie nie rozumiem takiego podejścia do sprawy.

Fantazyjne barwy – złoto, srebro, czerwień. Konstrukcje na bazie spiral. Drzewa na dachach... Chciałbyś żyć w domu wymyślonym przez Hundertwassera?

To musi być trudne, bo przecież w środku masz łuki, krzywe ściany, sytuacje tego typu. Nie jestem pewien. Przypadkowy człowiek nie dostanie takiego mieszkania z przydziału i nie zacznie w nim mieszkać, bo ceny są na pewno konkretne. Poza tym, to jak jeżdżenie różowym kabrioletem czy noszenie butów z rybkami w podeszwach. Trzeba lubić coś takiego, lubić się pokazać. Chciałbym mieć takie mieszkanie, ale nie mieszkać w nim na co dzień.

No tak, gdzieś w głowie zostaje myśl, że stawiano to bez pomocy poziomicy i kątownika, że okna są nieregularne, a ściany i podłogi nierówne. Pomysłodawcę bardziej od spuścizny architektów interesowała twórczość schizofreników...

Tak, kwestia bezpieczeństwa mieszkania w takim bloku to inna rzecz, trzeba się nad tym zastanowić. Nie jestem znawcą, ale kiedy już pozwolono mu postawić te budynki, to chyba będą stały...

Ba, pozwolono mu na dużo rzeczy, takich jak wykładanie na uniwersytecie, mimo że zachęcał uczniów do malowania ścian uczelni, a wystąpienia nago nie były dla niego niczym dziwnym...

Nosił dwie skarpetki różnego koloru...

Tak, szył dwustronne ubrania, jadł pokrzywy... Jak to jest, że geniusz chodzi w parze z ekscentryzmem?

Geniusz zawsze wiąże się z odrobiną szaleństwa i odmienności. Chodzi o bycie kimś więcej niż my wszyscy. Historia sztuki to historia ćpunów, narkomanów, pierdolniętych, którzy odcinali sobie uszy. Inni podawali na imprezie w winie krew menstruacyjną swojej żony. Nie mówiąc już o absyncie, narkotykach i burdelach. To moim zdaniem nierozerwalne. Tak naprawdę niewiele wiemy o ludziach, którymi się jaramy i inspirujemy. Masę z nich musiało być freakami. Jeżeli nie masz szczególnej wrażliwości i postrzegasz go jak inni ludzie, to jak niby możesz go wspaniale przekazać? Dopiero kiedy widzisz inaczej, staje się to sztuką.

Wybaczyłbyś bohaterowi naszej rozmowy histeryczną wręcz walkę z ideą Unii Europejskiej, czy też to, że według jednej z plotek, zmienił nazwisko, bo brzmiało mu zbyt słowiańsko?

Nie chciałbym go oceniać, nic nie wiem o nim jako człowieku, mówił do mnie tylko swoimi dziełami. Pewnie, że nie jest miło, kiedy ktoś wyraża niechęć do ciebie samego czy jakiejkolwiek grupy etnicznej lub religijnej, jaką reprezentujesz. Każdy ma jednak prawo do swoich poglądów. Nie krzywdzą cię przecież fizycznie. Ja na przykład nie chciałbym, żeby moje nazwisko brzmiało germańsko. Ale żaden Niemiec nie powinien mieć o to do mnie pretensji.

Na koniec poproszę o komentarz do słów Hundertwassera: „Ludzie nie stają się królami, bo są zbyt tchórzliwi"...

Tak. Jak najbardziej. Żeby wiele osiągnąć, trzeba robić rzeczy, które narażą cię na kiepskie sytuacje i podjąć decyzje dla niektórych ludzi krzywdzące. Jeżeli chodzi o kwestie tak odległe jak bycie królem, to takie rzeczy trzeba robić wielokrotnie. Nie każdego na to stać.

A co z: „W bezdusznych blokach żyją bezduszni ludzie". Myślisz, że miliony mieszkające w blokowiskach tracą przez to jako osoby?

Ujednolicenie wpływa na to, że postrzega się ich tak samo. A nagromadzenie w jednym miejscu i niedostatek temu sprzyjają. Ale to, że stają się bezduszni i tracą ostrość widzenia, nie oznacza, że nie mogą się z tego wyrwać.

SOUTH PARK
w
MTV
MUSIC TELEVISION
100% jazdy
MTV
MUSIC TELEVISION
SOBOTA 22:30
CZWARTEK 22:00
www.mtv.pl

HAVE YOU CHANGED?

0048 61 816 34 00 - info@altexdist.com

www.globe.tv

globe

MARK APPLEYARD